

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 11 (240) • ROK XX • LISTOPAD 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

[www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)

mamy  
**20**  
lat!



ISSN 1425-3917



9 771425 391509



Fot. Zbigniew Sawicz

mamy  
**20**  
lat!

**Zespół redakcyjny  
miesięcznika  
„Śląsk”  
dziękuje wszystkim  
Czytelnikom,  
Autorom, Przyjaciółom  
i Sympatykom pisma  
za wspólne 20 lat!**

Dzięki Wam pismo istnieje, ukazuje się co miesiąc, zmienia, a my mamy nadzieję redagować je przez kolejne lata.

Dziękują Wam (na zdjęciu od lewej): Bogdan Widera, kierujący działem społeczno-historycznym; Wiesława Konopelska – redaktor naczelna; Maria Sztuka – sekretarz redakcji i szefowa działu kultury; Maria Korusiewicz – specjalistka od poezji i prozy, kierująca tym działem; Katarzyna Bereta – odpowiedzialna za dział krytyki literackiej, stronę internetową slaskgtl.pl i obecność „Śląska” na Facebook’u oraz grafik Wojtek Łuka.

Wydanie listopadowe – numer 240 – zamyka Rok Jubileuszowy „Śląska”. Zdjęcie wykonał, współpracujący z nami od pierwszego numeru – Zbigniew Sawicz.

Wielkim świętem dla Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach była uroczystość nadania Marcie Argerich, pianistce światowej sławy, tytułu doktora *Honoris Causa* tej uczelni, która odbyła się 23 października br. w sali „Symfonia” tej uczelni. Laudację na cześć Doktorantki wygłosił prof. dr hab. Andrzej Jasiński – publikujemy ją na s. 18.



Fot. Zbigniew Sawicz

Na zdjęciu: Doktorantka Martha Argerich otrzymuje z rąk prof. dr hab. Tomasza Miczki, rektora Akademii Muzycznej w Katowicach, akt nadania tytułu.



Fot. Arch. Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogródów

Wrzesień był najważniejszym miesiącem w kalendarzu obchodów 150-lecia Katowic. Nic dziwnego – to właśnie 11 września 1865 roku Katowice uzyskały prawa miejskie. Było hucznie i bardzo muzycznie – od zagranicznych gwiazd po legendy muzyki ze Śląska i orkiestry górnicze. Na wszystkich wydarzeniach bawiło się ponad 70 tysięcy osób. (O tych wszystkich wydarzeniach piszemy na s. 26 i 67).

Nasz partner



**Rybnik. Miasto z ikrą.**

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
TADEUSZ SIERNY  
prezes  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel. 32 253-62-21  
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPESKA  
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA  
Dział krytyki literackiej  
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ  
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA  
Sekretarz redakcji  
Dział kultury

BOGDAN WIDERA  
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA  
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA  
Korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrowki 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

5. *Wiesława Konopelska* MAMY 20 LAT!
6. *Rozmowa z Tadeuszem Kijonką* NAJWAŻNIEJSZA JEST DLA MNIE POEZJA
11. *Marian Kisiel Rózewicz* SZKIC DO POETY WSPÓŁCZESNEGO
18. *MARTHA ARGERICH* DOKTOREM HONORIS CAUSA AKADEMII MUZYCZNEJ IM. K. SZYMANOWSKIEGO W KATOWICACH.  
LAUDACJA PROF. ADNRZEJA JASIŃSKIEGO.
21. *Krysztyna Heska-Kywańiewicz* KATOWICE NIE TCHÓRZYŁY PRZED BANDYTAMI
26. TAKI WRZESIEŃ RAZ NA 150 LAT
28. *Wiesława Konopelska* KATOWICKA ASP – NOWE OTWARCIE
32. *Marek S. Szczepański* WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE W TRANSFORMACYJNYM  
CWIERCWIECZU (1990-2015)
33. *Marcin Gacek* „BEKARTY” POLSKIEJ POLITYKI
42. *Dariusz Rott* CHOROGRAF WSPÓŁCZESNY
44. *Maria Szuka* ORIENTALISTYKA KONTRA PRAWO
54. *Marek Lyszczyna* SILESIA TENEBROSA. *Rozmowa z Piotrem Mossem*
56. *Henryk S. Szczepański* KATOWICE ZA GÓRNIKA (cz. II)
58. *Agnieszka Czajkowska* FILOZOF NA PROWINCJI
60. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO  
*Krzysztof Kosiński* SALONY WŁADZY I ELEGANCJI
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: STANISŁAW KLUSKA

## FELIETONY

25. NOTATNIK SPÓZNIONEGO PRZYBYSZA  
*Marek S. Szczepański* POCZĄTEK ŚWIATOWEGO DZIOBANIA
52. MIĘDZY NUTAMI  
*Magdalena Działek* LIDIA KOZUBEK (1927-2015)
58. PORADNIA JĘZYKOWA  
*Katarzyna Wyrwas* MILENIALSI
59. ŚLĄSZCZYŻNA POLSZCZYŻNA  
*Jan Miodek* W LINII OJCA – ŚLĄZAK!
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA  
*Jarosław Starzyk* WYCIĄG Z RÓŻY STULISTNEJ

## PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* POMIĘDZY CZY TRZECIA DROGA
49. ADAM ROMANIUK. POMIĘDZY. Rondo Sztuki Katowice
50. ZOFIA GRZEGANEK-SZCZEPANIEC. Malarstwo
51. *Witold Kociński* SPOKÓJ POŻĄDANY
74. *Henryk Bzdok* MIĘDZY ANDY WARHOLEM A BIESZCZADZKIMI CERKIEWKAMI

## TEATR

46. *Bogdan Widera* MIAŁO BYĆ LEPIEJ...
64. *Joanna Warońska* JUBILEUSZE Z RÓŻEWICZEM
65. *Witold Kociński* OPOWIEM WAM GOGOLA PO SWOJEMU

## KSIĄŻKI

69. *Katarzyna Niesporek* DOŚWIADCZAJĄC PEWNOŚCI
70. *Aleksandra Pethe* O MISTERIUM PARADOKSU W POEZJI KAPLAŃSKIEJ
71. *Czesław Ludwicki* ULEGŁOŚĆ W KONTEKŚCIE ISLAMU
72. *Ryszard Jasnorzewski* ULICA SAMOBÓJCZY
73. *Katarzyna Krzan* BIAŁORUŚ DLA POCZĄTKUJĄCYCH  
*Bogdan Widera* TRAMWAJ Z OBRAZU BRAQUE'A

## POEZJA I PROZA

2. WIERSZ NA OTWARCIE  
ERNST SCHENKE  
AUTOGRAF TADEUSZA RÓŻEWICZA
14. *Feliks Netz* PAN KAPITAN (Fragment nie drukowanej powieści)
22. *Krysztyan Gahuszka* AJNFARTY IDĄ DO NIEBA
30. *Janusz Wójcik* WIERSZE
36. *Witold Turant* NIE MA MORZA W BAGDADZIE (cz. I)
40. *Barbara Gruszka-Zych* WIERSZE

## EKOLOGIA

62. *Jolanta Karmańska* ŚLĄSKI SKARB WODNY

## STAŁE RUBRYKI

66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Bogusława Wnęk-Zych* NOWE KIERUNKI ROZWOJU
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE  
*HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI* W FOTOGRAFII ZBIGNIEWA SAWICZA
68. OPOLSKIE. XXVI NAJAZD POETÓW NA ZAMEK PIASTÓW ŚLĄSKICH W BRZEGU
76. NOTATNIKI KULTURALNE
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

Na okładce: Wojtek Łuka, *Oko Opatrzności*, grafika, 2015

## Ein Auszugstübla.

Die blankgeputzta Fansterscheiba blika,  
Die Sonne guckt  
Eis Auszugstübla, wu die Ma sika,  
Groo und gebuckt.

Grufmutterla ein weiße Spizahäubla  
Bedanka spinnt:  
Die Zeit vergieht — ma werd a ales Weibla,  
Die Zeit verschwindt.

Grufvoater spricht —: Und werd ma immer älder,  
Doo muß ma ruhn;  
Ein Auszugstübla sitzt ma und die Felder  
Besurgt derr Sohn.

A langt die Bibel har mit steifa Hända —  
's les Sunntig heut —;  
Ma hiert a sachte jedes Blatla wenda,  
A nimmt sich Zeit.

Derr Wind gieht draußa ei derr ala Linde,  
Derr Flieder blüht;  
A leises Läuta mit 'm Murgawinde  
Durchs Fenster zieht.

Und sachte kimmt's und zieht wie Himmelsfrieede  
Um Feld und Haus.  
Die Ma sika doo — gebuckt und müde —  
Und ruhn sich aus.

Utwór urodzonego w Niemczy Ernsta Schenkego (1896-1982), poety piszącego w dialekcie śląskim języka niemieckiego. Schenke był jednym z niewielu autorów w XX wieku tworzących w dialekcie Schlesisch. W tym języku pisali m.in. Andreas Gryphius i Gerhart Hauptmann. Wiersz *Ein Auszugstübla* pochodzi z tomu *Drinne und Dranssa*, wydane go w Świdnicy (Schweidniss) w 1923 roku.

## AUTOGRAF TADEUSZA RÓŻEWICZA

auszugstüblatryug mir ist lang

Die blankgeputzte Fensterscheibe blitzt,  
Die Sonne guckt  
Es Auszugstübla, wo die alle sitzen,  
Groß und Gebückt

Großmutterla ein weißes Spitzahäbla  
Gedanka spinnt:  
Die Zeit vergeht - ma werd a ales Weibla,  
Die Zeit verschwind.

Großvater spricht: Und werd ma immer  
Doo muß ma ruhn: <sup>Älder,</sup>  
Ein Auszugstübla sitzt ma und die  
Besorgt derr Sohn <sup>Felder</sup>  
(...)

Schlesisches von Ernst Schenke

1923 Schweidnitz - Verlag L. Heege

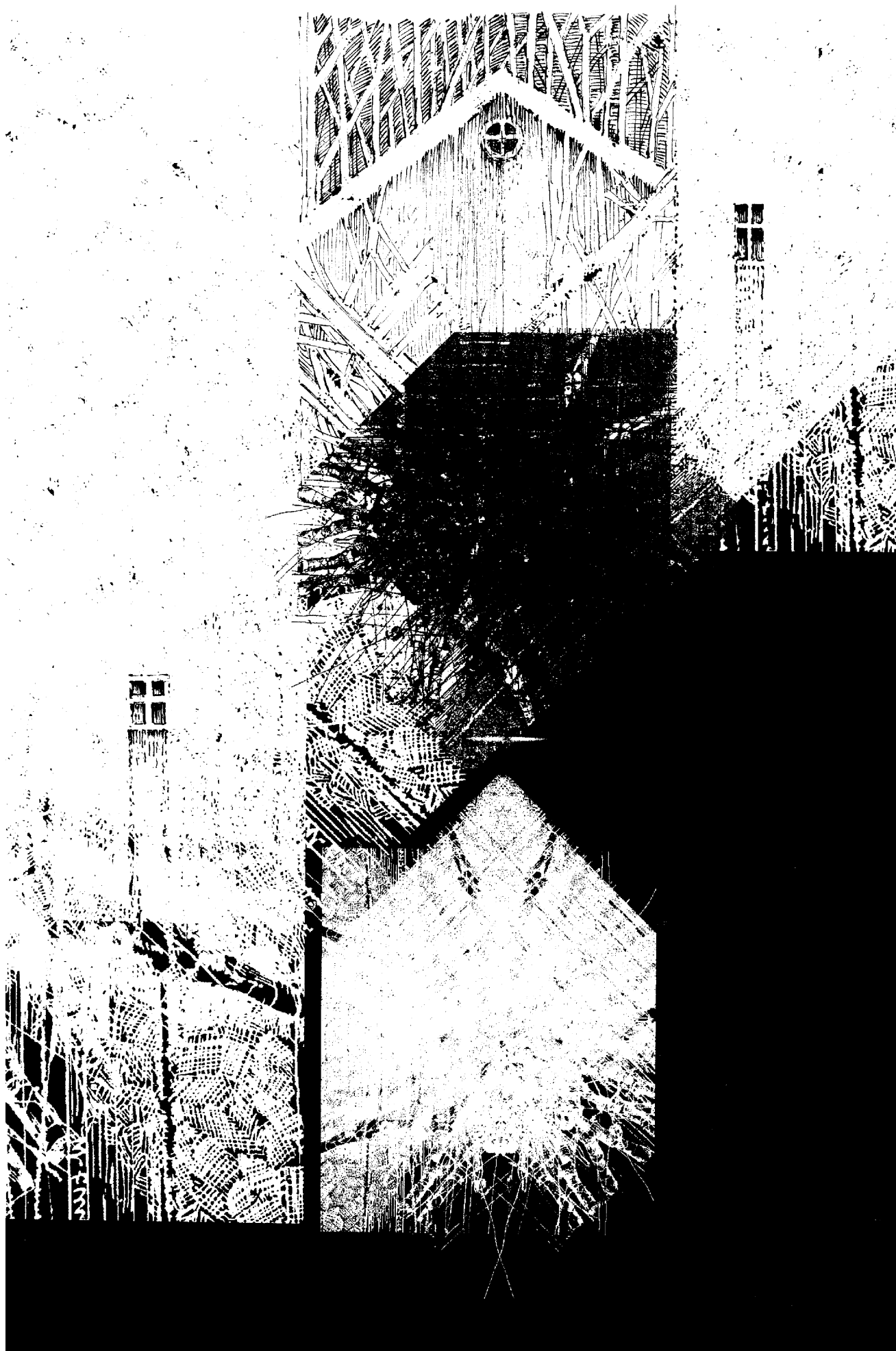
Drinne(n) und Draußa (en)

zewngt (ze srodka)

na zewngt na chome na ulicy

Tytuł wiersza został przetłumaczony przez Tadeusza Różewicza jako *Wycug*, zaś sam wiersz, przepisany przez poetę własnoręcznie, przesłany został na jubileusz dwusetnego numeru „Słaska” z serdecznymi życzeniami „dożywotniego zabezpieczenia”. [z archiwum Mariana Kisiela]

Szkic Mariana Kisiela o poezji Tadeusza Różewicza publikujemy na str. 11-13.



# Mamy 20 lat!

Wydaniem listopadowym nr 240/2015 zamykamy Rok Jubileuszowy „Śląska”, a co za tym idzie – wieńczymy nim 20. lecie istnienia pisma. Miniony rok był swego rodzaju redakcyjnym świętem, którym chcieliśmy podzielić się z czytelnikami, przyjaciółmi i sympatykami. Naszymi prezentami dla nich były dwa, publikowane co miesiąc, cykle specjalnie przygotowane na tę okazję. W „Rozmowach na 20. lecie” gościłymi wybitne osobistości, dla których Śląsk jest ważnym miejscem na ziemi. Rozpoczęliśmy spotkaniem z abp. seniorem Damianem Zimoniem, a następnie naszymi rozmówcami byli: Wiesław Myśliwski, prof. Julian Gembalski, prof. Jan Miodek, prof. Dorota Simonides, prof. Marek Szczepański, Tadeusz Serafin, prof. Krzysztof Kłosiński, Henryk Waniek, prof. Stefan Nicieja i Krzysztof Czyżewski. Rok zamykamy rozmową nie tylko o „Śląsku” i poezji – z Tadeuszem Kijonką.

W drugim cyklu, który nazwaliśmy: Kolekcja Jubileuszowa „Śląska”, prezentowaliśmy prace wybitnych artystów malarzy i grafików. Pojawiły się w nim dzieła: Joanny Piech, Antoniego Cygana, Romana Maciuzkiewicza, Weroniki Siupki, Małgorzaty Lazarek, Jana Szmatlocha, Ferdynanda Szypuły, Romana Kalarusa, Renaty Bonczar, Lecha Kołodziejczyka, Grzegorza Hańderka i Barbary Ptak (projekt graficzny kostiumu). Zamyka go grafika Stanisława Kluski.

Nie chcemy jednak rezygnować z prezentacji, ponieważ lista nazwisk wspaniałych artystów jest jeszcze długa. Tak więc zarówno w grudniowym wydaniu, jak i w kolejnych miesiącach, wprawdzie w nowym już cyklu, ale nadal będziemy kontynuować wzbogacanie kolekcji.

Numer, który oddajemy do rąk naszym Czytelnikom jest również w pewien sposób szczególny, bowiem poprosiliśmy wszystkich dotychczasowych redaktorów naczelnych pisma o obecność na „jubileuszowych” łamach. Wspomniałam już o rozmowie z Tadeuszem Kijonką – pomysłodawcą, współzałożycielem „Śląska”, którą przeprowadziła Katarzyna Bereta, zamieszczamy również fragment niepublikowanej prozy zmarłego w kwietniu tego roku Feliksa Netza – zastępcy redaktora naczelnego w latach 1995–2013, zatytułowany „Pan kapitan”, fragment prozy Krystiana Gałuszki „Ajnfarty idą do nieba”, pierwszą część eseju „Nie ma morza w Bagdadzie” Witolda Turanta a także fotoreportaż z wypraw po świecie autorstwa prof. Dariusza Rotta.

W ciągu ostatnich miesięcy, odkąd w czerwcu powierzone zostały mi przez Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach obowiązki redaktora naczelnego, staraliśmy się zmieniać „Śląsk”: zarówno kierunek, w jakim pismo ma się rozwijać, jak również jego szatę graficzną. 20 lat istnienia na rynku wydawniczym zobowiązuje! Chcemy, by każdy kolejny numer był atrakcyjniejszy, by przyciągał coraz to szersze grono czytelników.

20 lat! Nikt z nas, podczas pierwszego kolegium redakcyjnego, nie przypuszczał, że za ... 240 miesięcy będziemy świętować jubileusz 20. lecia! To Tadeusz Kijonka – człowiek niezłomny, uparty w dążeniu do celu, cieszący się autorytetem w różnych gremiach, latem 1995 roku zdołał przekonać do swojego, jakże odważnego projektu: Feliksa Netza, Jana F. Lewandowskiego, Krzysztofa Karwata, Mariana Kisiela, Wojtka Łukę i mnie. Zaledwie trzy miesiące później, w listopadzie ukazał się pierwszy numer „Śląska”.

Nie był to czas łatwy, ale – patrząc z dzisiejszej perspektywy – nieporównanie lepszy od obecnej sytuacji. Jednak w jubileuszowym słowie nie czas, by mówić o problemach i kłopotach, z którymi borykamy się z miesiąca na miesiąc.

Niezwykle cenne dla nas jest wsparcie i wiele serdecznych słów otuchy, które otrzymujemy od naszych czytelników, autorów i wszystkich osób zainteresowanych tym, co się na Ślą-

sku, zwłaszcza w sferze kultury, dzieje. Ważne dla nas jest jedno: od 20 lat jesteśmy jedynym takim pismem w regionie!

W ubiegłym roku, w listopadzie, kiedy rozpoczynaliśmy Rok Jubileuszowy przypominałam autorów, którzy gościli na naszych łamach na przestrzeni minionych 20 lat, kto wygłaszał komentarze, a kto był autorem felietonów, którzy fotografowali i graficy z nami współpracowali. Powstała przebogata plejada nazwisk! Na jej czele, aż po najnowsze wydanie, niepodzielnie króluje Tadeusz Różewicz – i to on otwiera swoim autografem, jak 20 lat temu swoim wierszem, ten jubileuszowy numer. Zatem szczególne podziękowania kieruję do prof. Mariana Kisiela, wieloletniego szefa działu krytyki literackiej i eseju, który ten wspaniały literacki, żartobliwy bibelot nam udostępnił.

Pozostając w tonie odświętnym, chcę podziękować wszystkim moim poprzednikom – redaktorom naczelnym, a szczególnie Tadeuszowi Kijonce, który wymyślił pismo, trwał z nim przez 17 lat, a i teraz, z troską dogląda pozostawionego gospodarstwa. Bardzo Ci, Tadeusz, dziękuję! I są to także podziękowania od całego obecnego zespołu redakcyjnego!

Nie byłoby co miesiąc „Śląska”, gdyby nie nieliczna grupa redaktorów – ludzi nie liczących prywatnego czasu i nie oszczędzających energii, po prostu oddanych temu pismu. Zmieniali się szefowie poszczególnych działów, ale od kilkunastu lat z redakcją związani są Maria Sztuka, Bogdan Wiedera i Wojtek Łuka. Do tego zespołu kilka lat temu zaprosiliśmy Katarzynę Beretę, a przed paroma miesiącami dołączyła do nas Maria Korusiewicz. Bardzo im dziękuję za wszystko, co czynią dla „Śląska”.

Dziękuję cudownym, będącym z nami „od zawsze” felietonistom – profesorom: Janowi Miodkowi, Markowi S. Szczepańskiemu, Magdalenie Dziadek – bez Waszych tekstów „Śląsk” nie byłby taki sam! Ogromnie je sobie cenimy, czytelnicy także!

Słowa podziękowań kieruję do wszystkich naszych autorów i współpracowników, do instytucji kultury, uczelni artystycznych i uniwersytetów, do związków twórczych i organizacji pozarządowych. Słowa wdzięczności kieruję także pod adresem naszych niestrudzonych kronikarzy: Joanny Kotkowskiej, Jana Pichety, Jacka Sikory, Janusza Wójcika, którzy co miesiąc śledzą, relacjonują i upamiętniają wydarzenia kulturalne w regionie.

Dziękuję także instytucjom i samorządom, które wspierają pismo finansowo.

Wśród adresatów podziękowań nie może zabraknąć współpracującego z nami od 20 lat Studia Typografii Profesjonalnej „KorGraf” czyli Mirosława Korbela i jego pracowników, dziękujemy im za anielską cierpliwość i wyrozumiałość.

Dziękuję również wszystkim paniom korektorkom, zwłaszcza Irenie Falkin-Sibidze za tropienie wszelkich potyczek językowych.

By „Śląsk” mógł pojawiać się co miesiąc na rynku, wiele pracy organizacyjnej w ten proces musi włożyć Wydawca, czyli Górnośląskie Towarzystwo Literackie i Współwydawca – Biblioteka Śląska. Zatem podziękowania kieruję do pana dr. Tadeusza Siernego – prezesa GTL i pana profesora Jana Malickiego – dyrektora Biblioteki Śląskiej.

Droży Czytelnicy!

Kupujcie, czytajcie i propagujcie „Śląsk”  
przez kolejne lata!

Jesteście najważniejszym ogniwem tego przedsięwzięcia.



Fot. Zbigniew Sawicz

Z TADEUSZEM KIJONKĄ rozmawia KATARZYNA BERETA

# Najważniejsza jest dla mnie poezja

– W 1998 r. w raporcie o stanie kultury na Górnym Śląsku pisał Pan, że genetycznym piętnem kultury w tym regionie jest dramat jej niespełnienia, który trwa od wielu dekad. Kiedy wydawał się on głębszy – wówczas czy dziś?

– To jest zdanie rozpoczynające mój drugi już raport, gdyż pierwszy powstał w 1981 r. na potrzeby Sejmiku Kultury Śląskiej, do którego niestety nie doszło z powodu ogłoszenia stanu wojennego. Uważam, że za każdym razem ów dramat niespełnienia miał inne podłoże i był innego rodzaju.

Ten z okresu PRL wynikał z ograniczonej wolności i suwerenności środowisk twórczych i artysty, natomiast nie było wówczas w kulturze tak wielkiego niedostatku jak teraz. Wbrew pozorom doszło też obecnie do zdominowania polityki kulturalnej przez wszechwładną administrację, zaś potwierdzeniem tego był II Kongres Kultury Województwa Śląskiego w 2010 r. Tu nie liczy się artysta, nie liczą się środowiska twórcze, nie mają znaczenia dokonania trwałe, czyli dzieła! Przed 1989 r. były jakieś pozory, że władza przywiązuje wagę do pozycji artysty, do organizacji spotkań z twórcami. Przypomnę na przykład taki fakt, że przez długi czas na początku stycznia Edward Gierek spotykał się w Katowicach po kolei ze środowiskami twórczymi. Była to z jednej strony oficjalna próba podkreślenia ich rangi, z drugiej zachęta do większej aktywności twórczej i społecznej. Wiele rzeczy było wówczas oczywiście niemożliwych ze względu na zamknięte granice oraz przynależność kraju do sowieckiego obozu, ale istniał szacunek dla artysty i dzieła. Kilar, Górecki, Duda-Grac, Kutz, Szalonek wtedy właśnie doszli do swoich wielkich nazwisk.

Największy dramat niespełnienia oczekiwań i nadziei wiązał się z przełomem październikowym. Kiedy Katowice powracają w 1956 r. do swojej historycznej nazwy, już jako miasto otwarte. Wtedy to niebawem pojawia się duży tygodnik „Przemiany”, który ma nakład 55 tys. egzemplarzy. Na jego łamach prezentowana jest także awangardowa twórczość Zachodu. Wkrótce jednak wprowadzone zostają ponownie ograniczenia wolności i pismo pada po niespełna roku działalności. Ale samo jego pojawienie się na rynku było przejawem wyzwolenia ogromnych aspiracji oraz próbą nawiązania do tego, co działo się w świecie. Oczywiście na miarę ówczesnych możliwości, bo przecież nikt z nas nie jeździł wówczas za zachodnią granicę, poza Kilarem, który przebywał na stypendium w Paryżu. W tamtym czasie wyraźnie jednak odczuwa się nawiązanie do zachodniej kultury, zwłaszcza w muzyce i malar-



stwie, bo w literaturze rzecz miała się odmiennie. Dramat niespełnienia polegał zatem na tym, że na fali przełomu październikowego pojawiło się wiele nowych propozycji, które jednak nie mogły się rozwinąć.

O tym pisałem zarówno w raporcie z 1981 r., jak i w tym, który powstał na potrzeby Kongresu Kultury w 1998 r. Do zorganizowania wspomnianego kongresu doprowadziły środowiska twórcze, gdyż nie doszło do planowanego na 19 grudnia 1981 r. Sejmiku Kultury Śląskiej. Wypracowany przez Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach program kulturalny został gdzieś pogrzebany, pojawiła się więc potrzeba ponownego sięgnięcia do niego, aby podmiotowość artysty mogła znaleźć swoje potwierdzenie w aktywnym zbudowaniu nowego programu odpowiadającego potrzebom Śląska. I temu służył kongres w 1998 r. Natomiast ten z 2010 r. był już typowo biurokratyczny, zorganizowany z punktu widzenia instytucji administracji, która zdominowała program, i właściwie nic po nim nie pozostało. Panowało na nim ogromne samozadowolenie z tego, co udało się zrobić, a na marginesie znalazły się kwestie kluczowe dla pozycji kultury i sztuki oraz dokonania twórczych.

W ów dramat niespełnienia wpisuje się także zasiedloność osób w administracji na kierowniczych stanowiskach. Decyzje są tak podejmowane, by te pozycje zachować i utrzymać. Natomiast twórca i artysta jako współautorzy programu kulturalnego są w tym układzie w zasadzie niepotrzebni. Ich głos w ogóle nie ma znaczenia. Liczy się bezkonfliktowa układność i towarzyska zapobiegliwość.

**– W raporcie z 1998 r. pisał Pan, że po wojnie Katowice zostały zdominowane przez spotęgowaną mentalność technokratyczną. To przyniosło smutne skutki w postaci białej plamy na mapie kulturalnego rozwoju regionu, zwłaszcza w okresie socrealizmu. Rozwijała się jedynie jako asemantyczna muzyka, czyniąc ze Śląska zagłębienie talentów muzycznych. A dzisiejsze Katowice? Nadal dominuje technokracizm, polityka i ideologia, czy też może zaczynamy doceniać kulturę?**

– Jest parę zjawisk, które są bardzo korzystne, zwłaszcza uruchomienie cyklu inwestycyjnego. W Katowicach bowiem nic się dotąd nie budowało. To się zmieniło w ostatnich latach dzięki środkom unijnym. Zmarnowano jednak wiele programów, które były niegdyś wypracowane. Mało kto pamięta, że już w 1949 r. miał zostać wzniesiony budynek Wielkiego Baletu, usadowiony tam, gdzie powstał gmach związków zawodowych. Potem Teatr Wielki miał stanąć w miejscu, gdzie obecnie stoi

Spodek. To był wspaniały obiekt. Nikt nadal nie wie, dlaczego doszło do zepchnięcia tej inwestycji w niebyt.

Przez całe lata nic się u nas nie budowało. Teraz nastąpiło zdecydowane przyspieszenie i mamy to, co mamy, m. in. wspaniały gmach NOSPR i nowe Muzeum Śląskie. Dostrzegając te osiągnięcia, musimy jednak pamiętać o tym, że obecnie inwestuje się w nowe obiekty w całej Polsce – na przykład we Wrocławiu powstało Narodowe Centrum Kultury, w Szczecinie imponująca filharmonia, w Białymstoku Opera Podlaska, w Krakowie gmach opery. Musimy zatem postrzegać siebie w kontekście tego, co dzieje się w innych regionach Polski. Wszędzie próbuje się odrobić lata zapóźnień. Równocześnie trzeba pamiętać, że Katowice są od lat pozbawione prestiżowego wydawnictwa, choć sytuację ratuje Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, wydające coraz więcej litera-

---

**Dramat niespełnienia polegał zatem na tym, że na fali przełomu październikowego pojawiło się wiele nowych propozycji, które jednak nie mogły się rozwinąć.**

---

tury, choć jest to osobista zasługa przede wszystkim prezesa Tadeusza Siernego. Jest to również miasto bez gazety codziennej, gdyż „Dziennik Zachodni” wyjechał stąd do Sosnowca.

Generalnie jednak zaczynamy doceniać znaczenie kultury, ale straciliśmy ileś generacji, które do niej nie doszły. Działa tutaj oczywiście i szlachetny snobizm, ale potrzeba lat, by urodziła się i wzrosła publiczność kulturalna – czytająca, bywająca. Jesteśmy więc w trakcie realizacji procesu odzyskiwania wpływów. Ale powiem też tak: gdy się bardzo cieszymy z sukcesów, to pamiętajmy o roku 1945, gdy tuż po wojnie niemal z dnia na dzień doszło do imponującego rozwoju życia kulturalnego i to od podstaw. W lutym pojawił się w Katowicach Witold Rowicki z grupą muzyków i powstała orkiestra radiowa, jeszcze nie Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, gdyż ta uformowała się parę lat później, gdy Fitelberg przybył do Katowic. W tym czasie w oparciu o lokalnych muzyków Zbigniew Dymek powołał zespół, który przekształcił się następnie w Filharmonię Śląską. Bodaj w kwietniu Teatr Śląski dał swoją pierwszą powojenną premierę, wystawiając *Zemstę*. Gdy w sierpniu zjechał Teatr Polski ze Lwowa, Katowice dysponowały bodaj największym zespołem aktorskim w kraju. No i fakt wyjątkowy: 14 czerwca miała miejsce pierwsza w powojennej Polsce premiera *Halki* przyszej Opery Śląskiej, jeszcze wówczas na scenie katowickiej. Mo-

mentalnie pojawiły się wydawnictwa. W pewnym okresie powojennym było ich tutaj 28. W lipcu Szewczyk uruchomił czasopismo kulturalne „Odra”. Trwała walka o uniwersytet, zrodziła się Politechnika Śląska. W kwietniu do egzaminów do konserwatorium stanęło 800 kandydatów. Proszę zobaczyć, co się tutaj działo! Dwa miesiące po wojnie! Jakie były ambicje i aspiracje! A przecież Katowice straciły swoją polską publiczność w wyniku roku 1939, rodzima inteligencja została wymordowana! Przyjechali jednak na Śląsk ludzie ze Lwowa oraz z innych utraconych miast, w tym ze zniszczonej Warszawy, i to oni zaczęli tworzyć klimat życia artystycznego. Powstaje miasto kawiarni, w których spotyka się przyjezdna i lokalna cyganeria. Katowice miały wówczas swój klimat, który się skończył wraz z nastaniem okresu stalinizmu. Wtedy padła „Odra”

i Instytut Śląski. Ale zaraz po wojnie był tutaj ogromny potencjał.

Gdyby tamten pierwszy rozmach pełen planów został podtrzymany, Katowice mogły stać się innym miastem – jednym z centrów kulturalnych Polski. A tak zostały zepchnięte do funkcji szczególnie podporządkowanej władzy i zadaniom produkcyjnym.

**– Oczywiście budujemy na tym kapitale przeszłości – przede wszystkim na muzyce i plastyce, które przez cały okres powojenny stały na wysokim poziomie, skutecznie opierając się ideologicznym wpływom, by wspomnieć tylko grupę St-53. Dzisiejszy Śląsk kontynuuje te dobre tradycje, ale poza tym co nowego?**

– W twórczości wciąż nie tak wiele. Jeśli chodzi o dokonania najwyższej rangi, to, co osiągnęli Kilar i Górecki, to dokonania szczytowe w muzyce. Ale gdzie następcy, jeśli pamiętać o dorobku Eugeniusza Knapika? Można powiedzieć, że Lech Majewski, twórca rangi międzynarodowej, przejął pozycję, którą zajmował niegdyś Kutz. Są też środowiska, które mają niemal potencjał rozwojowy, ale czy odpowiednie warunki rozwojowe – a nic się z siebie nie bierze. Ten stan odpowiada stagnacji w polityce kulturalnej regionu, która sprowadza się do administrowania bez większych aspiracji i wizji rozwojowych.

Najtrudniej jest literaturze. Jest oczywiście dużo młodych, w większości poetów. Oczywiście pojawił się Twardoch, pisarz z miejsca uznany, który

wziął się „sam z siebie”. To są jednak zjawiska indywidualne. Nie ma natomiast autentycznego życia literackiego z dyskusjami, z tym wszystkim, co tworzy środowisko twórcze, bo jakimi instytucjami dysponuje literatura i kogo jej rozwój tutaj naprawdę obchodzi? A przecież są już wpływowi krytycy, gdyż uniwersytet wytworzył całą grupę ludzi piszących o literaturze. Nie ma jednak dyskusji podstawowych dla literatury, bo nie ma prestiżowych wydarzeń czy ogólnopolskich imprez literackich. Nie udało się dotąd ustanowić chociażby nagrody literackiej miasta Katowice, jaką ma Gdynia, że już nie wspomnę o Wrocławiu. Literatura nie może liczyć na stypendia twórcze odpowiedniej wysokości, nie doszło do napisania zainspirowanej chociażby konkursem współczesnej wielkiej powieści o Śląsku, a są całe dziesięciolecia do rozliczenia ze względu na polityczne, historyczne i społeczne problemy. To wszystko wynika z trwałej apatii i braku środowiskowej energii, bo i kogo ten stan obchodzi z odpowiedzialnych władz. Ja sam pró-

będzie jednak do odtworzenia, bo Śląsk – nie licząc pojedynczych nazwisk – nie ma wielkich publicystów o ogólnopolskim prestiżu. Oczywiście z prasą jest wszędzie trudno, gdyż internet zrobił to, co zrobił.

**– W 1998 r. zwrócił Pan uwagę na kilka istotnych problemów środowiska literackiego na Górnym Śląsku: jego silne zantagonizowanie, zerwanie młodego pokolenia z tradycją oraz fakt, iż wokół pisarzy na Śląsku wyrósł mur regionalnego getta. Czy dzisiaj nadal mamy do czynienia z atomizacją, zerwaniem z tradycją oraz regionalizacją tematów?**

– Dzisiaj każdy może pisać, co chce i o czym chce. Oczywiście to się nie przełoży zaraz w ważne książki. Nie doszło jednak do wzmocnienia własnymi siłami środowiska literackiego o nazwiska o dużym dorobku i potencjale. Rozwój pisarza to z reguły lata, ważną rolę spełniają w tym warunki i tradycje środowiska. Kto na przykład może zająć po Feliksie Netzu, pisarzu jakże wszechstronnym, jego pozycję? To był dorobek

Do tego modelu pisarza i funkcji literatury nie ma już chyba powrotu.

**– Taką próbą zaktywizowania i scalenia środowiska literatów było powołanie do życia Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego?**

– Tak. Wraz z odejściem Wilhelma Szewczyka skończyła się pewna epoka. On przez lata organizował życie literackie Śląska, miał w sobie ów nerw społecznikowski i swoją działalnością wyrażał misję pisarza, który nie tylko tworzy, ale jest także działaczem kulturalnym, wypowiada się jako publicysta, uczestniczy w życiu publicznym z tego tytułu, iż ma autorytet, który pisarz zawsze w Polsce miał. Fenomen Szewczyka później jednak już się nie powtórzył. Ponadto po 1989 r., gdy padła RSW „Prasa”, znikło ogromne wydawnictwo o potężnych możliwościach technicznych, administracyjnych i finansowych. Odtąd nie było na rynku prasy kulturalno-społecznej o wysokim nakładzie i zasięgu. Upadek koncernu RSW „Prasa” spowodował likwidację wielu ważnych tytułów w Polsce, m.in. nie udało się uratować „Życia Literackiego” w Krakowie. To spowodowało zniknięcie naturalnych dla twórców miejsc, w których mogli publikować, w których omawiane były ich kolejne książki i toczyły się ważne dyskusje literackie. W ten sposób zaginął pewien model czasopisma kulturalnego i związane z nim tradycje. Tego się już nie odtworzy. Taki jest ogólnopolski stan. Są oczywiście różne niszowe wydawnictwa, o których jednak wie zazwyczaj niewielkie grono.

Poza tym w okresie stanu wojennego zniszczono Związek Literatów Polskich, który stał się polityczną ofiarą konfrontacji z władzami opozycji literackiej. Powstałe później od podstaw Stowarzyszenie Pisarzy Polskich miało czystą kartę. Pomiędzy tymi dwiema organizacjami doszło jednak do wykopania głębokich rowów. W Katowicach nie mieliśmy na szczęście tego problemu, miałem natomiast świadomość, że po 1989 r. otwiera się możliwość uruchomienia potencjału regionalnego. Rozważałem więc, co tu zrobić, żebyśmy w Katowicach nie poddali się mechanizmowi degradacji i samosądu, ale wpisali się w nowy, rodzący się model kultury policentrycznej. Przypadek zdarzył, że znalazłem w swoich szpargalach informację o tym, że w 1892 r. w Bytomiu powołano Górnośląskie Towarzystwo Literackie. Uznałem, że nadarza się wspólna okazja, by w setną rocznicę powołania tamtego Towarzystwa stworzyć nowe o tej samej nazwie. Przygotowałem projekt statutu, odbyłem szereg rozmów z osobami o odpowiedzialności i tak na dzień 19 grudnia 1992 r. zwołałem zebranie założycielskie z udziałem pisarzy Opo-

---

**Kto na przykład może zająć po Feliksie Netzu, pisarzu jakże wszechstronnym, jego pozycję? To był dorobek kogoś, kto od debiutu utalentowanego poety był związany z Katowicami.**

---

bowalem doprowadzić do uruchomienia literackich inicjatyw większego formatu, bez skutku, tyle że stałem się uciążliwym natrętem, który wciąż czegoś chce. Brakuje też liderów w poszczególnych środowiskach artystycznych. Dawniej grupy te spotykały się także towarzysko i próbowały coś zrobić same od siebie. Teraz tego nie ma, a administracja ich nie zastąpi, bo dla niej liczy się spokój, brak roszczeń i bezpieczna zasiedloność.

**– Górny Śląsk nie miał po wojnie szczęścia do własnych pism. Zamykano kolejne ważne tytuły: „Odrę”, „Przemiany”, „Poglądy”, „Zaranie śląskie”. Skutki braku regionalnej prasy kulturalno-społecznej przy równoczesnej podaży takich propagandowych tytułów jak „Trybuna Robotnicza” doprowadziły do spustoszenia w światopoglądzie mieszkańców oraz odebrały ludziom na szereg lat możliwość wyrażania własnej tożsamości etnicznej i kulturowej. A jak postrzega Pan współczesny regionalny rynek prasowy?**

– Jest kiepski. Została właściwie lokalna „Gazeta Wyborcza”. Ocalał „Dziennik Zachodni”. Ale tu było kiedyś kilkanaście tytułów, a przed wojną ponad dwadzieścia. W Katowicach nie ma już nawet drukarni prasowej. Tam, gdzie była zasłużona drukarnia Korfanego, są teraz zupełnie inne instytucje. Nie uratowano nawet legendy! Dawny rynek prasowy w szerszym zakresie nie

kogoś, kto od debiutu utalentowanego poety był związany z Katowicami. Brakuje nam dziś prestiżowych, symbolicznych nazwisk, do których można by się odwoływać. Wcześniej doszło do odejścia całej generacji, która rozpoczęła swoją twórczość jeszcze w okresie przedwojennym. Mam na myśli Hierowskiego, Szewczyka, Baranowicza. Oni się później pojawili w 1945 r. i zorganizowali życie literackie od podstaw, zwłaszcza pierwszy i drugi. Śmierć Wilhelma Szewczyka w czerwcu 1991 r. stanowi jakby zamknięcie procesu odchodzenia tej formacji, która należała do generacji ciągłości i miała szczególne poczucie związków z regionem, wynikające także z procesów historycznych. Z tych pisarzy, którzy przez dziesięciolecia tworzyli tutaj zrab środowiska, nie ostał się już nikt. Osobne miejsce przez wszystkie lata twórczego życia zajmował oczywiście Gustaw Morcinek, który stał się symbolem śląskiego pisarza i śląskiej literatury. W tym modelu ważne miejsce zajmowały powinności społeczne, obywatelskie.

Muszę też stwierdzić z żalem, że narosła od lat niechęć do podejmowania działań społecznych, ale to nie tylko w tym środowisku. Na to nie ma rady. Czasem gdzieś się pojawi jakiś niespokojny duch, coś na krótko zaczyna się dziać, a tymczasem to powinien być proces, to powinna być norma, wynikająca z odpowiedzialności osobistej.

---

**Niedocenie twórczości w polityce kulturalnej jest jednak katastrofalnym błędem. Przyjęło się, że autor nie musi mieć honorarium. Stało się regułą, że poeta dokłada do wydania własnego tomiku, tak jakby był osobą majątną, którą stać na samofinansowanie się.**

---

la, Bielska-Białej oraz środowiska cieszyńsko-zaolziańskiego. Przede wszystkim przekonałem do tej idei Renatę Zwoźniakową, pisarkę związaną z opozycją, przewodzącą gronu członków SPP, co pozwoliło z założenia stworzyć organizację ponad podziałami. W kolejnym roku zostały załatwione wszelkie prawne formalności i tak GTL trwa już blisko 23 lata i liczy obecnie ponad 150 członków. Niestety w ostatnim czasie życie literackie w granicach Towarzystwa także straciło swoje mocne tętno. Udało nam się jednak utrzymać miesięcznik „Śląsk”, okręt flagowy GTL.

– **Pismo, które – choć z wielkimi trudnościami – trwa już 20 lat.**

– Tak. To było główne zadanie GTL, aby powołać stabilny tytuł o ponadregionalnym zasięgu, o otwartej formule, poszerzonej, nie tylko regionalnej. W ten sposób narodził się miesięcznik „Śląsk”, który objął całe środowisko humanistyczne w regionie. Pierwszy nakład 5 tys. egzemplarzy, zasięg rzeczywiście dość szeroki, kontakty otwarte i często prestiżowe. Członkami honorowymi GTL byli przecież Henryk Markiewicz, Tadeusz Różewicz, Florian Śmieja, Henryk Bereska, Wiesław Myśliwski i pastor Rudolf Baron, nieżyjący już Ślązak osiadły w Niemczech, służący cennymi kontaktami. To było odwołanie się do pewnych autorytetów, które bardzo wspierały i pismo, i organizację w różnych zakresach działalności. Różewicz drukował niemal do końca życia swoje liczne utwory w „Śląsku”. Bywał w redakcji częstym gościem. I tak „Śląsk” doczekał się już 240 edycji.

Odkąd pojawił się 1. numer w listopadzie 1995 r., pismo nieprzerwanie ukazuje się do dzisiaj, mimo iż w ostatnim czasie przeżywa szereg narastających trudności, głównie ze względów finansowych. Jest to więc już tytuł z dwudziestoletnią historią. To jest wielki dorobek! Powstaje zatem pytanie, kto chce, a nawet powinien, to pismo godnie wspierać tu na miejscu, aby ono się nie zapadło? To pytanie pozostawiam otwarte.

Odczuwamy jednak ogromną satysfakcję z dotychczasowego dorobku, bo powołując „Śląsk”, nie mieliśmy zupełnie nic, nawet własnej kartki na stole. Byli natomiast ludzie! Zespół, jaki powstał u zarania, był świetny, znakomity. Feliks Netz, Marian Kisiel,

Krzysztof Karwat, Jan Lewandowski, niezawodna Wiesia Konopelska, którą wypatrzyłem i przekonałem, że podobała. Oni stworzyli „Śląsk”. A od pierwszego spotkania do wydania pierwszego numeru mieliśmy ledwo dwa miesiące. Wyłożony w tym listopadowym numerze program, zatytułowany *Po pierwsze: Śląsk*, okazał się do dzisiaj wiążący.

– **„Uprawianie sztuki i zawodów artystycznych na wysokim poziomie stało się kosztownym luksusem (...)” – to zdanie z 1998 r. jest nadal zaskakująco aktualne. Dziś chodzi jednak już nie tylko o zubożenie środowisk twórczych, ale także o duchową, estetyczną, a nawet etyczną implozję, która wynosi na piedestał i nadaje miano dzieła wszelkiej produkcji, legitymizuje kicz, grafomanię i amatorszczyznę jako estetyczny ideał. Jaką rolę w tej legitymizacji kiczu spełnia współczesna prasa kulturalno-społeczna?**

– Dziś zajmuje się przede wszystkim informacjami. I jest oczywiście ważne, by one się pojawiały. Natomiast w mniejszym stopniu informacje te są hierarchizowane, szerzej opisywane, bo to wymaga refleksji większego formatu, z pewną perspektywą historyczną. I tego niestety brakuje. Niedoceniecie twórczości w polityce kulturalnej jest jednak katastrofalnym błędem. Przyjęło się, że autor nie musi mieć honorarium. Stało się regułą, że poeta dokłada do wydania własnego tomiku, tak jakby był osobą majątną, którą stać na samofinansowanie się. Jest to zatem twórczość biedaków, a przez to traktowana jako czwartorzędna.

– **35 lat temu zawiązał się Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach, który przygotował Raport o stanie kultury i sztuki w województwie katowickim. Czytamy w nim, że województwo katowickie zostało przekształcone w swoisty obóz pracy: „Tu pracuje się (...) najciężej, żyje w warunkach najbardziej uciążliwych (...). Stan kultury jest w takich warunkach fragmentem globalnej polityki społecznej w tym regionie oraz określonego stosunku do wyższych aspiracji człowieka, (...) minimum potrzeb mogło mieć tylko społeczeństwo całkowicie podporządkowane, zdeintegrowane i niedoinformowane, a więc nieświadome prawdziwego stanu swojej upokarzającej sytuacji społecznej. Tylko określo-**

**ny typ człowieka, osoby zdominowanej, bezwolnej i bezrefleksyjnej, wskutek obciążenia najcięższą pracą, mógł przystać na życie w tych warunkach”. To brzmi jak opis współczesnej Polski z umowami śmieciowymi i kulturą tandety serwowaną przez media! Po 35 latach niewiele się *de facto* zmieniło.**

– To jest cytat z raportu, którego byłem autorem. 6 listopada 1980 r. przy Warszawskiej 37 w Katowicach zawiązał się KPSTiN, którego Kutz został przewodniczącym, a ja wiceprzewodniczącym. Mieliśmy przygotować Sejmik Kultury Śląskiej, przed którym trzeba było opracować raport opisujący stan kultury w województwie. Ostatecznie redakcję tego tekstu Kutz powierzył mnie. Nie został on jednak przedstawiony publicznie, gdyż nie doszło do Sejniku w grudniu 1981 r. Myślę, że gdyby to spotkanie się odbyło, wykrytalizowałby się inny rodzaj zadań i pozycji środowisk twórczych jako partnera władzy, możliwe byłoby też podjęcie generalnej dyskusji i sformułowanie realnego programu kulturalnego dla tego regionu.

Przedstawiona w cytacie opinia dotyczyła natomiast województwa katowickiego, zdominowanego wówczas przez myślenie technokratyczne, propagandę sukcesu i nieczułość na indywidualnego człowieka. Śląsk w tamtym czasie przypominał wewnętrzną kolonię, o czym mówiłem podczas sejmowej komisji kultury, a także z trybuny sejmowej. Poseł Stanisław Giećewicz-Pilarska podkreśliła, że o fatalnym stanie kultury w województwie katowickim sejmowa komisja słyszała głównie z moich ust i to w bardzo żarliwej, uzasadnionej formie. Doprowadziłem nawet w 1988 r. do dwudniowego, wyjazdowego posiedzenia sejmowej komisji kultury w Katowicach, aby można było pochylić się nad problemami dramatycznego niedorozwoju kultury na Śląsku. Równocześnie w tych dramatycznych warunkach żaden wcześniejszy program kulturalny nie został zrealizowany, a często nawet uruchomiony. Kończyło się wszystko na napisaniu pustego dokumentu i zatwierdzeniu go na jakiejś egzekutywie. Powstała więc atmosfera braku zaufania, że cokolwiek da się zrobić. Coraz częściej pogłos tego myślenia daje się niestety zaobserwować obecnie.

– **W historii każdego pisma szczególnie ważne są numery jubileuszowe. W grudniu 1999 r. ukazał się numer 50., w lutym 2004 – 100., w kwietniu 2008 – 150., a w czerwcu 2012 – 200. Na pewno ważny był numer 1., a później te wydawane w 5., 10., 15. i 20. rocznicę pojawienia się „Śląska” na rynku prasowym. A który numer jest najważniejszy dla Pana?**

– Pierwszy, dlatego że bez niego nie byłoby następnych. To w nim też został wyłożony program. Nim jednak powstał ten numer, trwały wytężone działania, by pismo o takim tytule mogło powstać. W końcu z komisji likwidacyjnej RSW „Prasy” otrzymaliśmy bezpłatnie prawo do używania nazwy „Śląsk”. Następnie poszukiwaliśmy środków finansowych, które obiecano nam w urzędzie wojewódzkim, ale niestety obietnicy nie dotrzymano. Przez trzy miesiące na początku działalności mogliśmy natomiast liczyć głównie na dobre reklamy prestiżowych firm na czele z Węgłokoksem. Bardzo silnego wsparcia udzieliła też pani minister Blida, która wyjednała nam u ministra kultury Dejmka największą w historii pisma jednorazową dotację, wynoszącą 120 tys. złotych.

Kiedy w grudniu 2012 r. po zredagowaniu 216 numerów odchodziłem wyłączenie z przyczyn osobistych z redakcji i spoglądałem wstecz, byłem pewny, że wydarzył się niewątpliwy cud w śląskich warunkach, ale jego początkiem był numer 1., dlatego on jest najważniejszy.

– **Ks. abp Damian Zimoń zwrócił uwagę na wielowymiarowość Pana osoby. Łączy Pan bowiem w sobie temperament dziennikarski z osobowością społecznika oraz wrażliwością i refleksyjnością liryka. Kim czuje się Pan najbardziej?**

– Poetą. W domu za sprawą mamy, która miała ogromny szacunek do słowa pisanego, czytaliśmy wieczorem książki przy kolacji. Już w technikum pisywałem młodzieńcze sonety. Decydujący był jednak klimat domu. W Rybniku nie było przecież żadnego życia literackiego. Będąc już studentem, czułem, że poezja jest bardzo indywidualną formą wypowiedzi i należy poszerzać swoją publiczną obecność. Kiedy pojawiły się „Przemiany”, wydrukowałem w nich pierwszy reportaż. Potem drukowałem reportaże i artyku-

## JAK BYĆ POLAKIEM W NIEMCZECH?

# MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 1 ROK I • LISTOPAD 1995

CENA 3 zł / 30000 zł

**RÓŻEWICZ** w Gliwicach

Diagnozy prof. **Henryka MARKIEWICZA**

Proza **KUTZA**

**Jacek WÓDZ** Górny Śląsk – przyszłość bez przyszłości

**KOBIELA** kaskader śmieszności

Misja Śląska według księdza **SZRAMKA**



– **44 sonety brynowskie** to tomik, w którym poszukuje Pan życia w śmierci, nadziei w rozpacz i istnienia w niebycie. Próbuje Pan zmierzyć się niczym Syzyf z kamieniem filozofii i wepchnąć go na górę zrozumienia. Czy ten zbiór

– Życie jest sztuką bez prób, od razu premierową. Wyraził to Pan dobitnie w sonecie *Bez świadków*: „(...) Zmierz się z sobą skazaniec własnej wyobraźni, / Sam na sam – lecz czy życie można unieważnić?... / To nie sonet po czasie spisany na nowo”. Zapytam zatem przekornie, co spisałby Pan na nowo w swoim *curriculum vitae*, gdyby było to możliwe?

– Przede wszystkim nie marnowałbym w życiu aż tyle czasu. Moje społecznikostwo to było także ogromne rozdrobienie się, a często i branie na swoje barki spraw ponad siły. Dokonywało się to kosztem poezji, która na szczęście okazywała się zawsze bardzo wyrozumiała i mogłem liczyć na jej wsparcie w sytuacjach krytycznych.

**Różewicz drukował niemal do końca życia swoje liczne utwory w „Śląsku”. Bywał w redakcji częstym gościem.**

ły publicystyczne we „Współczesności”, „Odrze” i innych pismach. Był to nawet sposób zarabkowania studenta polonistyki, ale poezja była zawsze sprawą główną. Ona wyrabiała we mnie pewien rodzaj wrażliwości i reagowania na świat. To, że uprawiałem także inne rodzaje wypowiedzi, sprawiło z kolei, iż mogłem być przydatny w redakcji. Kiedy więc Szewczyk zakładał „Poglądy” w 1962 r., zaproponował mi etat. To było wielkie wydarzenie. Najważniejsza była i jest dla mnie jednak poezja.

**pomógł Panu zbliżyć się choć odrobinię do szczytu, czy pozwolił zajrzeć za zasłonę przybytku?**

– Ja się nie nastawiałem na pisanie sonetów, one się jakby wysypywały ze mnie. Pojawiło się w ostatnim czasie kilka ważnych esejów na temat tego zbioru, które zwracają uwagę na to, że ukształtował się w nim nowy typ sonetu, który ma specyficzną cechę, jako że sam sonet stał się w nim moim *alter ego*. Doszło tu więc do przekazania prawdy wewnętrznej w dialogu z sonetem.

**Tadeusz Kijonka** – pomysłodawca, współzałożyciel i redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk” w latach 1995 – 2012.

Czy Tadeusza Różewicza  
można nazwać  
teoretykiem poezji?  
Uwierzyliśmy poecie,  
że nie wie, czym jest  
i czym powinna być poezja,  
że jego uwagi o poezji  
i tworzeniu poezji są zawsze  
w niegotowości,  
formułowane przy okazji  
i niesystemowo.

# RÓŻEWICZ

## Szkic do poety współczesnego

MARIAN KISIEL

To prawda, jeden z największych poetów wieku XX nie zostawił po sobie żadnego traktatu, manifestu, definicji. Napisał: „Wszelkie «manifesty» i definicje ograniczają nasze ruchy, usztywniają nasze postawy”. A przecież wielokrotnie próbował zapisać doświadczenie poezji jako własne doświadczenie tworzenia. Tak powstały *Przygotowanie do wieczoru autorskiego* i *Margines, ale...*, *Języki teatru* i liczne bloki korespondencji. Doświadczenie tworzenia zapisywał poeta, opatrując je autobiograficznym wyznaniem i osłabiając znakami niepewności. Miały one pokazywać nie teoretyka, prawodawcę nowych znaczeń, ale praktyka. Błądzącego i/może odnajdującego poetę. Dlatego zanotował: „Chciałbym podzielić się pewnymi doświadczeniami, które nasunęły się w czasie pisania wierszy. Chodzi tutaj o najbardziej osobiste uwagi. Nie będzie to więc próba przeprowadzenia analizy poezji współczesnej, lecz raczej próba podzielenia się wszystkimi wątpliwościami, jakie ofiarowała mi moja praktyka poetycka”.

„Podzielić się”, „nasunęły mi się”, „najbardziej osobiste uwagi”, „wątpliwości”... Zaproszenie do rozmowy, a nie narzucenie sądów. Piękna współobecność.

W eseju „*Kto jest ten dziwny nieznanomy*”, będącym próbą krytycznego portretu Leopolda Staffa jako poety, zawarte zostało jedno z najważniejszych przeświadczeń Różewicza. Poeta, odżegnując się od teorii poezji, dał tu mały traktacik o poezji rozumianej jako istotność, tj. złożenie słów koniecznych. Poezja, powiada, nie zawsze jest „poezją”, częstokroć jest tylko zestawieniem słów niczym kompletowanie modnego stroju. Poeci często piszą „modnie”, tak jak ludzie ubierają się modnie. Chcą być w stylu epoki. Ale: „Styl to często kostium, maska. Moda”. Różewicz powie o młodopolskim języku poezji Staffa: „Tak się pisało w owych latach. Ten, a nie inny sposób

był przyjęty. Tak wypadało pisać, i tak pisał młody Staff. I tak pisali inni”. „Wspólna była [...] szata słów i frazesów”, „kostiumów” i „masek”. Prawdziwy poeta potrafi jednak je zrzucić/odrzucić. Rozumie, że „Najszybciej starzeją się utwory, do których użyte zostały kostiumy i maski”. Nie wiedzą o tym poeci epigoni, i poeci wątpliwy „we własną twardość”, „we własną głębię”. Wtedy: „Poezje chodzą w maskach. Kostiumach. Ale przechodzą lata i maski spadają. Ukazuje się człowiek. Prawdziwie jego oblicze. Ale to są utwory nieliczne. Ostatnie”. „Maski i kostiumy spadają w sytuacjach krańcowych [...], w utworach, gdzie nie obowiązują żadne poetyki, gdzie nie ma nawet śladu po «poezji» lub po tym, co nazywamy «poezją». Przywołując określenie Stanisława Brzozowskiego, Różewicz zanotował: „Aktorstwo w pisaniu. Choroba literatury. Największa choroba poezji”. Czym jest owo „aktorstwo”? „Nadużyciem słowa”. Poza, teatralizacją, zbędnym naddatkiem. Kiedy poeta odrzuca „maskę” i „kostium” – „Opada «poezja». Przemawia się głosem ludzkim, przerywanym przez wzruszenie”. Przywołując Mickiewiczowski arcyfragment *Uciec z duszą na listek...*, Różewicz powie: „Odkryta została przed nami kraina nowej poezji, za którą kroczy milczenie. Najdoskonalsza i ostateczna forma poezji – jeśli można wierzyć wyznaniom poetów”.

W eseju o Staffie Różewicz dwukrotnie przywołał także zdanie André Malraux: „Problem, który staje dzisiaj przed nami, to pytanie, czy na tej starej europejskiej ziemi człowiek umarł, czy nie”. Autor *Czasu pogardy* wypowiedział te słowa na konferencji UNESCO w 1946 roku. Różewicz zacytował wybrane przez siebie fragmenty przemówienia. Zapisał te, które mówiły o wieku XIX: „pokładał niezmierzoną nadzieję w nauce, w pokoju, dążeniu do godności człowieka”, ale nie zacytował zdania, że „Problem Zła nie zawsze był obcy XIX wiekowi”. Cy-

tował zdanie: „Ponad tym wszystkim, co widzimy, ponad widmami i ponad ruinami miast rozciąga się nad Europą jeszcze straszliwsza obecność: spustoszona i brocząca krwią Europa nie jest bardziej spustoszona i nie bardziej broczy krwią niż człowiek, którego spodziewała się stworzyć”. Ale nie zacytował innego: „Było na świecie cierpienie takiej miary, że dźwiga się przed nami nie tylko dramatycznie, ale i metafizycznie, i człowiek dzisiaj musi odpowiadać nie tylko za to, co chciał zrobić, nie tylko za to, co chciałby zrobić, ale jeszcze za to, czym sądzi, że jest”.

Malraux, pisarz i żołnierz Ruchu Oporu, był sprzymierzeńcem Różewicza, pisarza i żołnierza AK, w uwyrażeniu idei odpowiedzialności sztuki po II wojnie światowej. „Poezja Ruchu Oporu i poezja lat powojennych dała na to pytanie odpowiedź nie w języku Muz, lecz w języku ludzkim” – napisał Różewicz.

Ważne wyznaczenie: „[...] pozbawiony byłem bogów, skazany byłem (sam się skazałem) na wymiar wyłącznie ludzki. Tu i teraz. Źródła metafizyczne, które karmiły poezję od jej początków, przestały bić dla mnie. Źródła estetyczne również wyschły. Doświadczenie historyczne, które wyniosłem z wojny, okupacji, z bezpośredniego zetknięcia się z hitleryzmem, faszyzmem, to doświadczenie pchało mnie w kierunku materializmu, realizmu, socjalizmu, a nie w kierunku metafizyki. Wnioski, które wyciągnąłem z tego doświadczenia, kształtowały również moją twórczość poetycką. Konieczność wyrzeczenia. Pępownina, która łączyła poezję z metafizyką, została przecięta. Teraz poezja musiała znaleźć inne źródło życia, inne środowisko dla rozwoju. Środowisko czysto ludzkie. Tu i teraz”.

Poezją rządzą Muzy. „Językiem Muz” są „maski” i „kostiumy”, retoryczny wdzięk poezji. Po wybuchu II wojny światowej wszystko się zmie-

niło. Trzeba było dać „odpowiedź nie w języku Muz, lecz w języku ludzkim”.

Pojęcie „języka Muz” przejął Różewicz od Paula Valéry’ego. Opierając się na pracy Ludmiły Morawskiej o poezji Valéry’ego, powiada, że autor *Eupalinosa*, początkowo będąc zwolennikiem maestrii językowej, u kresu życia doszedł do przekonania, że tylko język ludzki („humaine”) jest jedyną możliwością wyrażenia prawdy bez „nadużycia słów”, bez „aktorstwa w pisaniu”. Różewicz cytuje Morawską: „Proza, którą porównuje do marszu, dąży do pewnego celu, ma charakter raczej utylitarny. Poezja, przyrównana do tańca, jest systemem czynności, które są celem samym w sobie, nie dążą nigdzie”. Pojawia się tutaj określenie „taniec poezji”, przeciw któremu Różewicz kategorycznie zaprotestuje. „Taniec poezji” oznacza u niego „autoteliczność poezji”, nakierowanie na funkcję poetycką, prawdopodobnie także na zaba-

Być może w metaforze „tańca poezji” odbija się jedna z najważniejszych, tuż powojennych dyskusji o poezji. Różewicz nie wziął w niej udziału, był przed debiutem, ale chyba dokładnie ją zapamiętał. Po ukazaniu się *Ocalenia* Czesława Miłosza, głos zabrał Kazimierz Wyka, odpowiedział mu Miłosz. Był rok 1946 i wojna nie była odesłana do lamusa pamięci. Wyka napisał, że „Miłosz marzy o [...] arkadii, tkwiąc w samym sercu burzy”. A ta arkadia to „kraj niewinności, spokoju, nieskażonych cnót i radości”. Tu wojna, a poeta śni w czasie i przestrzeni o „świecie obiektywnie pięknym i obiektywnie prawdziwym”.

Jednym z argumentów na potwierdzenie tezy Wyki miał być wiersz *Walc*. Miłosz replikował: „Wiersz *Walc* jest bardzo prosty: damie tańczącej walca w roku 1910 ukazuje się, a raczej mogłaby ukazać się, wizja lat II wojny światowej. Dwie epoki: jedna,

---

**„[...] pozbawiony byłem bogów, skazany byłem (sam się skazałem) na wymiar wyłącznie ludzki. Tu i teraz.”**

---

wę. To odrzuca. Mówi mocno: „Taniec poezji zakończył swój żywot w okresie drugiej wojny światowej w obozach koncentracyjnych, stworzonych przez systemy totalitarne”.

Dlaczego poezja nie ma być odtąd autoteliczna? Bo człowiek znalazł się w sytuacji granicznej (Różewicz przywołuje Jaspersa) i „Odejdźcie w takich granicznych sytuacjach od specjalnego języka «poetyckiego» dało te utwory, które nazywam utworami bez maski, bez kostiumu”. I pointa: „Są oczywiście poeci, którzy «taniec poetycki» uprawiają konsekwentnie aż do końca. Bez względu na sytuację ludzkości, kraju i swoją własną. Ta postawa jest równie jałowa co bohaterska, równie optymistyczna co śmieszna”.

Jacek Łukasiewicz powiada, że metafora „tańca”, abstrahując od sensów jakie nadał jej Różewicz za Valéryem, nie jest trafna. „Nie jest to trafna metafora, bo dlaczego [...] właśnie odrzucenie tańca ma być równoznaczne z odrzuceniem fałszywej zdobności? Taniec jest też przecież sposobem istnienia, bywa wyrażającą prawdę sztuką. I to wielką sztuką, bezpojęciową, jak muzyka czy malarstwo abstrakcyjne, albo sztuką narracyjną, o czym świadczą balety rytualne, liturgiczne i teatralne. Tworzy się, tańcząc, zawsze radośnie, zawsze jest w tym tworzeniu, tak jak w tworzeniu poezji lirycznej, element dionizyjski (nastrój, natchnienie), który porywa. Tak więc poezja nie przestaje i nigdy nie przestanie być analogonem tańca”. Być może. Różewiczowi chodziło jednakże o inny taniec – „arkadyjski”, przeciwstawiony tańcowi Zagłady. Pisał o tym w wierszu *Drzewo*.

w której dojrzewa to, co obali istniejący ład, i druga, w której obalanie się dokonuje. Tragedia niewiedzy o przyszłości”. I dalej: „Kazimierz Wyka [...] twierdzi, że wyraża się w tym wezwaniu „szukanie odrębności w imię piękna”. Ciekawe. Czy dlatego, że każę jej dalej tańczyć walca? Tańczenie walca ma niewątpliwie w sobie więcej piękna niż widok obozów koncentracyjnych. Ale gdyby w swej rozkosznej niewiedzy nie tańczyła walca, nie byłoby dramatycznego zderzenia, nie byłoby wiersza”.

Różewicza do Miłosza zbliża „rozkoszna niewiedza”, wyrażona w beztroskim tańcu, ale także zgodność poglądów, że „język Muz” i „aktorstwo w pisaniu” jednak istnieją. „*Sonet krymskie* – pisał Miłosz – są dla mnie mniej zbiorem wynurzeń lirycznych, a bardziej pieśnią na bas solo, gdzie wykonawca wcale nie jest tożsamy z całym, że się tak wyrażę Mickiewiczem. Podobnie jak *Treny* Kochanowskiego są *extemporale* na temat śmierci, ze świadomym dobraniem wzorów, jakie istnieją w literaturze, tak w *Sonetach* osoba mówiąca jest w specjalny sposób upozowana, niby na portrecie Wańkowicza”.

Jacek Łukasiewicz zanotował: „W dyskusji Gombrowicza z Miłoszem o poezji TR stawałby [...] po stronie tego drugiego. Wzniosłość osiągnąca i wzbudzająca podziw nie jest przebrzmiałą ideą. TR przedziera się ku niej, widząc jej związek z obnażeniem (czy może z obnażaniem, gdyż całkowite wyzwolenie z fałszujących form nie jest i nie będzie możliwe). Poezja jest wartością i jako wartość jest rzeczywiście. Poezja jest „naga”, a to



znaczy, że „nagi wiersz” nie tylko pozbawiony jest „ozdób”, ale i „tańca”, przez co rozumiał – za Valéryem – że oczyszczona jest z estetyzowania, autoteliczności”.

„Zostawcie mnie. Nie jestem poetą. Nie mam nic na ten temat do powiedzenia”. W *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* poeta ma powiedzieć o „wnętrzu poety współczesnego w moim kraju”, o poecie i poezji, ale mówi, że nie wie, nie umie, nie chce. Będąc poetą, nie jest nim, nie chce nim być, chce zarabiać na życie pisaniem, a nie mówieniem o pięknie. Zanotuje: „Produktowanie «piękna» w celu wywołania «przeżyć estetycznych» było dla mnie czynnością nieszkodliwą, śmieszna i dziecinna...”. Ironizuje: „Człowiek czas traci, zajmuje się śmieciami za-



miast tworzyć «piękno». Miły Boże, zostań maszynką do produkowania „piękna” i «poezji»! I tak już przez całe życie paprać się w tym «pięknie», doić to piękno, karmić ludzi tymi odchodami natchnienia i wyobraźni”. Nie. „Te wszelkie rozważania estetyczne, tomi-

w tym wnętrzu? We mnie. Może drzewo poezji?”.

Zwróćmy uwagę na cudzysłowy. „Poezja”, „poeta”, „piękno” są raz ubrane w cudzysłów, a raz nie. Kiedy pojawia się on w wypowiedzi Tadeusza Różewicza, jaką spełnia funkcję? Czy

słowie). Ale w przypadku refleksji nad poezją to nie kwestia dawnego stylu, osobniczego idiolektu, języka domowego jest najważniejsza. Cudzysłów wzmacnia (przez przytoczenie) lub osłabia (przez zdystansowanie się). Ale na ogół uwyrażnia niepewność, niewiedzę. Kiedy Różewicz mówi o „próbie podzielenia się wszystkimi wątpliwościami, jakie ofiarowała mi moja praktyka poetycka”, to wiemy, że ta „próba” jest w cudzysłowie.

Poezja bowiem jest tym, czym jest, a najmniej jest tym, czym wydaje się, że jest.

---

**„Produkcowanie „piękna” w celu wywołania „przeżyć estetycznych” było dla mnie czynnością nieszkodliwą, śmieszną i dziecinną...”.**

---

ki, liryki, metafory, «szkoły» – do śmietnika, do worka!”. Zapyta jednak: „Czy mam prawo przedstawiać się w takim świetle? Przecież to jest kosz na śmieci. A co będzie, jak wyrzucę z siebie ten śmietnik? Będzie pusto. Co wstawią na miejsce śmietnika? Co tam wyrośnie

jest ironiczny, czy serio? Czy jest cytatem, czy *quasi*-cytatem, to jest przywołaniem potocznego (ironicznego lub poważnego) wyrażenia?

Poeza ma świadomość, że jego język należy do dawnego stylu. Często używa słów z przeszłości (więc w cudzy-

# Pan kapitan

Fragment  
niedrukowanej powieści

Z podziurawionego, jakby zżartego przez robactwo cienia wszedł w słońce, które spadło na niego jak topór. Uderzenie było bezgłośnie, ale ogłuszające; przez chwilę nic nie słyszał; tylko na wargach poczuł ostre ukłucie, słoneczny promień sprawił mu ból, jakby użądliła go osa; długo szedł drogą, nad którą stare wiązy nachylały się ku sobie, tworząc nieszczelne, lecz chroniące przed lejącym się z nieba żarem, sklepienie. Spojrzał za siebie, na moment przystanął, zbierał w sobie siły, aby odepchnąć od siebie to, co zostało w tyle. Odepchnąć, ale rozważnie, zachowując dość siły, by oderwać się od piaszczystej drogi i wejść w coś, co było przed nim. Przezuwał, że to coś więcej, niż niewielka wieś, nieco na uboczu, nie wzdłuż traktu, ale skosem do niego; wszystko, co działo się z nim – od dzieciństwa do tego dnia – było tym, co ludzie nazywają życiem. A w tym punkcie ziemskiego globu, pod obcym niebem, na piaszczystej, zalanej słonecznym blaskiem drodze, tuż za postrzępioną granicą cienia czekał na niego los. I głęboko odetchnął gorącym, rozwibrowanym powietrzem. Szedł, a skoro doszedł do tego miejsca, widocznie miał tutaj dojść. Gdyby go ktoś zapytał, dokąd idzie, omiótłby spojrzeniem białe zboże, wyrzynający się w słonecznym pyłe dach pokryty falistą blachą, oślepiający blask rozpięty nad tym obcym mu i obojętnym, najzupełniej przypadkowym światem, i nic by nie odpowiedział. Poczul w sobie pewność, że tutaj umrze, bo tutaj wszystko, nawet bujne, dojrzałe żyto pachniało śmiercią. I jakby na przekór tej pewności zrobił krok w lewo i zerwał ciężki, wąsaty kłosa, przytknął go do spieczonych warg, dotknął językiem i przygryzł. Drobinę słodkości i wilgoci doniosł czubkiem języka do podniebienia. Wtedy zobaczył studnię, a przy studni kobietę, która uniosła ramiona i przez kilka sekund tak trwała, nieporuszona. Mógł pójść dalej, ale nie poszedł, a skoro nie poszedł, najwidoczniej musiał zatrzymać się w tym miejscu, teraz, i zrobił to, a skoro to zrobił, nic nie mogłoby zachwiać jego pewnością, że ta studnia i ta kobieta to jest jego los.

Stał przed nią tak blisko, że wciągnął ustami i nosem słodko-kwaśny zapach jej potu. Roześmiała się i śmiejąc się przechyliła wiadro nad jego głową, poczuł ziąb wody, jej twardość, jej sedno, jakby po kilkudziesięciu przeżytych latach woda po raz pierwszy objawiła mu istotę swojego bytu. Dotknął twarzy; nie była mokra. Woda wylała się z wiadra na jego głowę, spłynęła po jego oczach, policzkach, podbródku, gardle, ale była sucha i sypka jak piasek. Patrzył w szeroko otwarte oczy kobiety, w których nie dostrzegł nic oprócz własnej twarzy; w każdym z osobna oku widział swoją dzisiejszą twarz, na którą od dość dawna spoglądał niechętnie.



Grafika: Wojtek Łutka

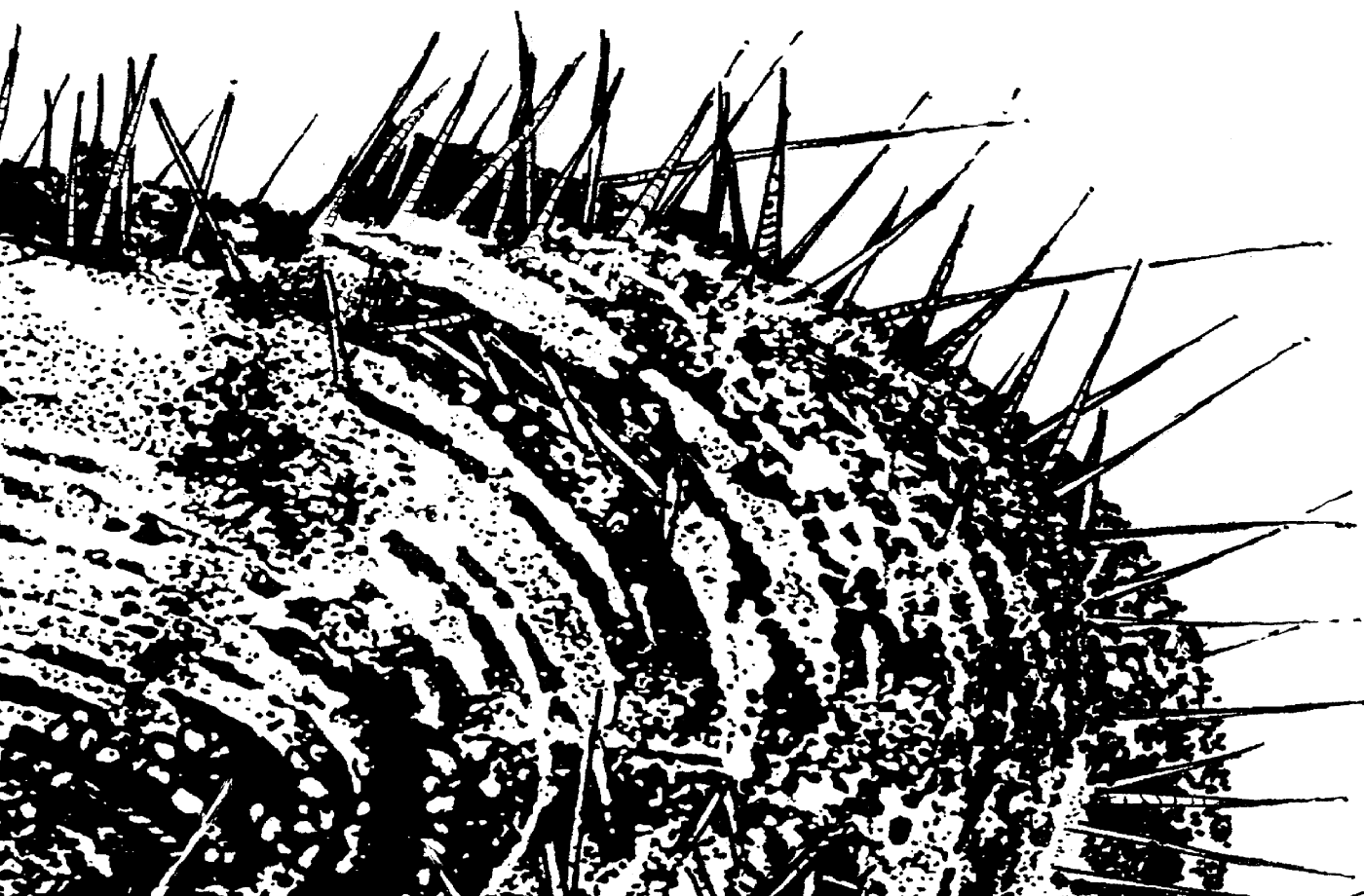


nie, czasem nie bez zawstydy. Czuł, że nigdy nie był tak bardzo na swoim miejscu, wręcz u siebie, jak w oczach tej kobiety. Gdyby miał komu powiedzieć, powiedziałby, że przez całe swoje życie był nie tam, gdzie być powinien, bo powinien być tu, w oczach tej kobiety, która śmiejąc się ruszyła w stronę domu pokrytego falistą blachą. Szedł za nią. I gdyby było komu powiedzieć, co widzi w tej chwili, powiedziałby, że widzi skrzydła. Po prostu dwoje skrzydeł. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jedwabistych, białych piór, lecz żadnych piór nie dotknął, bo przecież kobieta nie miała skrzydeł, jedynie dwie lekko odstające łopatki. A jednak widział skrzydła. Wszedł za nią do chłodnej sieni. W kącie stał cebrzyk pełen mleka, na którym zdążyła się zebrać cienka warstwa śmietany. Wsadził w nią palec i ukradkiem go oblizał. Nie znalazł tego smaku. Kobieta otworzyła drzwi, za którymi panował półmrok, postąpił kilka kroków za nią. Poczł zapach tego miejsca, trudny do zidentyfikowania.

\* \* \*

*Chłopiec lubi ukrywać się na poddaszu – nie chować się, przebywać, czy zbijać bąki, ale ukrywać się, tak samo jak pan kapitan, który ukrywa się pod dachem domu chłopca, jego Mamy i starszej o dwanaście lat siostry Elki, wystarczająco wysokim dla chłopca, ale dokuczliwie niskim dla pana kapitana, który albo chodzi na mocno zgiętych nogach, co chłopca śmieszy, bo pan kapitan jest duży i chudy. Ależ on ma nogi, jęknęła Elka, która popatrywała z ukosa na pana kapitana, kiedy przewiązany ręcznikiem mył się w kuchni z zasłoniętym oknem, w dzień, przy słonecznej pogodzie, chciałabym mieć takie! Jęknęła już przed Mamą, która czuwała na podwórzu, żeby ktoś nieoczekiwanie nie przyszedł do ich domu. Mama spojrziała na Helkę z błyskiem w oczach, jakiego chłopiec nie znał, mógł to być gniew, mógł też być lęk. Chłopiec z siostrą zmieniali wodę w balii i to już trzeci raz. Chłopiec miał dziwne uczucie, że pan kapitan jest jego tatą, a w tym uczuciu było jeszcze coś szczególnego, dodatkowe uczucie, że to jest z ni-*

*czym nieporównywalny widok ten ojciec kąpiący się w kuchni, w balii, a nie sposób nadażyć z gorącą wodą, jako że torf pali się leniwie i nie bucha żarem, zresztą trzeba pamiętać, aby z komina nie wzbijał się zbyt gęsty dym. Pan kapitan siedzi blisko ni to okienka, ni otworu w ścianie z desek, przez które wpada słońce nagrzewając gęste pajęczyny do tego stopnia, że rozłazi się ich tkanina i porwane strzępy unoszą się w powietrzu, przylepiając się do ust, chłopiec brzydzi się dotknąć ich językiem, zdiera je palcami z warg. Pan kapitan usadowił się przy okienku i rysuje. Narysował kozę, jak żywa! Mamę narysował z fotografii, poprosił tylko, by chazajka pozwoliła mu przez minutkę popatrzeć na siebie. To mu wystarczyło. Rysował ołówkiem na szarym papierze do pakowania. Stąd ten papier w domu chłopca, jego Mamy i siostry Elki, że już dość dawno dała go im na przechowanie pani Kornelia Ruta, kiedy musiała zamknąć sklep, jaki prowadziła z Niemca. Prócz papieru był jeszcze granatowy materiał, o którym Elka mówiła, że się leje przez ręce, był też słój z kolorowymi cukierkami, który jednak został schowany o wiele przemyślniej niż pan kapitan, bo chłopiec, mimo nieustrudzonych poszukiwań, jeszcze go nie znalazł. Nie rozpoznał Mamy na rysunku wykonanym przez pana kapitana, ale Mama na fotografii także była mu osobą nieznaną, w każdym razie niemal nie przypominała Mamy, niemal!, ale też nic więcej, nic mniej. Chłopiec patrzył na pana kapitana z zachwytem i podziwem, gdy ów narysował siostrzyczkę chłopca, Manię, która umarła nim chłopiec się urodził, i nie pozostała po niej żadna fotografia, jednakowoż żyła, chodziła za chłopcem krok w krok, czuł jej zapach, pachniała mokrą ziemią, jak młode ziemniaki, świeżo wykopane, zanim się je otrząśnie z ziemi. Słyszał każdy jej ruch. Miała na sobie niebieską sukienkę, która szeleściła, jakby ją uszyto z papieru. Rozmawiał z Manią. Raz podsłuchiwała ich rozmowę Mama. – Z kim rozmawiasz, dzieciaku, spytała ni to rozbawiona, ni to zatroskana, ale gdy odrzekł: – z Manią, zasępiła się, i nawet dość mocno palnęła go w czubek głowy, nie bolało go, ale rozplakał się, sam nie wiedział dlaczego, tak nagle i głośno, prawdziwymi, ob-*



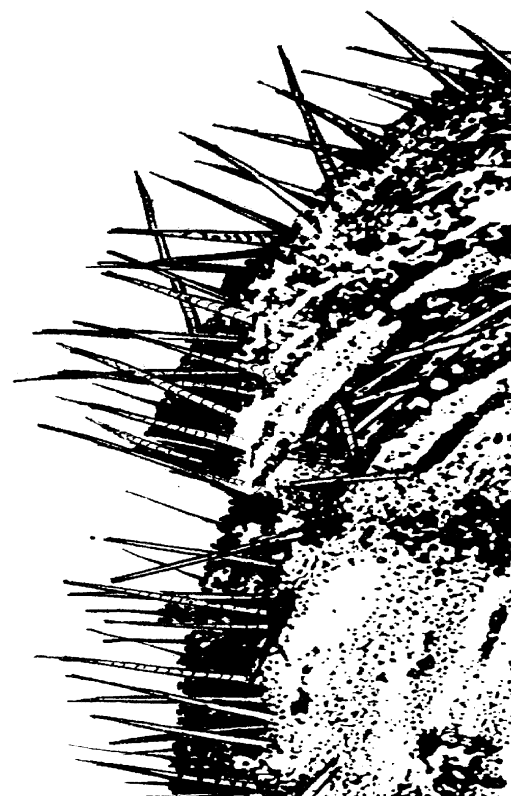
*ficie płynącymi łzami, że przerażona przytuliła go do piersi i pocałowała w czubek głowy. – Mania nie żyje, mój ty głupi, wszeptala mu w czubek głowy, i jej grube łyzy poprzez włosy sparzyły mu skórę. Dwie łyzy, nie więcej. Mania żyła. Gdy jej powiedział, że chyba Mama zabierze go do Brodnicy, żeby zobaczyć jak wygląda miasto i rzeka Drwęca, bo jeszcze nigdy w tym mieście nad rzeka Drwęca. – To przywieź mi z miasta złote pudeleczko, powiedziała Mania. Nie rozumiał, o jakie pudeleczko prosi! – Niech pan kapitan narysuje moją siostrzyczkę, Manię, na co pan kapitan odrzekł: – A gdzie ona? Chłopiec wskazał ruchem głowy miejsce obok siebie, po lewej ręce, bo prawym bokiem stał do pana kapitana. – Acha – rzekł pan kapitan i popatrzył na chłopca z większą niż do tej chwili uwagą.*

– Prawdę mówi? – spytał jednoręki ruski oficer. Zerknęła w bok, tam skąd doszedł jego głos, i widziała jak jedną ręką wyjmując papierosa z pudełka, zapala go zapalniczką, poczuła mdły zapach benzyny, i chowa w górnej prawej kieszeni pudełko i zapalniczkę, równocześnie zaciągając się dymem z rozkoszą, odchylwszy głowę do tyłu.

Widziała siebie, jak idzie piaszczystą drogą Ignąc po kostki w sykim piasku, który przepływał między palcami jej bosych stóp, niczym ruchliwa, gęsta woda; widziała siebie siedząc na niewygodnym krześle, które ruski oficer rozłożył w powietrzu, z trzaskiem, szarpnąwszy nim jedną ręką, i również bez pomocy drugiej, bo jej nie miał, przysunął do niej w ten sposób, że lekko trącił ją w napięte i drżące załomy kolan, chytrze ją zmuszając, aby chcąc nie chcąc usiadła, z klapnięciem. Widziała siebie, jak idzie z Kolonii do Gminy, nie posuwając się naprzód, lecz stale cofając się, chociaż to nie było dokładnie tak: co dwa kroki, jakie postąpiła do przodu, robiła krok do tyłu, ale to też nie było dokładnie tak, bo jednak minęła już figurkę Matki Boskiej Polnej, postawioną tam w jakimś niepamiętnym roku, może w przeszłym stuleciu, w odległości dwóch kilometrów od środka Kolonii, od środka, czyli od masywnego piaszkowego kamienia, prawie idealnie prostokątnego, długiego na dwa metry, szerokiego na półtora, a wysokiego na metr, płasko ściętego u góry, postawionego tam w jakimś niepamiętnym roku, może w przeszłym stuleciu, kiedy przez Kolonię przechodził kordon oddzielając to, co ruskie, od tego, co pruskie, na uboczu drogi, gęsto obrośniętego krzewami bzu, zwanego w Kolonii lilakiem. Widziała siebie, jak mija figurkę, przeszła więc dwa kilometry, to znaczy, że cofała się jedynie w głowie, w zamęcie myśli, ale i w lęku, nie w głowie, lecz w brzuchu gdzie kłut ją za każdym krokiem, nie dając o sobie zapomnieć, w rzeczywistości przeszła dwa kilometry, i to był ten moment, kiedy pomyślała, że jest już o dwa kilometry bliżej ciężkiego grzechu, który musiała dopełnić, aby zmasać grzech poprzedni, jeszcze cięższy. Widziała siebie, jak idzie tą drogą, z torebką w prawej ręce, trzymając zgrabne czółenka w lewej, wsłuchana w dźwięk piasku, który przesypany jak sucha mąka, a skrzypiał jak ścięty mrozem, pierwszy śnieg.

\* \* \*

*Chłopiec nie wiedział, co to jest przyszłość. To znaczy rozumiał, że chodzi o to, co będzie. Ale co to znaczy? Co ma być, i kiedy? Czy przed nim jest jakaś przyszłość? A skąd miałby to wiedzieć! Nie wiem, o co pan kapitan pyta, nie wiem, co mam odpowiedzieć... – Ja źle mówię po polsku – powiedział – to pewnie dlatego mnie nie rozumiesz. Chłopiec gorąco zaprzeczył, ponieważ pan kapitan mówił językiem dla niego zrozumiałym; nie całkowicie polskim, nierozumiał coś się nie zgadzało z tym, jak mówił on, Mama, czy Elka, już nie mówiąc o pani Kornelii Rucie, którą nie tylko Mama i Elka bez złości przedrzeźniały, że mówi „ę, q”, ale przecież go rozumiał.. – Bo ja, w jaką stronę bym nie postąpił, śmierć. Chłopiec miał zapytać, dlaczego, gdy poczuł w garści piąstkę swojej siostrzyczki Mani. Spojrzał w jej stronę, była tuż przy nim, z nóżką w buciku nienowym, ale wyczyszczonym brązową pastą do połysku, tuż przy jego bosej nodze. – Dzisiaj zabierze go anioł – powiedziała siostrzyczka Mania i zabrzmiało to tak samo pewnie i nieuchronnie, jak słowa Mamy, że pierwszego września pójdzie do szkoły, do pierwszego oddziału. To się stanie za miesiąc, bo jest początek sierpnia. Czy to znaczy, że to jest moja przyszłość, zamyslił się chłopiec. – Jestem bardzo ciekawy jak jest w kościele, rzekł pan kapitan ni stąd ni zowąd, czym zaskoczył chłopca, bo jak to możliwe, aby tak dorosły człowiek, choćby i Ruski, jak pan kapitan, nigdy nie był w kościele? – Jakże to? – zaczął chłopiec, ale urwał, bo nie wiedział o co ma zapytać. – Ty tego nie pajmiesz, ale u nas nie ma kościołów, ot co! – powiedział pan kapitan i uciekł spojrzeniem w bok, jakby trochę zawstydzony go własne słowa. – Jakże to? spróbował chłopiec jeszcze raz, czując, że to, o co chciałby zapytać, sprawi mu okropną mękę, lecz pan kapitan krótkim: – Jest też i taki świat, pomógł mu i równocześnie go przeraził. Chłopiec poczuł jak w jednej chwili świat mu się powiększył. Odetchnął głębiej niż zwykle, jakby w klatce piersiowej zrobiło się więcej miejsca, tak iż nie wystarczyłby zwyczajny haust powietrza, musiał dodatkowo zaczerpnąć tchu, nie pełną pierś, ale niewiele mniej. Nie to go zdumiało, że świat się powiększył, lecz że powiększył się o świat całkiem inny. – Nigdy nie byłem w cerkwi – chłopiec żywiej zareagował na to słowo, trochę nawet rozdziawił usta – tak u nas nazywa się*



kościół. Poczul w garści poruszenie piąstki siostrzyczki Mani, szepnął w jej stronę: – Co?, na co Mania odrzekła, nie ścisząc głosu: – Czy słyszysz, co dzieje się na dworze? Skupił się, wsłuchał w to, co było po tamtej stronie, za boczną ścianą z okienkiem, nad dachem z poczerniałej słomy, i dotarły do niego odgłosy suchych trzasków, jakby kto strzelał na podwórzu. Pan kapitan przestraszył się: niezdarnie, na zgiętych nogach zrobił kilka kroków i wbił rękę w zbitą słomę dachu, skąd wyciągnął pistolet. Patrzył z napięciem w oczy chłopca, który zrozumiał, że rozszalała się letnia burza, bez deszczu, z suchymi trzaskami piorunów, i budzącymi trwogę w ludziach i zwierzętach błyskawicami. – To nic, uspokoił pana kapitana- zwyczajna burza, a jego siostrzyczka Mania spojrziała na niego okiem osoby dorosłej patrzącej z życzliwym politowaniem na dziecko: – Nie wiesz, że tak biją się anioły? Pan kapitan musiał nie dosłyszeć jej słów, bo zapytał chłopca, co powiedział, ale chłopiec w milczeniu zaprzeczył ruchem głowy. – Była u nas cerkiew, ale ją zamieniono na ubojnię trzody chlewnej, gdy byłem w twoim wieku.

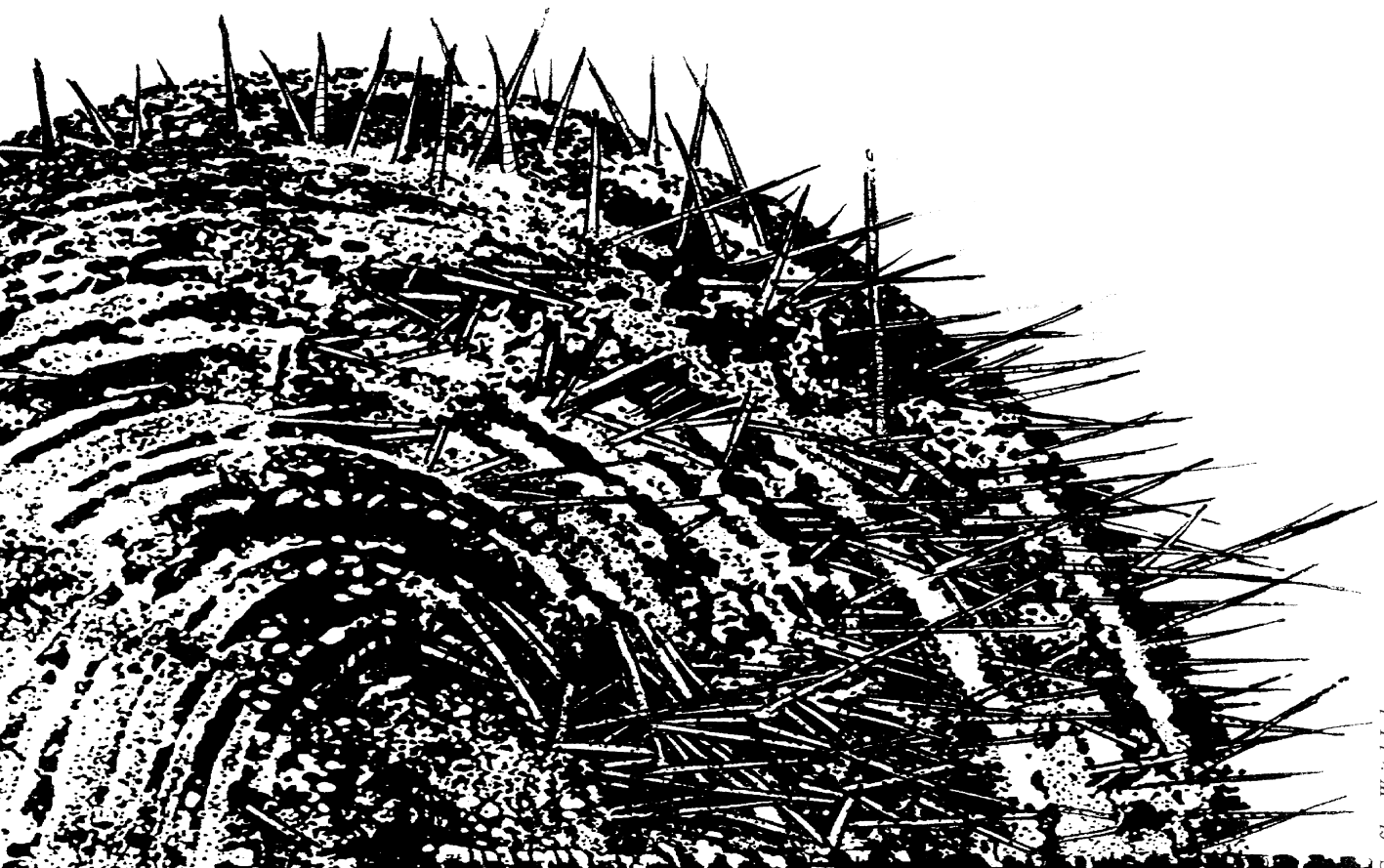
\* \* \*

Widziała go jak szedł kilka kroków za nią, z karabinem przerzuconym przez ramię, pasąc oczy do woli widokiem jej pośladków pod lekką letnią suknią; wiedziała, czuła to, była pewna, że nie widzi nic poza jej tyłkiem, że oddycha zgodnie z ruchem jej pośladków. Naszła ją myśl, zuchwała i kusząca, że może powinna zrobić coś takiego, żeby uznał, iż musi ją zastrzelić. Lecz nie wiedziała, co by to miało być? Rzucić się do ucieczki? Przecież nie będzie strzelał, po prostu dogoni ją, powali, stłucze, pewnie skopie, nic więcej. Szedł kilka kroków za nią, co widziała nie patrząc za siebie, słyszała, jak sobie popierduje, bez wstydu, owszem, śmiechem głośnym kwitując to, co robi, świadom, że ją w ten sposób poniża, a jeśli czegoś w życiu gorąco pragnął, to poniżenia Kornelii Ruty i demokracji, nie tej starej, przedwojennej, co przesrała Polskę na pięć długich lat, ale tej nowej, której zapach poczuł jak psy, które przez rozległy zagon zwietrzą sukę ociekającą sokiem.

Przepelniało go szczęście, chłodne, twarde, gładkie, pożywne jak zsiadłe mleko w glinianym garnku. Kilka razy wykrzyknął: Niech żyje demokracja! – I sam zabawił się w echo: niech, niech, niech!

**Feliks Netz (1939-2015)** – współzałożyciel miesięcznika „Śląsk”, zastępca redaktora naczelnego pisma w latach 1995-2014.

*Redakcja składa pani Beacie Netz serdeczne podziękowanie za udostępnienie fragmentu niedrukowanej powieści „Pan kapitan” Feliksa Netza.*



# Laudacja

wyłoszona przez  
prof. dr. hab. ANDRZEJA JASIŃSKIEGO  
na cześć

## Maestry MARTHY ARGERICH

w związku z nadaniem tytułu  
doktora *honoris causa*  
Akademii Muzycznej  
im. Karola Szymanowskiego  
w Katowicach

Magnificencjo Rektorze,  
Dostojna Doktorantko,  
Wysoki Senacie,  
Panie i Panowie!

Z wielką radością przyjąłem decyzję władz Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach o uhonorowaniu Marthy Argerich tytułem doktora *honoris causa*. Moja satysfakcja jest tym większa, że nie tylko znam i podziwiam jej wszechstronną działalność artystyczną, ale że miałem też przywilej współpracy z Nią w Jury kilku Międzynarodowych Konkursów Pianistycznych im. Fryderyka Chopina w Warszawie, a już za miesiąc sytuacja się powtórzy w Japonii, w Hamamatsu.

Należę do tych, którzy uważają, że niemożliwe jest oddanie w słowach fenomenowi wielkiej artystki, Jej charyzmy, która u odbiorców Jej sztuki na całym świecie wzbudza te same reakcje: zachwyt, entuzjazm, podziw. Elektryzuje.

Jest artystką bezkompromisową, wyrażającą spontanicznie, szczerze i do końca to wszystko, co – ukryte

w muzyce pod warstwą dźwiękową – stanowi prawdę o człowieku, o złożoności jego osobowości, w której koegzystują, ale i walczą z sobą, różne elementy. Martha Argerich – grając, nie używając słów – dzieli się ze słuchaczem tym, co czuje, co wprawia Ją w nastrój błogiej kontemplacji, co wyzwala uśmiechy, co jest Jej szczęściem – tym realnym i tym w marzeniach; co jest Jej troską, zmartwieniem, ale i co wyzwala energię do działania, walki, a nawet złość, bunt.

Pasja! Talent! Tak, jednak to nie sprawa wyboru, lecz wewnętrznego musu, wynikającego z zadanego przez los (opatrność) obowiązku pełnienia zaszczytnej, ale jakże niełatwej funkcji kapłanki na ołtarzu Sztuki, pośredniczki między twórcą a odbiorcą – drugim człowiekiem. To rola służebna, którą Martha Argerich pełni z oddaniem, nie szczędząc swych sił, rezygnując czasem z osobistej wygodny w życiu codziennym, a niekiedy narażając się na niezrozumienie tych, którzy nie do końca zdają sobie sprawę z tego, co dla artystki znaczy nieprzerwanie kroczyć szczytową drogą perfekcji, z której najmniejsze ryzyko zбочenia nie

wchodzi w rachubę. I tu znowu słowo: bezkompromisowość.

Gwiazda Marthy Argerich jasnym blaskiem błyszczy od Jej dzieciństwa. Jako ośmioletnia dziewczynka z powodzeniem wykonuje z orkiestrą z Buenos Aires koncerty – *d-moll* Wolfganga Amadeusza Mozarta i *B-dur* Ludwika van Beethovena, zaś w wieku 11 lat *Koncert a-moll* Roberta Schumanna. Mając 16 lat zwycięża w dwóch liczących się w świecie Międzynarodowych konkursach pianistycznych, w Bolzano i Genewie, wzbudzając zachwyty publiczności i Jury (*standing ovation*). Dwa lata później w „Le Journal de Genève” napisano: „Ten młodociany szatan fortepianu zjawił się, by potwierdzić swój zdumiewający talent, który otrzymał od niebios”. A po występach w Niemczech w prasie niemieckiej można było przeczytać takie słowa: „Olśniewające piękno, niematerialny dźwięk. Sokrates rzekłby, że to boski demon”.

No i pamiętny Konkurs Chopinowski w roku 1965. Tu zachwytom nie było końca. Była ulubienicą publiczności i krytyków. Jeszcze przed końcem konkursu Janusz Ekiert napisał w „Ekspresie Wieczornym”: „Jest ona już dziś wspaniałym zjawiskiem światowej pianistyki”. Nie widzę potrzeby powtarzać, co o Niej wówczas mówiono, pisano. Wszystko znamy i pamiętamy – my, Polacy, dla których Chopin jest dumą i miłością. Z przyjemnością cytuję słowa Marthy Argerich z wypowiedzi udzielonej dziennikarzowi z naszego miasta, z Katowic: „Był to najszczęśliwszy moment w moim życiu... Mimo ogromnie trudnego zadania, jakie stawiał przed nami ten konkurs, jechałem tam z wielkim entuzjazmem, bo Chopin zawsze był mi najbliższy ze wszystkich kompozytorów.”

Nie zdziwiłbym się jednak, i nie miałbym Jej tego za złe, gdyby Martha Argerich to samo powiedziała o Schumannie, jadąc na konkurs jego imienia, bo wiemy, że z zasady wykonuje Ona to, co rozumie, kocha – a więc utwory, których twórcy jakby stają się Jej przyjaciółmi, powiernikami myśli i uczuć.

Ów krąg wymiany emocji i wrażeń jest jednak szerszy. Włączeni są też także melomani. Martha Argerich udzieliła kiedyś wywiadu zaprzyjaźnionej z Nią Hannie Lachert, z którego wyłowilem słowa Artystki świadczące o świadomym pełnieniu wyżej wspomnianej misji bycia pośrednikiem między twórcą a słuchaczem: „Ważne jest nie tylko to, co ja czuję. Granie dla ludzi nie jest monologiem, to raczej rodzaj dialogu. Zawsze pamiętam o moich słuchaczach”.

Cokolwiek Martha Argerich wykonuje, czyni to – znów użyję tych samych słów – szczerze, bezkompromisowo. *III Koncert fortepianowy* Sergiusza Prokofiewa, wykonany niedługo po Konkursie Chopinowskim, znalazł w Jej osobie, według Jana Webera, „genialną odtwórczynię. Grała z orgiastyczną furią. Nie sposób opisać w krótkich słowach wszystkich finezji, wszystkich wzruszeń odbieranych podczas Jej gry, pełnej niezwyklej maestrii pianistycznej, magicznego czaru, jakim emanuje muzyka kształtowana Jej intuicją, rozumem, palcami”. Symptomatyczne, że recenzent zestawia określenia „z orgiastyczną furią” oraz „z finezją, wzruszeniem, magicznym czarem”. Tak! Martha Argerich jest Artystką czasem nieobliczalną, zaskakującą, porywającą. Zawsze wspaniała.

Wspomniana tu potrzeba dialogu i dzielenia się radością muzykowania z innymi spowodowała, że artystka z czasem coraz bardziej ograniczała recitale solowe. Dziś występuje albo z orkiestrą albo w repertuarze kameralnym.

„Kiedy gram sama – mówi – nie mogę się obejrzeć ani w prawo, ani w lewo. To tak, jakbym była filmowana przez telewizję, kiedy czuję kamerę bardzo blisko siebie. Mam wrażenie, jakbym nie mogła się poruszyć, jakbym została osaczona. A kiedy gram muzykę kameralną albo występuję z orkiestrą, czuję, że muzycy wokół mnie poruszają się. Patrzę na nich i też się poruszam. Jestem o wiele bardziej naturalna”. Jej partnerami-kameralistami są od laty najwybitniejsi instrumentalści. Wymieńmy tylko Gidona Kremiera i Miszę Maisky’ego, bo z z nimi nagrywała najczęściej. Szczególnym rozdziałem w jej działalności są duety fortepianowe. Tu wymienić trzeba przede wszystkim czterech pianistów: Alexandra Rabinovitcha, Stephena Kovacevicha, Daniela Barenboima i Nelsona Freire. Ale lista wybitnych artystów, z którymi wspólnie pracowała, jest o wiele dłuższa.

Od roku 2002 pianistka organizuje festiwal muzyczny „Progetto Martha Argerich” w Lugano, na którym występuje wraz ze swoimi przyjaciółmi. Choć właściwie należałoby powiedzieć, że grają tam przyjaciele Marthy Argerich, a wśród nich także Ona. W Lugano pojawiają się najznakomitsi muzycy, także młodszych pokoleń, m.in. Renaud i Gautier Capuçon. Dostojna Doktorantka robi bardzo wiele dla młodszych adeptów sztuki, których światowa kariera często zaczyna się właśnie od występów w Lugano. Obszerną dokumentację tych wydarzeń przynoszą albumy płytowe. Wspom-



niemy przy tej okazji o miłym dla nas akcencie: wśród wydanych nagrań festiwalowych znajduje się także *Kwintet fortepianowy* Juliusza Zarębskiego, arcydzieło kameralistyki, które dzięki tej rejestracji ma wreszcie szanse wejść na stałe do powszechnego repertuaru koncertowego.

Ów wielki rozdział muzyki kameralnej świadczy o niezwyklej cesze Marthy Argerich – o jej umiejętności pozostawiania w tle. Można Ją porównać do Mozarta, który grając w kwartecie smyczkowym kompozycje własne lub innych mistrzów, najchętniej wykonywał partię altówki – partię najmniej indywidualną, najmniej spektakularną, ale najsilniej powiązaną z całym zespołem; będącą jakby „duszą” kwartetu. Podobnie odczuwa muzykę argentyńska pianistka. Jak zanotował Andrzej Sulek w recenzji z festiwalu „Chopin

i jego Europa”: „Martha pojawiła się na estradzie po raz pierwszy w Koncercie na trzy fortepiany Mozarta – w partii trzeciego fortepianu. Bardziej niż sama gra pianistki (której partia najczęściej pozostawała w głębokim cieniu i niemal wcale nie wpływała na obraz całości) ujął mnie fakt, że oto Wielka Martha zajęła najmniej ekspozowane miejsce z taką oczywistością i skromnością, na jaką stać tylko ludzi prawdziwie szlachetnego i wielkiego ducha”.

Dyskografia Marty Argerich, uwzględniająca nagrania solowe, koncertowe i kameralne, zapiera dech w piersiach. Wydane są te płyty przez firmy takie jak Deutsche Grammophon, EMI, Sony, Philips, Teldac. Jej otwartość, spontaniczność owocują repertuarem złożonym z setek utworów – rzecz to dziś niespotykana, tym



Gratulacje maistrze Marcie Argerich składa prof. Andrzej Jasiński.

bardziej że są to interpretacje porywające. Szczególnie liczne są rejestracje muzyki Mozarta, Beethovena, Schumann, Chopina, Liszta, Ravela i Prokofiewa. Obsypane one zostały deszczem nagród. Martha Argerich m.in. czterokrotnie uhonorowana została nagrodą Grammy (a dodać należy, że była poza tym nominowana do tej nagrody pięciokrotnie). Wymieńmy też kilka innych nagród muzycznych: Choc du Monde de la Musique, tytuł Artysty Roku przyznany przez Niemieckie Stowarzyszenie Płytkowej Krytyki Muzycznej,

tytuł Artysty Roku przyznany przez magazyn „Gramophone”.

Wymieniając te godności, czujemy zarazem, że nagrody nie oddają wagi tej wielkiej sztuki. Nawet one nie są w stanie oddać tego, co czują melomani obdarowani owocami geniuszu Marthy Argerich. Chciałoby się o Jej grze powiedzieć coś więcej, ale słowa są czasem bezsilne. Zacytuję jednak raz jeszcze uwagę Andrzeja Sułka, który zdaje się, utrafił w sedno, kiedy napisał: „Słuchając tego brzmienia można sądzić, że Martha gra na strunach

własnymi palcami, a klawisze nie stanowią przedłużenia mechaniki instrumentu, lecz na odwrót – są raczej przedłużeniem jej palców, którymi dosięga ona bezpośrednio najdrobniejszych nerwów fortepianu”. Tak! Jej zespolenie z instrumentem jest doprawdy doskonałe, symbiotyczne, organiczne.

Szanowni Państwo! Grono doktorów honorowych naszej Akademii wzbogaca się dziś o artystkę formatu najwyższego, jedyną w swoim rodzaju, niezastąpioną. Nasza radość nie zna granic.

Dostojna Doktorantko! Jako reprezentant społeczności akademickiej pragnę wyrazić nasze najwyższe uznanie dla Pani dokonań. Oby jak najdłużej zbliżała Pani ludzi do muzyki, a także do siebie nawzajem. A my, zasłuchani, będziemy chłonąć tę aurę, jaką Pani roztacza, poddając się jej jak jakiejś czarodziejskiej mocy, która wprowadza nas w świat przeczuwany – świat dobra, piękna, radości, nienazwanej głębi. Ten świat musi być prawdziwy, skoro zamieszkujemy go, ilekroć sięgamy po Pani nagrania albo mamy szczęście słuchać Pani koncertu na żywo. Za to wszystko – z całego serca dziękujemy!

Katowice, w październiku 2015 roku

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



„Tańce symfoniczne” Rachmaninowa na dwa fortepiany zabrzmiały w wirtuozowskim wykonaniu Marthy Argerich i Nelsona Goermera.

Magdalena Samozwaniec (z Kossaków Starzewska) знаła dobrze przedwojenne Katowice, jak wspomina Barbara Hoff, tu się przyjeżdżało przed wojną na eleganckie zakupy, a córka Wojciecha Kossaka była kobietą bardzo elegancką. Miała zresztą tutaj swoich przyjaciół zarówno w sferach przemysłowych, jak i literackich, a kiedyś podobno zagadnęła nawet ówczesnego wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego o osiedla bezrobotnych na hałdach welnowieckich. Wilhelm Szewczyk wspominał, że gdy zasłużony śląski pedagog (Eugeniusz Trzaska?) wręczył jej swoją książeczkę „Gwara uczniów szkół śląskich” doszło do zabawnego nieporozumienia, o którym autor *Hanyśa* tak opowiadał:

„Przeczytałam ją z prawdziwym rozrzewaniem – powiedziała – obiecywałam sobie, że w takim języku, w ich uczniowskim języku, napiszę następną swoją książkę. Pannie Wilhelmie, to nie była gwara, to był poemat rozłożony na poszczególne słowa. „Jo cie nie pizna”, mówił na przykład uczeń do uczennicy... Wie pan, ta dwuznaczność, ale i delikatność...

Musiałem ją rozczarować, żadnej dwuznaczności tutaj nie było, słowo „piznać” oznacza po prostu „uderzyć”, ale w tym uczniowskim zapewnieniu było niewątpliwie sporo delikatności uczuć, których pani Madzi nigdy przecież nie brakowało mimo pozorów, jakie usiłowała stwarzać”.

Nie ma powodu więc aby nie wierzyć jej notatkom na temat września 1939 w Katowicach, miasta, które znała i lubiła i do którego powracała także po wojnie. W sporym zbiorze dokumentów związanych z Kossakami znajdującymi się w Ossolineum znaleźć można „Korespondencję Marii z Kisielnickich Kossakowej (matki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Magdaleny Samozwaniec) z lat 1884-39”, w której znajdują się osobiste notatki autorki *Na ustach grzechu*. W nich znajdujemy poniższy opis: „1939 niedziela 1-ego października

[...] Wstrząsające rzeczy opowiadała gen.[nerałowa] Sadowska o Katowicach. Katowice nie stchórzyły przed bandyta-

# Katowice nie stchórzyły przed bandytami

## Przyczynek do września 1939 w Katowicach

KRYSTYNA  
HESKA-KWAŚNIEWICZ

mi, nie zrobiły tak jak powiedział pewien senator rzymski, że trzeba nieraz całować rękę, którą by się chciało odciąć.

Ludność cywilna broniła miasta, co jest chyba największą bezzczelną odwagą, na jaką ludzka natura może się zdobyć.

Pewien znany kupiec katowicki wystawił na swoim balkonie karabin maszynowy i z niego ostrzeliwał stojących na ulicy Niemców, których zostało zabitych kilkunastu. Wszyscy troje zostali rozstrzelani, to znaczy on, jego żona i trzynastoletnia córka! Co za ludzie i gdzie się u takich bohaterów straceńców podziawa instynkt samozachowawczy?

Trupy tych trzech bohaterów leżały przed sklepem owego kupca trzy dni, kopane przez buty Niem. żołnierzy, którzy na nie plułi. kochali Polskę ponad życie i takich było wielu.

Katowice należą już do Reichu, są tam inne prawa niż w Protektoracie, do którego mają należeć Warszawa, Radom, Kielce, Kraków i Lublin.”<sup>1</sup>

Informacja jest wstrząsająca. Ale czy prawdopodobna? Jednak podobną scenę ogląda Tereska Jadwiszczokówna, bohaterka *Wieży spadochronowej* Kazimierza Gołby, przypomnijmy: „Z prawdziwą zgrozą ujrzała, jak zdziczały młokos, w krótkich tyrolskich spodenkach i białych pończochach do kolan, kopał podkutym butem zwłoki mężczyzny ubranego w koszulę i spodnie. Zbliżywszy się – poznała zabitego. Był to znany powstaniec, przyjaciel jej tatulka, drogerzysta Olejniczak. Leżał przed własnym domem, przed swoją drogerią”. Istotnie taki los spotkał Józefa Olejniczaka (1879-1939) znanego powstańca śląskiego i działacza społecznego, który został zastrzelony na ul. 3-go Maja nr 5, przed własnym sklepem (pisze o tym też prok. Ewa Koj w *Postanowieniu o umorzeniu śledztwa* z dnia 12 lipca 2005), aczkolwiek informacja o losach rodziny nie jest już prawdziwa. A może to był ktoś inny! Niemniej oddanie klimatu wrześniowych Katowic jest chyba trafne i stąd ważność tej notatki.

Należy się jeszcze zastanowić skąd generalowa Jagna Maria z Popiołków Sadowska mogła wiedzieć o tym, co się stało w Katowicach? Odpowiedź wydaje się dość prosta. Jan Jagmin Sadowski dowodził Grupą operacyjną „Śląsk” i choć wycfał się z Katowic w nocy z 2/3 września, to część jego żołnierzy, zwłaszcza powstańców nie posłuchała rozkazu. Może to oni później przekazali te informacje generalowi, a może dotarli wraz z falą uchodźców do Krakowa? Nie dojdziemy już dzisiaj tego, natomiast fakt, że takie wieści o postawach Ślązaków docierały we wrześniu i październiku do generalnej Guberni winien dzisiaj wzbudzić głębszą refleksję.

<sup>1</sup> Informację tę zawdzięczam dr Joannie Jurgale-Jureczce, której w tym miejscu serdecznie dziękuję.

**m:k**

W muzeach  
nie wszystkie  
eksponaty  
można zawsze  
oglądać.  
Postanowiliśmy  
pokazywać  
niektóre  
na naszych  
łamach.  
Dziś pocztówka  
ze zbiorów  
Muzeum Historii  
Katowic.



Z tej sceny nie miało paść żadne polskie słowo. Dzisiaj to Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego na pocztówce ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.

Fot. ze zbiorów MTK

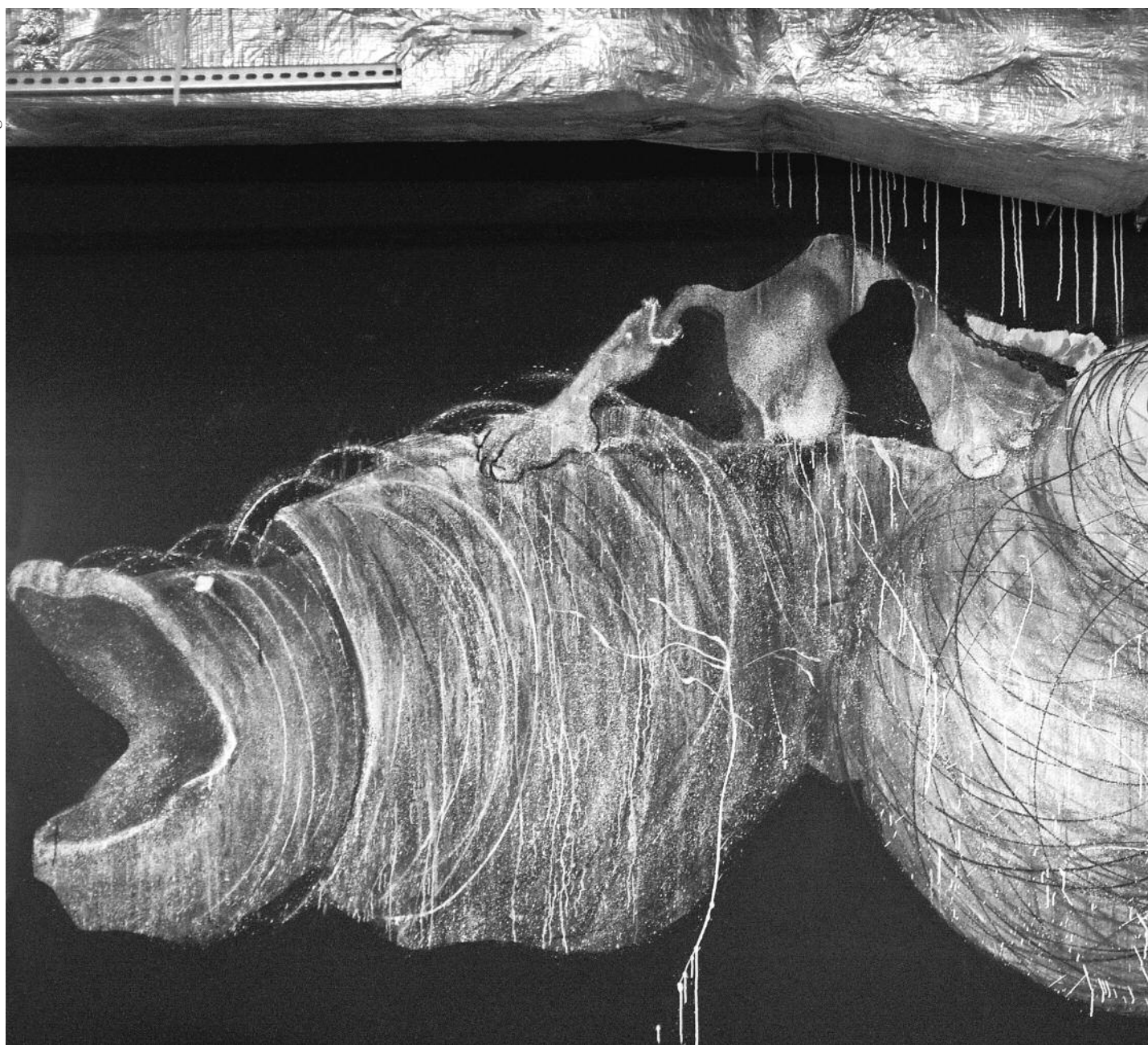
# Ajnfarty idą do nieba

KRYSTIAN GAŁUSZKA

Stoję na ulicy śląskiego miasta.  
Czuję to. Zapach wyczuwam  
językiem. Zapach nieodległego  
dworca. I huty, i kopalni,  
i kanalizacji, i zwykłego kurzu,  
zatrzymuje mnie przed ajnfartem.  
Zgiełk ulicy wyfłasza mnie z wolna.  
Brama niczym kosmiczny portal  
czeka na mnie wytłumioną ciszą.

Obiecuje prawdziwie  
smakowite podróże.  
Jak biblioteka z tymi swoimi  
poustawianymi niemymi kodeksami,  
zwijającymi czas i przestrzeń,  
albo kino z tą swoją ciemnością  
i białym kocem rozcinającym  
wszechświat na dwie części  
– gdzie po jednej stronie siedzimy  
my, a po drugiej oni w tym  
całym zawirowaniu związanym  
z odkrywaniem tajemnicy.

Fot. Bogdan Kutakowski





Zatem stoję przed ajnfartem na ulicy śląskiego miasta i celebruję wejście. Bo wiem, że za każdym razem może być jak w opowieściach Barona Münchhausena, gdzie nie tylko kula armatnia, ale cały Zeppelin będzie przygotowany do podróży, nie tylko po zakątkach śląskiego placu, przestrzeni łączącej symultanicznie różne ulice miast aglomeracji, ale także po powierzchni czasu, który niczym zwielokrotniona Wstęga Möbiusa z jednej strony będzie udawał poukładaną autostradę, a z drugiej będzie nicował się jak Butelka Kleina, czy też butelka piwa tyskiego w kierunku czwartego wymiaru.

Zatem wchodzę w ciemność ajnfartu i czuję jak mnie obejmuje swoim lekkim chłodem, który zmywa ze

mnie żar ulicznego rozbiegania. Prowadzi mnie na plac gdzie ściany studni wyłożone fasadami familoków kończą się niebem. Ale powoli.

Wchodzę w mrok i czuję zapach już inny – coś pomiędzy stęchlizną i pieczeniem ciasta. Coś pomiędzy benzyną nalewaną z butelki do baku moplika sąsiada, a obiadem u ciotki Klary. Kiedy wzrok przyzwyczajają się do ciemności, gdzieś z półmroku i historii, zrazu nieśmiało, acz kiedy pochylam się – już bardziej konkretnie, wyłania się zatarty blichtr ukryty w kryształowych szybkach secesyjnych drzwi, finezyjnie zdobionej kafelkami lamperii lub zatartym fresku, prawdopodobnie weducie nieznanego malarza. Dotykam czasu i czuję go pod opuszkami, jak wyła-

zi spod płatów farby, które nieodmiennie kojarzą mi się z późnojesiennymi liśćmi tak kruchymi i tak bezbronnymi, ale wiem że silnymi, odradzającymi się przecież na wiosnę. Trwałymi jak dziecięce malunki na ścianach, w których prostoduszne łęki i bajeczna fantazja snują swój odległy, acz nieśmiertelny poemat. O tym, że istnieje dobro i zło, i o tym, że zło choć widowiskowe i krwiożercze, i często tak po prostu raniące, w ogólnym rozrachunku przegrywa swą nierówną walkę. Bo przecież tak naprawdę bezbronne jest. O czym mówił J. W. Goethe, wkładając w usta Mefistolesa kwestię: *Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro*. Widać to wszędzie, wystarczy wyostrzyć wzrok. I nie musimy się zbytnio wysilać, gdyż zawsze znajdziemy ratunek i nigdy nie przemijającą radość w przygarniającym geście matki, albo w tym szczególnym spojrzeniu ojca, aprobującym nasz wysiłek, czy też w nieuniknionym rozstaniu, gdzie ból jest prawdziwą miarą miłości. I nie ważne ile mamy lat. A im więcej mamy, tym bardziej rozumniejsi jesteśmy i pojmujemy, że kiedy mieliśmy ich niewiele, prawdziwi bardziej byliśmy. Bo tak naprawdę wiemy, że dziecięcy świat lekkości i radości jest jedynym sposobem pojmowania rzeczywistości. Bo gdyby nie ulica Sezamkowa, na której wychował się każdy z nas, nie byłoby żadnej ulicy w żadnym mieście. Albowiem tylko tu w pełnym tajemnic i jakże czystym świecie, duże ptaki są żółte, a nie niebieskie, a potwór, choć początkowo ma bardzo duże oczy, jest tylko potworem ciasteczkowym. I gdy się zastanowić, to nawet ulica Meneli i Żuli, po której tak często musimy chodzić w naszej aglomeracji ma tam swój rodowód.

Zatem wchodzę do ajnfartu jak do rodzinnego pensjonatu. Bez strachu i gniewu. Bez złości, albowiem nie jest to Brama Skajska w Troi, a ja mam otwarte ręce. Bo jestem wśród swoich, i krzywdy nikt nikomu nie będzie tu czynił. Bo gdzieś tam na końcu tunelu, gdzie jasność, czeka na mnie intymny świat, ukryty za zwyczajnością codziennego prozaicznego misterium. Ze starą Achima wychyloną z okna, wyglądającą powrotu męża, co to przed laty zjechał zbyt głęboko pod ziemię i jeszcze do tej pory nie wrócił z szychty. Z ciotką siedzącą na ryczce przed sie-



nią, skora do wciągania w klachy baby i dzieci z okolicy, z ciotką na którą wszyscy wołają tany, choć to dla nikogo żadna rodzina. Z listonoszem, który chętnie przyłączyłby się do partyjki skata rozgrywanej w cieniu chudej brzozy, która kiedyś sama w nocy przyspacerowała tu z hałdy, ale wiadomo, nic z tego, nie może – służba nie druźba. Z dziećmi grającymi w klipę, który to wyraz „klipa” z całkiem innych powodów cieszy się tu ciągle nie malejącą estymą. Z kotem ukrytym w cieniu piwnicznej szyby, który robi wrażenie, że go nie ma, ale wszyscy wiemy, że przecież wyjdzie później. Z całym tym leniwym dzianiem, bez szarpnięcia się. Przechodzę niespiesznie przez plac i wychodzę na drogę z pędzącym czasem. Dlatego też znikam zaraz w najbliższym portalu. I nie zatrzymuję się. Idę w kierunku światła. Idę i słyszę grające radio, szczekanie psa, ataki śmiechu nierzadko umorusanych dzieci, rozeźlony krzyk z okna na trzecim piętrze – „Ty pieronie mały!”, głębokie i ciepłe bicie dzwonów kościelnych, przypominających, że niebo jest na wyciągnięcie ręki. Przechodzę światło i wychodzę na drogę, gdzie zgrzytający tramwaj przeciska się z wprawą nabytą wieloletnim ćwiczeniem przez tłum, zdawało by się zmierzający bez celu to tu, to tam. Lubię to. Lubię. Szczególnie ajnfart na Frynie, który prowadzi mnie zawsze do jedyne miejsce. Gdzie świątynia szczególna. Śledzę kątem oka lwy ukryte w portalu, które – pamiętam – były kiedyś jak Grimmowe straszne smoki. Które obchodziłem z daleka. Były bowiem nie tylko poważne i groźne, ale do tego kamienne. I ogromne. Królewskie. Dźwigały na swych grzbietach kolumny, na których wspierał się portal prowadzący do kościoła. Najdostojniejszego w mieście. I największego. Lwy pilnowały drogi do sacrum. Dzisiaj świątynia stoi jeszcze bardziej. Niczym Apostoł Narodów głosząc Dobrą Nowinę wszystkim, bez względu na miejsce zajmowane na tej planecie. Dlatego też nie mogę się powstrzymać, aby nie wejść do środka. Przechodzę znowu obok kamiennych lwów, stojących na straży, łypiących, jednak nie wrogo, a zapraszająco. Mimo wszystko zwalniam i prostuję się. Przechodzę granicę. Wrażeniowo słyszę ciche, niespieszne, jednostajne, a zarazem śpiewne zawodzenie: „Sanctus Andreas, Sanc-

ta Clara, Sancta Dominique, Santus Ernestus...”. Droga nawą główną prowadzi szpalerem świętych wyrzeźbionych na bokach ławek. Jest to jak iście drogą litanii wszystkich świętych, gdzie modlitwa wystukiwana jest odgłosem kroków, gdzie zbliżanie się do prezbiterium, jest przejściem przez uświęconą historię tradycji kościoła, wśród niemych świadków sacrum, którzy są jak kolejne pieczęcie Księgi, że wszystko co było dawniej, było i jest prawdą. Na końcu klękam i modłę się cichutko w samotności. Ale wiem, że nie jestem sam. I wiem też, że na końcu, a czasem na początku ajnfartu w każdym śląskim mieście stoi taki sam kościół. Czasem mniej okazały, czasem mniej wykwintny, niekiedy dzisiaj coraz bardziej pusty, ale zawsze święty.

Ajnfarty moje ajnfarty. Czasem bez opamiętania wchodzę do pierwszego napotkanego.

To tak jakbym wyciągał z regału anonimową książkę opakowaną szarym papierem, gdzie dopiero strona tytułowa jest pierwszym tropem ukazującym cel podróży. Jednak należy być uważnym i czujnym. Gdyż wystarczy ją nieopatrznie schować do regału i już klops. Czy może bardziej kolaps. Jak z Borgesowską Księgą Piasku, gdzie dwa razy nie wchodzi się na tę samą stronę. Albowiem mam wrażenie, że niektóre ajnfarty znikają bezpowrotnie. Choć przecież żyją nieustannie w pamięci. Jak te ajnfarty przy ul. Zagubionej, gdzie kiedyś wysokie pierzeje kryły miejsca odwieczne, zdawało się porządkujące przestrzeń po wsze czasy. Masorz Ciepok. Konditoria Cherlawego. Golocz Bioły. Jarzyniok Brojcyzny. Konzom. No i Piwiarnia Ryżego, w ogrodzie w której spotykało się bractwo z całej dzielnicy. Może wszystko zżarła kopalnia, bo nawet bergmony nie pokazują się. Jak opowiadają niektórzy – siedzą na dole, bo przecież nie ma po co wyjeżdżać do góry, a u Skarbnika jak u mamy.

Piękne też jest zatracenie ajnfartem z pośpiechu, jak wtedy gdy chcąc wejść do bramy przy 3 Maja i wyjść na Mickiewicza ładujemy się nieopatrznie do kina Światowid, albo innego klubu. I tam już wtedy hulaj dusza. Ale czasem pięknie nie jest. Jak na gazecie plakatowej, gdzie Pilawa wymalował starego strugającego kartofle, a autor napisał wiersz:

## AJNFART X

wlazuja do ajnfartu  
w kerym jedzie scochami  
i hauskyjzōm co to  
straciła sie w byfyju  
blank stary chop  
siedzi na rancie  
w tajli kaj żodyn niy sznupie  
z gowōm w ryncach  
siadōm kole niego  
znōm go znōm  
jeszcze jak hedwig  
jego staro żyła  
jak anioł brała go co dnia  
napranego jak szlynzuch  
chopa z lagru na zgodzie  
myła go i cesała  
karmiyla i na końcu  
chowała jego zbołało gymba  
miyndzy cyckami  
kere były jak cherubiny  
teroz cera ino ryczy  
że ôstuda i gańba  
co tu godać modo jest  
modo  
– zakurzyłbych –  
godo mi cicho do ucha  
jo tyż  
jymu do ucha

Ale niy rōbmy ajnalauфу – jakby powiedziała zowitka Marika. Bo czasem śmierdzi, ale czasem nie. Jak wtedy przy grze w klasy przy klopszandze na środku placu, kiedy zabawa na finale prowadzi zawsze w kierunku Drogi Mlecznej. Gdzie młode dziewczyny hojnie obdarowują przestrzeń swym oczywistym wdziękiem. Falowanie i spadanie cały czas nieprzerwanie urzeka swą prostotą i siłą pieczętującą moc miłości. Moc życia. Czują to. Zadzieram głowę do góry i widzę błękit. Modre rozlewa się wszędzie. Napełnia familoki – widać to w szybach okiennych, jak izby zalewane są niebem. Jeszcze moment i cała jaskrawość chwili wyleje się przez czerwone albo zielone drzwi klatek schodowych na plac, topiąc całe to zauroczenie miejscem, a później dalej popłynie przez ajnfarty na ulice moich Katowic, moich Gliwic, mego Bytomia, Chorzowa i mej Rudy Śląskiej.

Bądźmy czujni. Ajnfarty przecież idą do nieba. A my z nimi.

Nie inaczej.

**Krystian Galuszka** był redaktorem naczelnym miesięcznika „Śląsk” w roku 2013.



Notatnik  
spóźnionego  
przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

# Porządek światowego dziobania

## Gdzie centrum, a gdzie peryferie?

Manuel Castells, często cytowany socjolog miasta, napisał i powiedział, że metropolie rządzą światem. A Benjamin Barber, filozof i politolog, rozważał sytuację, w której globem rządzą burmistrzowie. To oczywiście inspirujące tezy czy raczej metafory, niełatwe jednak do empirycznej weryfikacji. Wiadomo wszakże, iż wszystkie 193 państwa, które tworzą system światowy, globalny, mają bardzo zróżnicowane potencjały ekonomiczne, militarne, kulturowe czy polityczne. Nic zatem dziwnego, że segreguje się je w czterech przynajmniej kategoriach: centrum, półperyferie, peryferie i światowe tło. Centrum globu tworzy Wielka Trójca państw, nazywana również Złotą Triadą. Należą doń Kraje NAFTY, Unii Europejskiej i Basenu Pacyfiku z Japonią w roli głównej. Pierwsze ugrupowanie, *North American Free Trade Agreement* składa się ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Meksyku. Łączna waga tych krajów, o głęboko zróżnicowanej jednak pozycji w skali światowej, nie podlega dyskusji i wątpliwości. Drugi element globalnego centrum tworzą, traktowane znowu łącznie kraje Unii Europejskiej. Trzeci z kolei – państwa Pacyfiku, takie jak wspomniana już Japonia, Australia, Nowa Zelandia, Korea Południowa czy Tajwan. Peryferie natomiast to kraje ułożone głównie w Afryce subsaharyjskiej, w środkowej Azji i Ameryce Łacińskiej, liczne choć słabo obecne w światowym systemie gospodarczym, transportowym, komunikacyjnym i militarnym.

## Marginesy marginesów

I wreszcie światowe tło tworzą państwa, o niskich potencjałach demograficznych, ekonomicznych i militarnych takie jak Palau, Kiribati, Vanuatu, Fidzi czy Tonga. O ich istnieniu przypominają najczęściej zazwyczaj ceremonie otwarcia kolejnych igrzysk olimpijskich, w których dostrzec można chorążych z tych właśnie państw, stanowiących jednocześnie jednoosobową reprezentację kraju. Powstaje oczywiste w tej sytuacji pytanie o miejsce w światowym systemie kilku przynajmniej krajów – o półperyferijny czy może centralny ułokowanie: Brazylii, Federacji Rosyjskiej, Indii i Chin, czyli państw opatrywanych etykietą BRIC. Jedni badacze twierdzą, że to już światowe centrum, inni, że ci aktorzy światowego teatru dopiero do niego próbują się dostać. Nie wnikając w szczegóły, można przyjąć, że światowe centrum tworzy 45 państw globu, peryferie ponad 100 kolejnych krajów, 25 to półperyferie i pozostałe – to w istocie światowe tło, często atrakcyjne pejzażowo i turystycznie. Jeśli zatem system światowy jest tak właśnie uporządkowany, można ostrożnie przyjąć twierdzenie Castellsa, że metropolie Złotej Triady rządzą światem. Bo jest oczywiste, że największe ośrodki miejskie w centrum świata odgrywają kluczową rolę w procesach rozwojowych, są po prostu ich generatorami. A zatem centrum ma swoje centrum w postaci największych miast, nazywanych również megalopolis. I konsekwentnie centrum półperyferijnych państw globu tworzą ich największe miasta, podobnie jak w przypadku peryferii i globalnego tła.

## Greckie reminiscencje

Pojęcie megalopolis, greckiej proweniencji, rzadko jest obecne w potocznym dyskursie publicznym. Chodzi o największe ośrodki miejskie świata liczące często więcej niż 20 czy nawet 30 milionów mieszkańców. Z całą pewnością należy do nich aglomeracja BosWash, czyli przestrzeń wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych rozpostarta między Bostonem a stołecznym Waszyngtonem DC. To najbardziej innowacyjny obszar świata, choć sam Waszyngton to w gruncie rzeczy małe miasto w skali światowej, ale z racji ułożenia w nim ważnych instytucji politycznych, a w tym urzędu prezydenta USA, istotny ośrodek władzy. W ten oto sposób dochodzimy do pojęcia miast globalnych, opisanych przez Saskię Sassen, amerykańską badaczkę holenderskiego pochodzenia. Chodzi nie tylko o miasta, których potencjał demograficzny jest ogromny, tak jak w przypadku Nowego Jorku, Londynu czy Paryża, ale także o ośrodki o mniejszym potencjale demograficznym, których potęga i znaczenie opiera się na instytucjach oraz personelu w nich usytuowanych. Bruksela, Strasburg czy stołeczny Waszyngton są tutaj dobrym przykładem takich miejsc. W dwóch pierwszych ułożono kluczowe instytucje Unii Europejskiej, a w trzecim rezyduje prezydent dominującego państwa globu.

## Boston, Waszyngton, Warszawa, Katowice...

Oprócz gigantycznych ośrodków miejskich, takich BosWash czy aglomeracja Tokio istotną rolę w procesach rozwojowych odgrywają metropolie. Termin ten pochodzi z języka starogreckiego i oznacza matkę wszystkich miast. W antycznej Helladzie budowano najpierw kluczowe polis wokół którego lokowały się kolejne ośrodki miejskie. Dzisiaj metropolia to po prostu duże miasto liczące dwa i więcej milionów mieszkańców. W transformacyjnej RP do tego progu zbliżają się Warszawa i metropolia śląsko-zagłębiowska. Na mapie światowych ośrodków miejskich to miejsca peryferijne, ale w topografii polskiej – ośrodki centralne. Światowym metropoliom przypisać można kilka cech charakterystycznych. Przede wszystkim, są to miasta o trudnych do ustalenia granicach. Można przejechać kilkadziesiąt kilometrów w Nowym Jorku, Meksyku czy Pekinie i wciąż pozostawać w obszarze zwartej zabudowy miejskiej. Metropolie bowiem są ekspansywne terytorialnie i pochłaniają przyległe wsie czy miasta, a proces ten nazywany bywa rozlewaniem miejskości (*urban sprawl*). Wielkie miasta są sieciowe, a infostrady, zwłaszcza szerokopasmowy Internet stały się w nich standardem. Metropolie, zgodnie z zasadą, że podobieństwa się przyciągają, są przestrzennie i społecznie podzielone. Oprócz enklaw niezwyklej zamożności znaleźć w nich można getta prawdziwej i dojmującej biedy. Obszarom rezydencjalnym, ołśniewającym luksusem i przetrzęsną swobodą, towarzyszą getta ubóstwa zamieszkałe głównie przez imigrantów świeżej daty.

## Kogut pierwszego rzędu, kura kopciuszek

W światowych metropoliach tworzone są informacje drukowane i wirtualne. W trzech tylko miastach: Londynie, Paryżu i Nowym Jorku powstaje blisko 60% wszystkich informacji drukowanych, a szczególnie miejsce w tym zakresie przypisać należy Agence France Press (Paryż), Reutersowi (Londyn) i w końcu American Press i United Press International (Nowy Jork). A zatem, mówiąc w gębokim uproszczeniu, odczytujemy świat – *grosso modo* – w ten sposób, w jakim jest sformułowany przekaz o jego losach podany w kluczowych agencjach informacyjnych. Metropolie centrum są miejscem skupienia dla największych firm światowych nazywanych korporacjami międzynarodowymi. Ich roczny przychód liczony w miliardach dolarów jest większy niżli Produkt Krajowy Brutto Polski, liczącej 38 milionów obywateli. Wszystkie te informacje o globalnych metropoliach dobrze ilustrują, używając zoologicznej metafory, światowy porządek dziobania (*peck order*). W kurniku zawsze jest kogut pierwszego rzędu, kura podstawowego usytuowania i w końcu ptaki o najniższym statusie społecznym.

Felieton powstał we współpracy  
z dr Karoliną Wojtasik  
z Instytutu Socjologii  
Uniwersytetu Śląskiego



# Taki wrzesień raz na 150 lat

Wrzesień był najważniejszym miesiącem w kalendarzu obchodów 150-lecia Katowic. Nic dziwnego – to właśnie 11 września 1865 roku Katowice uzyskały prawa miejskie. Było hucznie i bardzo muzycznie – od zagranicznych gwiazd po legendy muzyki ze Śląska i orkiestry górnicze. Na wszystkich wydarzeniach bawiło się aż ponad 70 tys. osób.



– *Dziękuję, że jesteście. Życzę Wam wspaniałej zabawy na urodzinach Katowic* – mówił 11 września ze sceny w Strefie Kultury do kilkudziesięcioletniego tłumu prezydent Katowic Marcin Krupa, zapowiadając koncert gwiazdy wieczoru, zespołu Archive. Katowiczanie i goście z całego regionu, a nawet z najdalszych zakątków Polski, bawili się świetnie przez całe trzy dni Urodzin Miasta Kocham Katowice, które były apogeum obchodów 150-lecia. Pod scenę ustawioną w Strefie Kultury – między nowym Muzeum Śląskim a salą NÓSPR, przyciągnęły ich przede wszystkim fantastyczni muzycy z zagranicy. Gwiazdą wieczoru 11 września był zespół Archive. Brytyjska grupa porównywana do legendarnego zespołu Pink Floyd, zagrała swoje największe przeboje, choćby energetyczną piosenkę „Bullets”. Z fanami pożegnali się machając ze sceny słonecznikami, którymi wcześniej mieszkańcy Katowic obdarowywani byli podczas akcji Słonecznik Patrol.

Nie mniej miłośników dobrej muzyki zgłosiło się 12 września, kiedy na scenie pojawił się zespół Morcheeba. Charyzmatyczna i uroczą Skye Edwards oraz Ross Godfrey wraz z zespołem również nie szczędzili publiczności najbardziej znanych piosenek. Ze sceny popłynął zarówno „Otherwise”, jak i „Rome wasn’t built in a day”. Sobota była wyjątkowo taneczna, bo wcześniej publiczność porwał do tańca zwariowany zespół Łąki Łan, a potem wirtuozi salsy z African Salsa Orchestra. Ostatni dzień sceny plenerowej – niedzielę – zdominował jazz i muzyka świata połączona z klasyką. Wszystko za sprawą artystów związanych z katowicką Akademią Muzyczną, którzy zaprezentowali muzyczne interpretacje polskiej poezji, a których wsparła m.in. Lora Szafran. Po nich ukoronowaniem wieczoru był wspólny koncert zespołu Wołosz z Orkiestrą Kameralną AUKSO pod Markiem Mosiem.

Jednak Urodziny Miasta to, tradycyjnie, także wyjątkowe koncerty kameralne. Tradycyjnie też, bardzo różnorodnych. – *Z muzyką na Urodzinach Miasta jest jak z Katowicami. Katowice są zmienne, mają wiele warstw, różnorodne dziedzictwo. Ta muzyka również należała do różnych nurtów, była różnych temperamentów* – wyjaśnia Piotr Zaczekowski, dyrektor Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów, organizatora wszystkich wydarzeń.

Tę różnorodność zapewniła m.in. fenomenalna sopranistka z RPA PumezaMatshikiza, która 11 września w Pałacu Młodzieży wykonała najwspanialsze arie z oper Pucciniego czy Mozarta. Miłośników muzyki świata bardzo ucieszył koncert śpiewaków z Sardynii. Wrzask światowej sławy instrumentalistami – wiolonczelistą Ernstem Reijsegerem oraz pianistą Harmenem Fraanje pokazali, jak tradycyjny śpiew polifoniczny basenu Morza Śródziemnego łączy się z muzyką klasyczną.

Niewątpliwie jednak najważniejszym i najbardziej wyczekiwany z koncertów kameralnych Urodzin Miasta był powrót do Katowic wirtuoza gitary flamenco Paco Peii. Powrót, bo Paco Peia występował również podczas zeszlorocznych obchodów święta miasta. Teraz jednak przywiózł do Katowic utwór specjalnie skomponowany na 150-lecie. Kompozycja „Andar y volar” zabrzmiała 12 września w sali Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w wykonaniu artysty, jego Flamenco Company oraz zaprzyjaźnionego Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia. Jak powiedział o swoim utworze sam Paco Peia, komponując go, szukał tego, co wspólne Hiszpanom i Polakom. – *Z Polską łączy mnie długa i wyjątkowa nić przyjaźni, jako że Wasz kraj bardzo leży mi na sercu. Wasz naród, kultura i historia mają wiele wspólnego z duchem narodu hiszpańskiego, zwłaszcza w kwestii cierpienia i poświęcenia w obronie ojczyzny, rodaków, kultury i tożsamości w historycznie trudnych czasach* – mówił w Katowicach artysta.

Kiedy zabrzmiały ostatnie dźwięki koncertów w niedzielę 13 września a w niebo nad Strefą Kultury wystrzeliły fajerwerki, obchody 150-lecia Katowic wcale się nie zakończyły. Zaledwie 2 tygodnie później, 29 września, kolejny koncert odbył się tym razem na placu Centralnym katowickiego Rynku. Już sama scena wzbudzała ciekawość i była widoczna z daleka – regularny szescian opasany wstęgami, których intensywne kolory zmieniały się w zależności od padającego na nie światła. Scena, zaprojektowana przez Tomasza Koniora i wzbogacona o scenografię Matyldy Sałajewskiej, pozwalała grać muzykom na cztery strony świata. Taki był zamysł twórcy muzycznego widowiska „Puls Ziemi” Józefa Skrzeka. Multinstrumentalista, założyciel legendarnego zespołu SBB, skomponował tytułową muzyczną suitę na 150-lecie

miasta, a do wykonania zaprosił swoich znakomitych przyjaciół, m.in. Manuela Goettschinga, uznawanego za jednego z ojców chrzestnych krautrocka czy aktorkę i wokalistkę Natalię Sikorę. Ponad dwugodzinne widowisko przyciągnęło na katowicki Rynek ponad 3000 publiczność. Słuchacze wypełnili nie tylko przestrzeń wokół sceny, ale również pozostałe place na Rynku.

To samo miejsce było świadkiem ostatniego, urodzinowego i plenerowego wydarzenia 150-lecia. Miejsce długowłosych muzyków zastąpili jednak górnicy w strojach galowych. I to aż 150, bo dokładnie tylu muzyków orkiestr dętych zagrało razem podczas muzycznego happeningu „Kat-Oda”. 5 orkiestr dętych przeszło w marszu gwiazdzistym na Rynek, rozpoczynając go z najważniejszych placów Katowic. Po drodze zatrzymywali się przy najciekawszych budynkach, których historię opowiadali aktorzy w śląskich strojach. W końcu wszyscy spotkali się na Rynku, gdzie pokazali potęgę brzmienia instrumentów dętych.





Nowy adres Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach – Raciborska 50.



Pierwsza inauguracja roku akademickiego w gmachu przy ulicy Raciborskiej 50. Przemawia abp Wiktor Skworec.

## „RACIBORSKA 50” Nowe otwarcie katowickiej ASP

WIESŁAWA KONOPELSKA



Symbolicznego otwarcia nowej siedziby ASP dokonują: rektor prof. dr hab. Antoni Cygan (w środku) w towarzystwie, m.in. Henryka Mercika – członka zarządu Województwa Śląskiego i prezidenta Katowic Marcina Krupy (z prawej).

Ogromne zaciekwawienie towarzyszyło pierwszej w nowym gmachu, pod nowym adresem – Raciborska 50, inauguracji roku akademickiego 2015/2016. Impionująca bryła usytuowana została pomiędzy najstarszą częścią uczelni przy Raciborskiej 37, a ulicą Koszarową, przy której niegdyś znajdowały się koszary wojskowe, a od jakiegoś czasu – po procesie adaptacji i modernizacji nowoczesny kompleks przystosowany dla potrzeb studentów grafiki.

Wraz z otwarciem nowego budynku przy ulicy Raciborskiej 50 dla katowickiej Akademii Sztuk Pięknych, ale także dla miłośników sztuki, rozpoczął się nowy rozdział w zaledwie 10-letniej, samodzielnej historii uczelni.

Wielkiemu otwarciu towarzyszył festiwal sztuki pod nazwą „Nowe otwarcie – Raciborska 50”. W słowie wstępnym do przewodnika po wystawie, na którą złożyły się prace absolwentów różnych kierunków, prof. Antoni Cygan, rektor tej uczelni, na-



*W gronie zaproszonych osób obecni byli prof. Maciej Bieniasz (z prawej) przez wiele lat związany z katowicką ASP i rektor Akademii Muzycznej w Katowicach prof. Tomasz Miczka.*



*Minister kultury i dziedzictwa narodowego nadal prof. Tadeuszowi Grabowskiemu, wieloletniemu prorektorowi ASP w Krakowie – Wydział Grafiki w Katowicach, Złoty Medal „Gloria Artis”.*

pisał: „W pierwszych dniach po narodzinach Akademii w przestrzeniach nowego kampusu, postanowiliśmy zaprezentować Państwu to, co stanowi wartość podstawową kształcenia artystycznego i jego świadectwo jakości uczelni. Absolwenci. To oni determinują nasze postępowania. Najpierw jako zachłyśnięci potrzebą tworzenia studenci, później – obserwowani przez nas z uwagą, a często i z dumą – młodzi projektanci oraz twórcy. Są żywym świadectwem sensu naszej pracy, stanowią o obliczu sztuki współczesnej, zmieniają świadomość odbioru naszego otoczenia. Projektują współczesność i przyszłość w wielopłaszczyznowym rozumieniu codzienności.” To bardzo ważne słowa, zwłaszcza w kontekście wydarzenia, jakim była uroczystość inauguracyjna, której bohaterami byli artyści – seniorzy: prof. Maciej Bieniasz, który wygłosił garść osobistych refleksji na temat sztuki i „swojej” uczelni oraz prof. Tadeusz Grabowski, który został uhonorowany najwyższym – Złotym Medalem „Gloria Artis” nadanym przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego. To między innymi dzięki ich obecności na tej uczelni, Katowice mogą stać w pierwszym szeregu sztuki nie tylko w kraju, ale i za granicą.

Imponującym zwieńczeniem otwarcia „Raciborskiej 50” był koncert multimedialny zaprezentowany – jak to ujął rektor prof. Antoni Cygan – zamiast tradycyjnego wykładu. Bo i to wydarzenie również miało wpisać się w „akademię po nowemu”. Znakomita Akademicka Orkiestra Barokowa Akademii Muzycznej w Katowicach, którą poprowadził prof. Marek Toporowski wraz z solistami: Jadwigą Huber, Hanną Światałą i Wołodzimyrem Andruszczakiem zaprezentowali historię o wojnie i miłości Claudio Monteverdiego pt. „Combattimento di Tancredi e Clorinda”. Oprawę graficzną, chociaż raczej element składowy tej muzyczno-wizualnej prezentacji stanowiły grafiki autorstwa prof. Mariana Oslisła, którą przygotowała Pracownia Działań Multimedialnych



*Prof. Antoni Kowalski został uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi.*

w Katedrze Projektowania Graficznego i Multimediów ASP w Katowicach. I znów na styku dawnego i nowego powstała nowa, inspirująca jakość. Jak nowy adres stał się przedłużeniem miejsca, które przestało istnieć na „mapie” katowickiej ASP – Dąbrówki 9, ale nie w pamięci i dokonaniach wielu pokoleń artystów, tak wszystkie pozostałe wydarzenia Festiwalu Otwarcia były owym świadectwem ciągłości, bowiem inauguracji, która odbyła się 9 października 2015 roku, towarzyszyły dwie wystawy twórców reprezentujących różne pokolenia: jubileuszowa, z okazji 40-lecia pracy artystycznej prof. dr. hab. Adama Romaniuka (*piszę o niej na str. 48*) i wystawa indywidualna dr. hab. Grzegorza Hańderka prof. ASP (*o tej wystawie na str. 76*).

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



*Koncert multimedialny w wykonaniu Akademickiej Orkiestry Barokowej Akademii Muzycznej w Katowicach pod dyrekcją prof. Marka Toporowskiego z muzyką Claudio Monteverdiego i grafiką prof. Mariana Oslisła.*

## Powrót do Czemiernik\*

*pamięci Marianny Bocian (1942-2003)*

ciemności zapadały nad polami  
i tylko samotny księżyc  
wschodzący karasiem torfianek  
prowadził do swojszczyzny  
wóz powracający z kartofliska

zbieraliśmy ziemniaki na kolanach  
w preludium do dialogu  
o teologii i poezji  
powiedziałaś przed zmierzchem  
– *idź zawsze po stronie życia*

konie stąpały ciężko  
podkowy grzęzły w piachu  
pies biegł przed nimi  
obszczekując gwiazdy  
załopotały skrzydła na rozstajach

Matka i Jan  
odmawiali Zdrowaś  
pegazy poderwały wóz  
odlatując w nieboskłon  
ponad wieżami kościoła Firlejów

na elizejskim polu  
odnalazłem po latach tablicę  
zarośniętą badyłami ostu  
ze strofą wykutą w kamieniu  
– *coraz bliżej i bliżej czasu wiecznego...*

wyrywałem chwasty aż do krwi  
teraz wołam do świetlistych źródeł  
podaruj mi na pożegnanie strunę harfy

*\* Czemierniki – wieś w pow. radzyńskim,  
woj. lubelskie, gdzie spoczywa poetka  
Marianna Bocian*

## Do opolskiej Ateny

*pamięci Ewy Lubowieckiej (1940–2011)\**

cóż nam zostało  
z tamtych lat szalonych  
u Grotowskiego Szarlatana Maga

czarno-biały film  
zamiast wygodnego gniazda  
chłód garderoby i kilka krzeseł  
na których zasnął zmęczony Anioł

wędrowałaś z Krakowa do Opola  
z pieśnią Aojdy ze słowem Rapsoda  
do limes prawdy od arche teatru źródeł

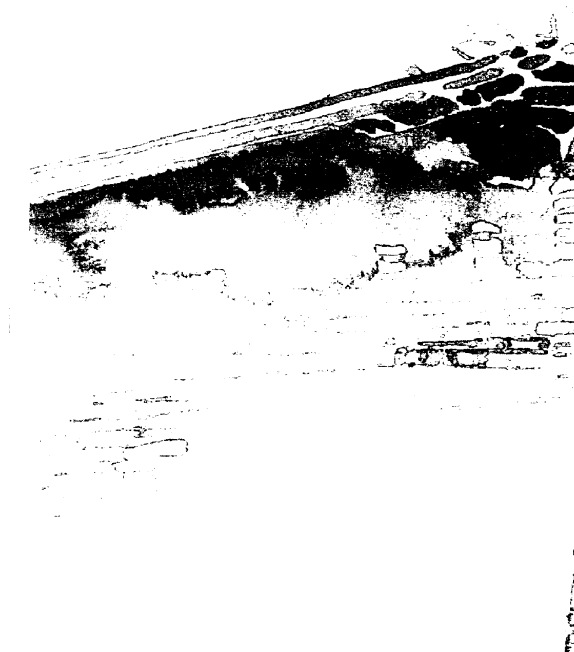
powiedział  
ze wszystkich rzeczy  
pozostanie poezja i dobroć  
ale i szlachetne oblicze Ateny ocaleje

posrebrzone pyłem Syriusza  
już na zawsze pozostanie piękne  
nawet w skarbcu odchodzącej jesieni

przed mikrofonem  
opłakując umarłych poetów  
czeladnikom liry dodawałaś otuchy  
byłaś naszym sumieniem naszym głosem

a w ostatniej glossie  
na melancholię i jazgot codzienności  
podarowałaś nam perłę owocującej ciszy

*\* Ewa Lubowiecka – aktorka Teatru 13 Rzędów  
Jerzego Grotowskiego, osobowość radiowa,  
dziennikarka rozgłośni Polskiego Radia w Opolu*





## Zaolziańskie niebo

*pamięci zaolziańskich poetów:  
Jana Pyski, Gustawa Sajdoka, Wilhelma Przeczka*

Pewnie jest gdzieś nad Kozubową albo Kamienitym,  
ale go nie widać, bo przesłonięte chmurami  
albo mgłą dymiących smreków.

Nie jest łatwo dostać się do zaolziańskiego nieba,  
nawet z biletem przeznaczenia ludzie czekają latami  
w nawsiańskiej gospodzie, w oparach dymu,  
przy kuflach radegasta, butelce śliwownicy.

Wieczorami coraz większa kolejka stoi przed bufetem  
i tylko raz na jakiś czas nagle cichnie gwar czyścica  
kiedy Anioł – barmanka z dużym biustem pochyla się  
opuszczając z góry strażacką drabinę.

Gucio, Wilk i Jano, wciąż spierają się o zakończenie wiersza,  
ale wicher porwał poetów ze stolikiem i rozlewa piwo  
złocistym strumieniem a oni wniebowzięci, unoszą się  
coraz wyżej i znikają we mgle gdzieś nad wierchami.

A kiedy już ich z nami nie ma, jesień w Beskidach przywołuje  
wiersze przyjaciół. Znad Kozubowej, znad Kamienitego,  
spadają ku dolinom płomiennymi listami.





# Ani Elizjum, ani Hades

Województwo katowickie i śląskie  
w transformacyjnym ćwierćwieczu  
(1990-2015)

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

## Pochwała Arystotelesa

Dwadzieścia pięć lat w funkcjonowaniu regionu to naprawdę niewiele, zważywszy na jego wielowiekową historię, ale w życiu mieszkańca to dostatecznie dużo, aby podjąć próbę bilansu ćwierćwiecza. Ten typ rozrachunku z natury rzeczy nie jest, bo nie może być, pełny, i to z wielu powodów. Kluczową rolę w takich przypadkach odgrywają zawsze ograniczenia kompetencyjne autora opar-

cowania. Tekst dotyczy zatem przede wszystkim aspektów społecznych regionalnych metamorfoz. Wszak łacińskie *socius* oznacza zawsze to, co dotyczy grup społecznych, zbiorowości i wspólnot. Ale nawet w takich przypadkach opis jest niepełny. To w istocie, mówiąc językiem muzealników, *lapidarium socjologiczne*, eksponujące przede wszystkim najważniejsze zjawiska, procesy i postaci zmian w wymiarze dwóch województw: katowickiego i śląskiego. Cezury są

tutaj dwie, rok 1989, otwierający demokratyzację państwa, w tym i regionu, oraz 2015, w którym odbędą się wybory parlamentarne podsumowujące w istocie nie tylko wszelkie zmiany w kraju, ale także w regionie, w tym ośmioletnie rządy koalicji Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Ruchu Autonomii Śląska. Już teraz można wyrazić przekonanie, że nie mają racji ci, którzy twierdzą, że transformacyjne ćwierćwiecze to okres cał-

kwitego regresu regionu, ani ci, którzy eksponują jedynie sukcesy tego czasu. W rzeczywistości, używając języka mitologicznego, region nie jest Elizjum, czyli krainą wiecznej szczęśliwości, ani przygnębiającym cmentarzyskiem, przywołującym na myśl podziemny Hades. Prawda, jak zazwyczaj, lokuje się pośrodku, tak jak chciałby tego mistrz antycznej filozofii – Arystoteles. Region odnotował bowiem wiele sukcesów związanych z unowocześnianiem gospodarki, kultury, ekologii, ale poniósł w tych samych dziedzinach spektakularne porażki.

### **Bezpardonowa diagnoza: 1989-1990**

**Już** na samym początku polskiej i regionalnej transformacji socjologowie otrzymali możliwość wglądu do niezalangowanych, choć wciąż jeszcze szczerkowych, danych statystycznych. Uzmysłowiły one skalę deformacji regionu w czterech przynajmniej wymiarach: społecznym, ekonomicznym, ekologicznym i wreszcie politycznym. W dwóch pierwszych poruszająca okazała się informacja, że w górnictwie węgla kamiennego, na tym niewielkim skrawku polskiej ziemi, pracowało ponad 400 tysięcy osób. W tym samym czasie branża ta w Republice Federalnej Niemiec, w Wielkiej Brytanii czy Francji poddawana była od lat radykalnej reformie, zmniejszającej koszty wydobycia i zatrudnienia. Bliższa analiza górniczych statystyk ujawniła, że na *hajerskich* listach płac widnieli piłkarze górniczych klubów, atleci występujący w kopalnianych barwach, a nawet personel domów wczasowych. W skali regionu oczywista stała się wówczas nadreprezentacja klasy robotniczej, z przypisaną jej misją rozwoju cywilizacyjnego, przy jednocześnie skromnym udziale inteligencji i intelektualistów w społecznej strukturze. Poruszającym był także niski wskaźnik uczniów kończących szkoły średnie i przystępujących do egzaminów maturalnych (18,9%). Mówiąc wprost – był on dwukrotnie niższy niż w innych aglomeracjach Polski. Wtedy też pojawiły się pierwsze publikacje dotyczące rejestrowanego bezrobocia w regionie, zjawiska nieznanego w księżycowej ekonomii realnego socjalizmu.

### **Gospodarka przede wszystkim?**

**Od** początku regionalnych przeobrażeń wiadomo było, że radykalnej zmianie ulec musi dotychczasowa wspólnota gospodarowania oparta na górnictwa węgla kamiennego i hutnictwie. To przekonanie wcale nie by-

ło oczywiste i wielu przedstawicieli władz zakładało, że Góry Śląsk na zawsze pozostanie przemysłowym sercem Polski i jej industrialną opoką. Wtedy też opisano skutki kilkunastoletniej eksploatacji surowców naturalnych, skalę ekologicznych zniszczeń i degradacji terenów przemysłowych. Okazało się na przykład, że w regionie zalega ponad miliard ton szkodliwych odpadów poindustrialnych ulokowanych na – malowniczo opisanych przez Franciszka Starowieyskiego – hałdach. Do świadomości mieszkańców dotarły też doniesienia o złośliwej ołowicy prenatalnej, czyli podwyższonym poziomie ołowiu w ciałach nienarodzonych dzieci i ich matek. Ale te katastroficzne doniesienia nie mogły zniwelować równole-

żących o to czy ufają innym, siedemdziesięciu odpowiada, że nie widzi podstaw do takiej ufności. To samo pytanie postawione w Danii, Norwegii czy Finlandii spotyka się z dokładnie odwrotną odpowiedzią. Skandynawowie pytają z zyczą: dlaczego mam nie ufać ziomkom? W systemie gospodarczym założono, że celem jest solidna gospodarka rynkowa, oparta na kapitalistycznym bilansie: popyt – podaż i przekonaniu, że towar ma taką cenę jaką w swobodnym przetargu gotów jest zapłacić za niego nabywca. Nie trzeba dodawać, że niektóre sektory gospodarki regionalnej wciąż pozostają poza rachunkiem ekonomicznym, a przypadek górnictwa węgla kamiennego jest tutaj jaskrawy. Pudrowanie węgla,

---

**Województwa katowickie i dzisiaj śląskie należały do najlepiej rozwiniętych cywilizacyjnie obszarów państwa, były nasycone stosunkowo dobrymi drogami, trakcją kolejową, tramwajową i autobusową. Mieszkają, i mieszkali, ludzie o wysokim kapitale profesjonalnym, dobrze wykształceni, o wysokim zasobie wiedzy podręcznej. W początkach transformacji ważnym zdarzeniem było przebudzenie etnicznych Górnoszlązaków, którzy jęli organizować się społecznie i kulturowo. Pudrowanie węgla, a nie rzeczywiste zmiany w branży, daje komfort rządzenia w regionie i sprawia również, że władztwo w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie staje się spokojniejsze.**

---

głych przekazów pozytywnych. To właśnie wtedy publicznie objawiły się ruchy mniejszości niemieckiej, Ruch Autonomii Śląska i lokalne organizacje skupiające ludność autochtoniczną.

### **Regionalne mega trendy**

**Już** na samym początku krajowej i regionalnej transformacji zarówno rząd centralny, jak i władze regionalne, zdefiniowały kluczowe kierunki zmian. W wymiarze społecznym podkreślono konieczność budowy społeczeństwa obywatelskiego, unięśmiertelnionego przez Arystotelesa, Cyserona i Kanta, a opartego na tolerancji wobec innych seksualnie, etnicznie, religijnie i rasowo. Temu projektowi zmian towarzyszyło przekonanie, że należy zabiegać o uczestnictwo jak największej liczby obywateli w podejmowanych przeobrażeniach. A wszystko to miało być oparte na społecznej tolerancji, zaufaniu i przejrzystości życia publicznego. Nie trzeba dodawać, że wiele z tych założeń, o idealistycznym charakterze, nie spełniło się. Poziom uogólnionego zaufania Polaków jest jednym z najniższych w Unii Europejskiej i od lat nie możemy się doczekać zasadniczej zmiany w tym zakresie. Mówiąc wprost, na stu rodaków

a nie rzeczywiste zmiany w branży, daje komfort rządzenia w regionie i sprawia również, że władztwo w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie staje się spokojniejsze. W wymiarze ekologicznym oczywista się stała sanacja regionalnego środowiska przyrodniczego, przez dekady zaniedbywanego i w istocie rujnowanego. Pojawiły się również, na początku transformacji, ważne żądania rozwoju zrównoważonego, opartego w pierwszej kolejności na wykorzystaniu odnawialnych źródeł energii przy jednoczesnym szacunku dla zasobów o nieodnawialnym charakterze. Bezpowrotnie traconych. Wtedy też eksponowano zgodnie z doświadczeniami dawnych obszarów przemysłowych, poddanych radykalnej przebudowie, konieczność rozbudowy sektora usług, ograniczającego dominację tradycyjnej przemysłowości. Chodziło zarówno o usługi o tradycyjnym charakterze, jak i *e-services*, świadczone drogą sieciową. Z jednej zatem strony, zmianie nie uległa rola krawca, fryzjera czy kosmetyczki, ale z drugiej niezwykle szybko rozwijać zaczął się internetowy handel, telepraca, edukacja sieciowa czy nawet siećowa medycyna. I wreszcie w systemie politycznym i tym krajowym, i tym regionalnym śmiało zadekretowano budowę demokracji, przy jednoczesnej decentralizacji uprawnień ze szczebla

centralnego na lokalny, wspierany paralelnym procesem decentralizacji finansów. Dzisiaj już wiemy, że ten właśnie cel realizowany jest z mozołem i licznymi porażkami. Owszem, cesja władzy z instytucji centralnych na lokalne postępuje, ale nie towarzyszy jej stosowny przepływ finansów. Mówiąc skrótowo, decentralizacji władzy nie towarzyszy dostateczna decentralizacja finansów.

## Rezultaty ćwierćwiecza

**W** bilansie transformacyjnego ćwierćwiecza trudno nie odwołać się do socjologicznych badań prowadzonych w 1991 roku wśród mieszkańców Katowic. Były one pod każdym względem przełomowe. Mieszkańcy stołecznego ośrodka regionu, odnosząc się z szacunkiem do tradycyjnych przemysłów, przedstawili czytelne projekcje co do przyszłych losów miasta. Podkreślili, w pierwszej kolejności, że Katowice winny stać się ważnym ośrodkiem kultury z bogatym zapleczem instytucjonalnym w tym zakresie. Po latach wiemy, że ta obywatelska wizja ziściła się i Muzeum Śląskie, Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, Centrum Kongresowe ulokowane obok katowickiego Spodka to zestaw ikoniczny, ilustrujący skalę zmian i przeniesienia punktu ciężkości z przemysłu na – nazwijmy to tak – przemysł kultury. W transformacyjnym ćwierćwieczu nastąpiły zasadnicze zmiany w strukturze społecznej regionu. Do starych gett biedy dołączyły nowe, ulokowane zazwyczaj w pobliżu likwidowanych zakładów przemysłowych, kopalni i hut dobrodziejek. Ale jednocześnie pojawiły się enklawy zamożności, obwarowane i ogrodzone osiedla nie znane w realnym socjalizmie. Ich mieszkańcy są przekonani, że bramy, ochrona i kamery zagwarantują spokojną konsumpcję nagromadzonych dóbr i bezpieczną egzystencję. To przekonanie iluzoryczne, albowiem najbardziej nawet wyrefinowane systemy społecznej izolacji i dystansu, nie są w stanie pozwolić na kompletnie nieskrępowane życie mieszkańców i członków ich rodzin. Trudno też ukrywać, że te ostatnie w całym regionie ulegają zasadniczej zmianie. Wprawdzie rodziny tradycyjne, oparte na związku małżeńskim, konkordatowym czy świeckim, stanowią przynajmniej większość związków, ale trudno nie zauważyć, że nawet w najbardziej tradycyjnych rewirach śląskich zwiększa się liczba kohabitacji, konkubinatów, partnerstw homoseksualnych czy kompletnie nowych związków takich jak *DINKS* czy *LAT*. Ten pierwszy skrótowiec pochodzi od angielskich terminów

*Double Income No Kids*. Czyli podwójny dochód radośnie konsumowany, ale bez posiadania potomstwa. Ten drugi z kolei to związek ludzi mieszkających wszakże osobno, często z wielu powodów: braku mieszkania, niedostatecznych dochodów czy po prostu wygody. W transformacyjnym bilansie trudno jest pominąć nowe, a może raczej skrywane przez lata autoidentyfikacje, zwłaszcza związane z mniejszością niemiecką i Ruchem Autonomii Śląska. Wcale nie bez znaczenia są tutaj dane z dwóch ostatnich Spisów Powszechnych Ludności i Mieszkań (2002, 2011) pokazujące wzrost liczby obywateli regionu deklarujących swoją tożsamość narodową w kategoriach śląskich. Oczywiście nie można zapominać, że to absolutna mniejszość w województwie, ale respektowanie tej grupy jest miarą demokracji kraju i poszczególnych jego części. Z tym zagadnieniem związana jest również troska o uznanie *śląskiej Godki* za język regionalny. Status ten oznacza

pracy w przemyśle ciężkim niweluje Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Daje ona gwarancje finansowego spokoju tysiącom ludzi, ale trudno nie zauważyć, że w tych atrakcyjnych inwestycyjnie terenach ulokowały się przede wszystkim – choć nie wyłącznie – firmy motoryzacyjne, produkujące towary masowe, samochody i ich komponenty. Niektórzy mówią wprost, że strefowe przedsiębiorstwa to montownie, oparte na taniej, a jednocześnie dobrze przygotowanej sile roboczej. Zapewne tak jest, ale dopóki nie zainteresują się Strefą właściciele najbardziej wyrafinowanych technologii trzeba polubić to, co się ma, a nie to, co chciałoby się w tej przestrzeni mieć. Gdzieś w coraz bardziej odległym miejscu – przy okazji rocznic i jubileuszów – przypominana jest tragedia i jednocześnie trauma związana z kopalnią Wujek oraz śmiercią dziewięciu górników, broniących swojego miejsca pracy. Dobrze się stało, że po latach zapadł wyrok sądowy w spra-

---

**W kopalniach wciąż pracuje 90 tysięcy osób, a z nimi związani są nie tylko członkowie górniczych rodzin, ale i kooperanci branży. Straty z pierwszego półrocza są porażające i wynoszą blisko 1,5 miliarda złotych, a zatem dwukrotnie więcej niż w tym samym okresie 2014 roku. Jest niemal pewne, że nie da się utrzymać stanu posiadania branży i jej odchudzenie personalne i instytucjonalne jest przesądzone. Nawet wtedy, gdy ważni politycy w sposób nieodpowiedzialny deklarują, że w górnictwie nie będzie procesów likwidacyjnych i redukcyjnych.**

---

ułatwienie w kulturowaniu języka, gdyż wiąże się z budżetowym wsparciem. Ten status uzyskała kaszubszczyzna, co w warunkach śląskich budzi poczucie niezawinionego upośledzenia. Nie tylko z powodu asymetrii liczby osób deklarujących przynależność kaszubską i śląską. Warto przy okazji wspomnieć o rewindykacjach tożsamościowych mieszkańców Zagłębia, dystansujących się – co zrozumiałe z powodów historycznych, ekonomicznych i kulturowych – od Górnolślązaków. Zasadniczej zmianie uległo, zwłaszcza w ostatnim czasie, regionalne górnictwo i cały przemysł ciężki. W kopalniach wciąż pracuje 90 tysięcy osób, a z nimi związani są nie tylko członkowie górniczych rodzin, ale i kooperanci branży. Straty z pierwszego półrocza są porażające i wynoszą blisko 1,5 miliarda złotych, a zatem dwukrotnie więcej niż w tym samym okresie 2014 roku. Jest niemal pewne, że nie da się utrzymać stanu posiadania branży i jej odchudzenie personalne i instytucjonalne jest przesądzone. Nawet wtedy, gdy ważni politycy w sposób nieodpowiedzialny deklarują, że w górnictwie nie będzie procesów likwidacyjnych i redukcyjnych. W znacznym – choć zapewne w stopniu niewystarczającym – ubytek miejsc

wie, dający, tak można sądzić, poczucie *katharsis* zainteresowanym mieszkańcom regionu. W bilansie regionalnych zysków i strat nie można zapomnieć o porażce metropolitalnej. Przez wiele lat prezydenci największych miast Górnego Śląska i Zagłębia deklarowali potrzebę rozstrzygnięć metropolitalnych, ale ustawa pojawiła się dopiero w gorącym okresie przedwyborczym 2015 roku, już po okresie entuzjazmu i obywatelskiego zaangażowania. Można wyrazić nadzieję, że spóźnione rozstrzygnięcia legislacyjne umożliwią – mimo wszystko – lepsze i tańsze funkcjonowanie blisko dwudziestu miast regionu. I wreszcie, poważnej debaty o obywatelskim charakterze wymaga rozmowa o koniecznej reindustrializacji regionu. Nie chodzi tutaj o nowo wznoszone kopalnie węgla kamiennego czy huty, ale o przedsiębiorstwa zatrudniające absolwentów szkół wyższych województwa, angażujących elastyczne i kreatywne umysły, ale często szukających dzisiaj swoich szans w emigracji do dużych miast Polski, Europy i świata. A zatem – jak mawiał Konfucjusz – lepiej rozpalic ogarek niżli przeklinać ciemności. ■

Lider. Nowoczesnej Ryszard Petru przyznał, że każda „jedyńka” z jego listy wpłaciła na konto ugrupowania 30 tys. zł. i dostał premię za uczciwość. Jest w Sejmie. Genialny Gibbon w swoim *Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego* opisuje, jak po zabójstwie Pertynaksa, oficerowie gwardii cesarskiej wpadli na prosty, jak jedna stawka podatkowa dla wszystkich, zgodny z zasadami wolnego rynku, pomysł szybkiego wzbogacenia się: wystawili urząd Imperatora na ... licytację. Wygrał, uczciwie, Dydiusz Julian. Niedługo cieszył się lichwiarskim splendorem.

Na stole bogatego Rzymianina musiały gościć owoce morza. W naszych czasach, przypominano niektórym, że polityka to nie bezkarne i kularowe pogaduszki damsko-męskie przy suto zastawionym stole, ale twarda walka o władzę z oficerami i oficerkami służb specjalnych w roli pretorianów. To Donald Tusk (a nie Macierewicz) mówił publicznie, że nie wie jakim alfabetem pisano scenariusz „afery taśmowej”. Ośmiorniczki bardzo osłabiają synapsy i jest to zaraźliwe. Na przykład prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz w odpowiedzi na dyplomatyczną krytykę Ewy Kopacz publicznie wysłała Sikorskiego na zakupy do jednego z dyskontów. Przypomina się „psi mezalians” a la Tuwim.

Pastisz „Bękarty wojny” w reż. Quentin Tarantino to fikcyjna opowieść o amerykańskich Żydach, którzy skutecznie mordują śmiertelnych wrogów – hitlerowców. „Bękarty polityki” to licentia poetica na określenie specjalistów od wizerunku politycznego: swoistych *specjalsów* od doprowadzania do śmierci politycznej przeciwników. Rodzimi spin-doktorzy są ekspertami à rebours. Zamiast wizerunki swoich pracodawców poprawiać, niszczyli je. Zapomnieli, że ich zawodem jest trudna sztuka: spowodować, by wygłaszający poprawne politycznie frazesy kandydaci sprawiali wrażenie wiarygodnych a nie odwrotnie. Efekt. Spotkanie dwóch liderów zostało określone mianem „dyskusji manekinów”. W drugiej debacie najbardziej naturalnie wypadali, ci których nie było stać na spin-doktorów. Największym beneficjentem tej szopki był Adrian Zandberg a największą ofiarą Barbara Nowacka, świetnie sprzedająca się medialnie z wyjątkiem najważniejszej dla niej debaty, gdzie mówiła wyuczonym „fałsetem”.

Dotychczasowe 25 lat polskiej demokracji odniosło (nie) wątpliwy sukces. Wzbożyciło powiedzenie, że władza deprawuje. U nas dzierżenie sterów władzy prowadzi do deprawacji i odmóżdżenia.

Platforma Obywatelska rządzona „matczyną” ręką przez Ewę Kopacz, uznana wynikiem 24% za dobry. Była Pani Premier powołuje się na przykład Jarosława Kaczyńskiego (o tempora, o mores!), twierdząc że jeśli jemu kilka przegranych kampanii nie zaszkodziło, to jej jedna klęska też nie. To nieporozumienie. Trwałość przywództwa Kaczyńskiego jest konsekwencją jego wyboru politycznego dokonane przed dwudziestu laty. Tworząc PC odwołała się do tezy premiera Olszewskiego, uważającego że nową władzę trzeba oprzeć na aksjologii patriotycznej i katolickiej. Powoduje to problemy z dostosowaniem się



Foto: Zbigniew Sawicz

## „Bękarty” polskiej polityki

MARCIN GACEK

**Polscy politycy przestali zaprzeczać, że występują w teatrze groteski. Niektórzy na tej szczeroci zbijają kapitał polityczny.**

do trendów europejskich. Dla większości społeczeństwa jest to nie do zaakceptowania, ale jednocześnie gwarantuje twardy elektorat. W 2015 roku upadła iluzja o żelaznym elektoracie PO. Na wieże w ten mit opiera się przekonanie ekipy Kopacz, że 24-procentowy wynik to przyczółek do przyszłej ofensywy politycznej. Błąd. Twardy elektorat liberalny okazał się płynnym i pozęgłował do Petru. Ci, którzy zagłosowali na PO to *spiżowy* elektorat anty-PiS. Wybrali Platformę, bo ufali, że koncentracja siły pozwoli zatrzymać triumf Zjednoczonej Prawicy. Ich lojalność nie została nagrodzona, więc rozglądają się za alternatywą. W 2007 roku wszędzie tam, gdzie silne poparcie miała Samoobrona, zanotowano niższą frekwencję. Wiejski elektorat mógł wybaczyć swoim przedstawicielom wiele, ale nie aferę „praca za seks”. Wystarczy popatrzeć na frekwencję w matecznikach PO, by zobaczyć podobieństwo. W tym przypadku estetyczną czarę gorczyczy przepełniła afera taśmowa.

Komentując wynik PSL-u w wyborach samorządowych pisałem w numerze grudniowym „Śląska” z 2014 roku „Zwycięski PSL już niedługo przekona się jak pyrusowemu zwycięstwem okazać się te 23% głosów, wynikające z pierwszej strony i ponadprzeciętnej liczby głosów nieważnych”. Z siedziby PSL słyhać skowyt bólu i mało subtelny odgłos „lizania ran”.

Ugrupowanie to będzie idealnym *żerem* dla zwycięskiego PiS-u. Posłowie Stronnictwa wiedzą, która partia może dać im szansę na reelekcję. Przykład SLD i Palikota posłuży jako instruktażowa wizualizacja losu małych ugrupowań w parlamencie.

Programowo bezprogramowy Ruch Kukiz'15 wszedł do parlamentu z hasłem JOW-ów i odnowy pro-obywatelskiej. Ciekawa to rewolucja, w której rolę Dantona gra rockman a Robespiera – Liroy.

Koniec SLD również przypomina Rewolucję Francuską. Potężna niegdyś partia rządząca wraz z koalicjantami poniosła druzgocząca klęskę jako Zjednoczona Lewica. Zamiast zaraz po przegranych wyborach do PE dokonać bolesnych, lecz koniecznych cięć chirurgicznych, pozwolono na przygodę medialną (bo nie polityczną) pani Ogórek po to, by w końcu wypromować swojego grabarza Adriana Zandberga. Nie mają racji ci, którzy krytykują partię Razem za to, że tak cieszyła się w dniu ogłoszenia wyników wyborów z anihilacji Lewicy parlamentarnej. Przekroczyli trzyprocentowy próg i dostaną milionowe subwencje. Kto by się nie cieszył. A że wyglądało to trochę nieprzyzwoicie? Cóż w biznesie... przepraszam w polityce, nie ma miejsca na sentymenty. Działaczki i działacze obu partii mogą *po egzekucji przy zatańczeniu* karmaniole.

Lodolamczem wizerunkowym dla Zjednoczonej Prawicy jest prezydent. W polityce liczy się skuteczność. Zdjął z PiS-u odium partii niewybieralnej. Świetnie wykorzystał wielomiesięczne zabiegi polskiej dyplomacji w przygotowaniach jego wystąpienia w ONZ. Jasne, że miało ono być dla PO sukcesem przed kampanią parlamentarną, ale najważniejszy pasażer Bronkobusa przegrał.

Kaczyński ma w końcu to, na co czekał od ośmiu lat. Może zmienić ustrój Polski. Jaką drogę wybierze? Rzeczywistych reform, których nasz kraj potrzebuje jak kania dżdżu, czy też pozornych. Reforma szkolnictwa nie zapowiada nic dobrego. Powrót do systemu ośmioletniej podstawówki przypomina największą reformę SLD po wygranej w 2001 roku. Wtedy wszyscy krytykowali Kasy Chorych. Leszek Miller, upojony zwycięstwem, zlikwidował je i stworzył NFZ. Szybko okazało się, że kasy wrosły w system i trzeba by było tylko udoskonalić.

A wystarczyłaby chwila refleksji nad przyczynami dlaczego przed wojną gimnazjum było kopalnią młodych diamentów, później szlifowanych w liceum i na studiach, a teraz jest siedliskiem patologii. Dla odwołującej się do konserwatyzmu partii chyba wzorce przedwojenne powinny być bliższe niż komunistyczne. Ale ZP zawsze może pójść przetartym szlakiem poprzedników – ścieżką zidiocenia powyborczego.

A gdzie w tym wszystkim Śląsk? No właśnie.

**Dr Marcin Gacek** – socjolog, adiunkt z Instytucie Socjologii UŚ, poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym *Opcje* i miesięczniku *Śląsk*.

# Nie ma morza w Bagdadzie!?

(cz. I)

WITOLD TURANT

## Buland Al-Haidari: Moje przeprosiny\*

*Przyjmijcie moje przeprosiny, o czcigodni goście,  
Spiker skłamał w ostatnich wiadomościach:  
Nie ma morza w Bagdadzie,  
Ani pereł,  
Ani nawet wyspy,  
A wszystko, co Sindbad naopowiadał  
O królowej dżinnów,  
rubinach i koralowych wyspach  
O tysiącach tysięcy płynących z ręki sultana  
Okazało się mitem zrodzonym pewnego upalnego dnia  
W moim miasteczku  
wypalonych przez słońce cieniach południa  
Cichą nocą wygnanych gwiazd.  
A przecież mieliśmy  
Morze, muszle i perły,  
Także wypolerowany księżyc  
I rybaków powracających wieczorem;  
A przecież mieliśmy,  
Jak powiedział spiker w ostatnich wiadomościach,  
Niewinny, wysniony raj;  
Jako, że my, o czcigodni goście,  
Kłamiemy, by urodzić się na nowo,  
Kłamiemy, by rozciągnąć na naszą długą historię  
Mit opowiadany przez Sindbada –  
O tym, że mieliśmy  
Morze, muszle i perły  
A także godzinę narodzenia.*

*Przyjmijcie moje przeprosiny, o czcigodni goście,  
Spiker skłamał w ostatnich wiadomościach:  
Nie ma morza w Bagdadzie,  
Ani pereł,  
Ani nawet wyspy<sup>(1)</sup>*

## Co wiemy o sobie?

L iteraturę na temat Bliskiego Wschodu mamy przebogata, ale doprawdy niewiele z tego wynika. Tak jak dawniej, nie bardzo pojmujemy, co się tam działo i dzieje, oczywiście poza nielicznym gronem maniaków i ekspertów. Zazwyczaj wystarcza nam stwierdzenie odnoszące się zarówno do Lewantu jak i do świata islamu w ogóle: to całkiem inny świat. Jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ten świat bardzo się do nas przybliżył. Niestety, często w swojej wersji wybuchowej, czyli w postaci terroryzmu islamistycznego. Jednak to tylko złudzenie wywołane intensywnością medialnego przekazu. Oba nasze światy zbliżały się od dawna – od ponad tysiąca lat i te zbliżenia bywały na przemian bolesne i inspirujące, a najczęściej otrzymywaliśmy „dwa w jednym” – inspirację i krwawe starcia. Atakowały się i inspirowały obie strony. Historia wiele i chętnie mówi na ten temat, głównie jednak tym, którzy chcą słuchać. Najczęściej, co jest przykre ale i zrozumiałe, ekscytujemy się wzajemnym zabijaniem.

Obie strony lubią patrzeć na siebie, jako na posiadacza wyższej kultury i bardziej cywilizacyjnie rozwiniętego gracza w rozgrywce, w której stawką jest objawienie światu jedynej prawdy. Nieco dziwaczne w tym wszystkim jest to, iż korzenie obu tych prawd są w dużej mierze wspólne. I chrześcijaństwo bowiem, i islam są określane jako tzw. religie księgi. Obie religie miały swoich proroków, ludzi wyraźających wysoko ponad przeciętność swego ludu i swoich czasów, obie formacje religijno-polityczne miały swoich generałów. I jedni i drudzy nie zadowalali się zastaną rzeczywistością i jej granicami, ani duchowymi, ani politycznymi. Jak uczy historia, ciężko byłoby oddzielić te dążenia od siebie, gdyż na ogół tak bywa, iż te drugie są emanacją tych pierwszych i wzajemnie się wspomagają.

Kiedy upadła, czy może raczej podupadła cywilizacja zachodnia, cokolwiek pod tym określeniem rozumiemy, co nastąpiło po upadku Rzymu, Wschód przejął i przechował wiele idei, które pozwoliły mu skutecznie funkcjonować w wielu dziedzinach. Jako przykład sztandarowy może tu posłużyć myśl Arystotelesa, którą Zachód utracił, a potem na wiele stuleci się jej wyrzekł. Był to jeden z fundamentów, poza ideami importowanymi z Indii, czy jak można przypuszczać, nawet z Chin, na których islam budował swoją potęgę. Sukcesy militarne Al.-Mansoura i wysiłki państwowotwórcze jego następców muszą budzić podziw, tak jak dawnymi czasy budziły lęk. W owych czasach religia, podobnie jak chrześcijaństwo w Europie, była czynnikiem określającym tożsamość i scalającym wiele konkurujących i walczących ze sobą plemion i narodów. Kto wie, skąd Karol Wielki wziął pomysł jednoczenia wszystkiego wokół pod swoim chrześcijańskim berłem. W każdym razie nie powinniśmy zapo-

minać, że granicami islamu bywały wówczas Alpy i płaskowyż Poitou we Francji. O Hiszpanii w krótkim czasie można tylko było mówić jak o kalifatach. Rekonkwista tak naprawdę trwała setki lat. Francji, m.in. dzięki Karolowi Młotowi jakoś się udało.

Czy było wtedy strasznie? Odważyć się na twierdzenie, iż niekoniecznie. Kto uiszczał odpowiednią opłatę, która była czymś w rodzaju podatku od innowierstwa i nie kwestionował postanowień mużłmańskiego władcy w zasadzie mógł żyć spokojnie; w zasadzie, albowiem władza była absolutna i miewała swoje kaprysy, a wtedy bywało kiepsko. Podobnie jak Żydom pod panowaniem władców chrześcijańskich. Niewątpliwie cieniem w oku mieszkańców podbitych ziem musiała być jednak kulturowa odmienność, obcość najeźdźców. Zapewne nikt na ten temat specjalnie nie teoretyzował, ale wiele świadczy o tym, iż silnie to odczuwano. Ślad tej obecności jest wyraźnie widoczny jeszcze dziś w czymś, co określa się mianem kultury śródziemnomorskiej. W muzyce ludowej i wszelkiej innej która z niej czerpie, od Włoch, poprzez Francję, aż po Hiszpanię jest ten wschodni posmak bardzo odczuwalny. Podobnie jak w mentalności ludzi zamieszkujących dziś niektóre regiony tamtych krajów; poczucie czasu południowców jest nadal szokująco odmienne od tego, do czego przywykliśmy na Zachodzie czy Północy.

Wpływy języka arabskiego czy perskiego nadeszły dopiero później. Jak się wydaje zaczęło się to zjawisko ujawniać w czasach wypraw krzyżowych. Do naszego języka, zapewne nie bezpośrednio, trafiła m. in. algebra, alkohol (jedynie nazwa, bo sama materia znana nam była od dawien dawna), i pocziwa alchemia niegdyś skutecznie konkurująca z chemią. Bawełna dotarła do nas stosunkowo późno i chyba raczej z innej strony. Języki, w których zaczęto wcześniej określać ten rodzaj materiału zapożyczyły jego nazwę właśnie z arabskiego, choćby angielskie określenie „cotton” pochodzi w prostej linii od „al.-godon”. Ale to tylko słowa. Ważniejsze były nauki, technika i rzemiosło. Słowem zdobycze tamtejszej cywilizacji. Tak, tak – cywilizacji. W czasach pierwszych krucjat, gdyby nie prymitywne zbroje (bo kto słyszał o tolekańskiej stali, która przywędrowała niemalże wprost z Damaszku), to my świeciłobyśmy gołymi pupami, o co tak chętnie pomawiamy innych. Zaczniemy zatem od technologii przetwarzania żelaza w stal. Metoda stosowana w Damaszku została przeniesiona na Półwysep Iberyjski, a potem, wzbogacona doskonałymi rudami ze Szwecji rozplynęła się w Europie, dając takie zjawiska jak stal szwedzka, z Solingen czy z Sheffield. Te marki jaśniały niczym gwiazdy na europejskim niebie, aż do czasów rewolucji przemysłowej i gruszki Bessemiera. Krzyżowcy udręczeni bliskowschodnimi upałami (kto był, ten wie na co stać tamtejszą aurę), zaczęli

wzorem gospodarzy tamtych ziem poszukiwać wytechnienia w cieńszych materiałach, takich jak te z Mosulu (muślin), czy gaza (wiadomo skąd). Barwione szkło z weneckiego Murano nie powstało ot tak, po prostu; technologię produkcji podpatrzyli krzyżowcy i razem z domniemanymi prochami św. Mikołaja przytaszczyli do Italii. Mikołaja do Bari, a szkło do Wenecji. Do dziś nie wiadomo, kto zrobił na tym lepszy interes, ale wiadomo, że Mirra straciła z całą pewnością, choć jeśli prawdą jest, iż nikogo takiego nigdy nie było, te prochy i legenda związana z Bari zrobiła ogólnoswiatową i, jak się wydaje wiecznotrwałą karierę. Zostawmy jednak w spokoju świętego i za razem symbol obfitującego w prezenty dzieciństwa i zajmijmy się tematem o wiele poważniejszym, mianowicie katedrami.

### Światło i ciemność

Opat Suger miał, jak można mniemać, pomysł, ale nie bardzo wiedział, jak go zrealizować; jak w dobie dominującego w budownictwie drewna i bardzo ograniczonych umiejętności i możliwości stosowania w budownictwie kamienia wznieść świątynię, która przetrwałaby wieki niosąc ideę wielkości Chrystusa, z niemal wszystkimi jej aspektami? Czcigodny opat znalazł się, jak się wydawało, w ulicze bez wyjścia. Jednak Suger to była osobowość na miarę większą, niż swoje czasy. Postawił sobie cel i szukał z determinacją sposobu jego realizacji. Być może, iż rozwiązanie podsunęło mu białe kamienne oblicze Jerolimy. Nie wiemy jak było naprawdę, ale istnieje wiele przesłanek wskazujących na to, iż pierwsi budowniczowie średniowiecznych katedr przybyli z Orientu, przywoząc nieznane w Europie techniki budowlane i metody obliczeń. Wygląda zatem na to, iż pewna część wiedzy, jaką nabywają dziś studenci wydziałów budownictwa zachodnich uczelni przybyła nie skądinąd, a z Bliskiego Wschodu. Jedno jest pewne – tamtejsi budowniczowie, dzięki zdobyciom matematyki arabskiej, potrafili nieźle liczyć, co jak wiadomo, jest ogromną, choć nie zawsze spotykaną zaletą budowniczych czegokolwiek. Georges Duby w swym znakomitym dziele pisze m. in.: „(...) marchie południowe na ziemiach Italii i Półwyspu Iberyjskiego. Tam dokonywało się spotkanie z islamem, z chrześcijaństwem bizantyńskim, to znaczy ze światem o wiele mniej dzikim. Do hrabstwa Barcelony, do maleńskich królestw wciśniętych w góry Aragonii, Nawarry, Leonu, Galicji, przez strażę przednie delty Padu, Ferrare, Comacchio, Wenecję, przez Rzym przede wszystkim, miasto styku hellenizmu ze światem łacińskim, całe zwrócone ku Konstantynopolowi, o który było zazdrosne i którym było olśniewione, przenikał ferment postępu, przenikały idee, umiejętności, bardzo piękne wyroby, a także – przedmiot fa-

scynacji – złota moneta świadcząca o wyższości materialnej kultur graniczących z chrześcijaństwem od Południa.” Nie sposób dziś dojść, czyje wpływy i czyje umiejętności miały wpływ decydujący na kształt tych świątyń-ksiąg. Zresztą nie to jest najistotniejsze.

W tamtych czasach kraje islamu mogły pochwalić się kilkoma uniwersytetami. W Europie idea gromadzenia się wspólnego uczących się i nauczających w celu udoskonalania wiedzy i wspólnego kultywowania nauk miała się dopiero narodzić. Paradoksalnie, kiedy na Zachodzie powstawały pierwsze uniwersytety, Wschód ogarniały szybko i skutecznie ciemności, niby zasłony zaciągane nad rozumem przez różne ugrupowania fundamentalistyczne. Schyłek był nieunikniony. Ale nie uprzedzajmy faktów. Bagdad Seldżuków i Abbasydów był oazą wiedzy i rozumu. Tu Al.-Kindi, lekarz i filozof ogłaszał swoje traktaty, tu przeprowadzano sekcje zwłok, które w wielkim tempie posuwały do przodu wiedzę o anatomii człowieka. Tu Abu'al.-Barakat o przydomku „jedyny w swoich czasach” ogłosił swoje nieortodoksyjne dzieło „Kitab Abu Al. Mutabar” (Księga o tym, co zostało zbadane”). Wreszcie tu praktykował (i teoretyzował) jeden z największych chirurgów przełomu tysiącleci, Az-Zahrawi Abu Al-Kasim, wynalazca wielu metod operacyjnych, autor pierwszego, bogato ilustrowanego, podręcznika medycyny – Kitab Al.-Tasrif, zawierającego opisy oraz ryciny ponad 200 narzędzi chirurgicznych. Dzieło to przez wiele stuleci służyło, przetłumaczone na łacinę, europejskim studentom medycyny i lekarzom.

Arabska, czy jak chcą niektórzy islamska (wielu jej przedstawicieli było Persami) matematyka narodziła się tak naprawdę w Indiach, ale do nas dotarła poprzez arabski Wschód. Miała licznych wybitnych przedstawicieli, a jednym z jej głównych ośrodków był Bagdad. Brzmi to dziś dość zabawnie, ale był wśród nich także poeta, Omar Chajjam, autor słynnych Rubajatów, które i dziś potrafią wywołać rumieniec u czytelników, ojciec geometrii algebraicznej, astronom; zabawnie, albowiem w naszej kulturze określenie poeta bardzo często odnosi się do osoby piszącej, która z naukami ścisłymi, delikatnie mówiąc, jest na bakier, choć na szczęście nie jest to regułą. Taką wszechstronność na Zachodzie widzimy dopiero w dobie Renesansu. Do Europy te zdobycze nauki zaczęły docierać dopiero ok. XIII w., a niektóre musiały zostać odkryte na nowo w późniejszych stuleciach.

Także wiele innych nauk oraz prądów kulturowych miało swe korzenie na mużłmańskim Wschodzie, o czym dziś zapominamy. Jest niewygodnie nam jest pamiętać. Będ wśród nich także nieco wstydlive zjawisko, przypisywane kulturze Zachodu, zwane pornografią. Dziś brzmi to szokująco, zwłaszcza gdy na ulicach Londynu czy Berlina widzi się

setki kobiet noszących chusty czy nawet burki, a w krajach islamu liczą się one zapewne w miliony. Oczywiście samo to zjawisko, zjawisko ekscytacji erotycznej poprzez przedstawienie graficzne czy opis, jest stare jak świat. Babilon, Egipt, Grecja, Rzym nie były przecież od niego wolne. Nawet nasze Średniowiecze w takiej czy innej formie zachowało tę cechę. Natomiast islam, z zakazem przedstawiania ludzkich postaci, zdaje się być wolny od tego zjawiska. Nic bardziej mylnego. Jeśli nie mogła ujawnić się nagość i erotyka w postaci graficznej, dawano upust tym skłonnościom w formie pisanej. Często chowano erotykę, wcale nie wyłącznie heteroseksualną, z wolem wyrefinowanych figur poetyckich, a bywało, jak to czynił bagdadzki poeta Abu Nuwas, że wprost wyrażano uwielbienie dla chłopięcego ciała. „Twardszą” pornografię maskowano pozorami poradników i podręczników seksu, jak to miało miejsce w przypadku „Ogrodu rozkoszy”. To rozwrywko-edukacyjne dzieło autorstwa Szajcha An-Nafzawi powstało najprawdopodobniej w Afryce Północnej na przełomie XII i XIII w. Znajdujemy w nim wiele bardzo dosłownych, wręcz dosadnych opisów sytuacji, do jakich dochodzi w dziedzinie kontaktów damsko-męskich, w małżeństwie i poza nim, a ponadto na wpeł żartobliwe czasem porady, jak rodzic sobie z problemami technicznymi, które trapią obie płcie od zarania ludzkości. We wstępie zatytułowanym „Ogólne uwagi na temat sztuki uprawiania miłości” czytamy m.in.: „Chwalmy Boga, który uczynił przyrodzone części ciała kobiety źródłem najwięcej rozkoszy mężczyzny i przysposobił przyrodzone części ciała mężczyzny ku jak najwyższemu ukontentowaniu kobiety.

On to sprawił, iż owo niewieście przyrodzenie nie daje jej uczucia radości ani zadowolenia, dopóki nie zagłębi się weń instrument mężczyzny; i na odwrót – członek męski nie zazna spokoju ni spoczynku, dopóki nie wniknie w przyrodzenie kobiety.

Stąd bierze się potrzeba wspólnego działania.”

W tamtych czasach autorzy europejscy także poświęcali pewną uwagę tym zagadnieniom, ale nastawiali się raczej na sferę duchową tych relacji, a fizyczne zbliżenie traktowane było raczej jako zło konieczne, bo przecież potrzeba prokreacji była jednak oczywista, ale niemal zawsze wskazywano na złe strony wzajemnych relacji i niepokojącą bliskość złego ducha. Zmianę tego nastawienia przyniósł dopiero schyłek Średniowiecza i Renesans. Warto także zwrócić uwagę na pewien dość istotny szczegół, z którym nasza zachodnia kultura nie bardzo może poradzić sobie do dziś, mianowicie na jedność sfery fizycznej i duchowej. Miłość w wschodnich autorów, bo warto się także odnieść do „Kama Suty”, która An-Nafzawiemu była najprawdopodobniej znana, domaga się spełnienia, bez swojej fizycznej

strony zdaje się w przyrodzie nie występować. W kulturze Zachodu triumfy święci miłość dworska, a schemat Abelarda i Heloizy zyskuje sobie powszechny szacunek, choć kto wie, do jakiego stopnia był to układ wymuszony. Dla An-Nafzawiego i innych autorów Wschodu jedno i drugie byłoby zwykłym zawracaniem głowy. Owidiusz, jego uczniowie, naśladowcy i epigoni byli w tym czasie na indeksie. Natomiast codzienna rzeczywistość była jednak trochę odmienna, o czym świadczą choćby kłopoty dynastyczne wielu monarszych rodów tamtego okresu. Należy się jedynie domyślać, iż niższe sfery postępowały podobnie, oddzielając wzorce kulturowe, w tym także religijne, od zwykłego życia.

Renesans w swym kulcie ciała ludzkiego sięgał jednak nie tylko do starożytności, ale sporo skorzystał na imporcie ze Wschodu, czego dowodem niech będzie cesarski dwór w Palermo. Zanim w drugiej połowie XV w. pojawili się Borgiowie, Medyceusze i inni, w Palermo ubierano się na wschodnią modłę, zdobiono pomieszczenia elementami o rodowodzie orientalnym, a także, na pewnym szczeblu i do pewnego stopnia, kultywowano wschodnią obyczajowość, z czymś w rodzaju haremu włącznie. Oczywiście był to skandal, ale był to raczej wstęp; papież z rodu Borgiów czy Medyceuszy mieli konkubiny, kochanki, dzieci, które czyniono kardynałami, ale to był już Renesans.

Wróćmy jednak na Wschód. Szybko zauważamy tam proces całkiem odwrrotny. Od wieku XIV kultura upada, sztuki niemal nie istnieją, a na nauki, w tym także medycynę, nałożono taki gorset, że wiele gałęzi zaduszone niemal zupełnie. W czasie, kiedy w Europie postęp medycyny dokonuje się m. in. dzięki coraz śmielej przeprowadzanym sekcjom zwłok, fundamentaliści i fanatycy religijni, którzy dochodzą do władzy w wielu, a właściwie w większości muzułmańskich ośrodków, zakazują tych praktyk. Ciemności kryją ziemię islamu.

### Zanim odwróciliśmy się plecami

**Na** Półwyspie Iberyjskim odnotowujemy sukces Rekonkwisty, a sfera wpływu kultury zachodniej, dzięki m.in. odkryciom i koloniom, zaczyna się gwałtownie rozszerzać. Odbywa się to także nie bez pomocy map i opisów sporządzonych przez arabskich podróżników. Najpierw celem jest uczynienia przez chrześcijaństwo z Morza Śródziemnego Mare Nostrum, a następnie Zachód rusza na Wschód, ale mając już przeświadczenie, iż Ziemia jest okrągła, czyni to, dosyć przewrotnie, udając się w kierunku zachodnim. Morze Śródziemne jako miejsce styku i (jak to będzie starał się udowodnić) przenikania się obu kultur, nie traci jednak na znaczeniu. Warto więc zatrzymać się choć na chwilę na którymś z jego brzegów.

Zacznijmy od Akko. Tu wybudowane przez Franków fortece i umocnienia prze-

noszą nas na powrót w czasy wypraw krzyżowych. Kiedy ostateczna porażka krzyżowców staje się faktem, jest to ostatni bastion łacinników i punkt ewakuacji. Islam odzyskiwał, krok po kroku, utracone pozycje. Jeśli spojrzeć w słoneczny, jesienny dzień w stronę morza, widzimy obraz niemal sielankowy. Spokojny błękit zasnuty lekką mgiełką, a temperatura wody taka, że człowiekowi przybyłemu z Północy marzy się choćby krótka kąpiel. Mieszkańcy okolicznych osiedli zareagowaliby zapewne stukaniem się w czoła, ale cóż oni mogą wiedzieć o temperaturach, jakie zdarzają się w Bałtyku, nawet latem. Gdzieś tam za horyzontem jest Cypr, do dziś podzielony. Król Cypru, Piotr, potem królów krzyżowców był gościem Kazimierza Wielkiego, a kulminacją jego pobytu w Krakowie był słynny obiad u Wierzyńka. Kolejnym przyczółkiem Zachodu była Malta. Zarówno jedna wyspa, jak i druga w tamtych czasach miała ogromne znaczenie strategiczne, co widać rzuciwszy okiem na mapę. Z drugiej strony, widać także, jak bardzo obie wyspy musiały być zagrożone, albowiem wybrzeże dzisiejszej Turcji jest nieznacznie blisko tego miejsca narodzin Afrodyty, a i do Syrii i Libanu także niedaleko. Malta natomiast wydaje się jedną swą stroną opierać o Italię, ale Tunezja także o rzut tarbuszem. Obie wyspy ważne były zarówno dla wymiany handlowej, legalnej i pirackiej, jak też dla planów strategicznych tak łacinników jak i muzułmanów. Joannici, którzy wycofali się z Ziemi Świętej początkowo osiedli na Cyprze, ale wyparci stamtąd, umocnili się właśnie na Malcie.

Spuścizną wypraw krzyżowych było piractwo i handel niewolnikami. Nawet bitwa pod Lepanto nie położyła im kresu. W późniejszych czasach Malta zawładnęli Anglicy, którzy uczynili ją ważnym i skutecznym elementem ochrony swoich interesów na Morzu Śródziemnym, a przede wszystkim szlaków handlowych. Dlaczego piractwo popłacało? Częściowej odpowiedzi na to pytanie udziela Stephen O'Shea w swej książce „Morze wiary”: „Dragut Rais był piratem. W szesnastym wieku takie zajęcia nie należało do szlachetnych, nie uznawano też nikogo z tego powodu za socjopatę. Piraci bywali przydatni. W czasach Draguta na Morzu Śródziemnym rywalizowały dwa wielkie rody, z których jeden opanował Hiszpanię, Sycylię, południową Italię, Lombardię, Niderlandy, Niemcy i Austrię, drugi zaś Turcję, Grecję, Bałkany, Egipt, Libię, Maghreb, Palestynę, Syrię, Arabię i Irak. Chodzi oczywiście o Habsburgów i Osmanów, przy czym każdy z nich stosował całkiem bezprawne metody, aby drugiej stronie utrudnić handel morski.”

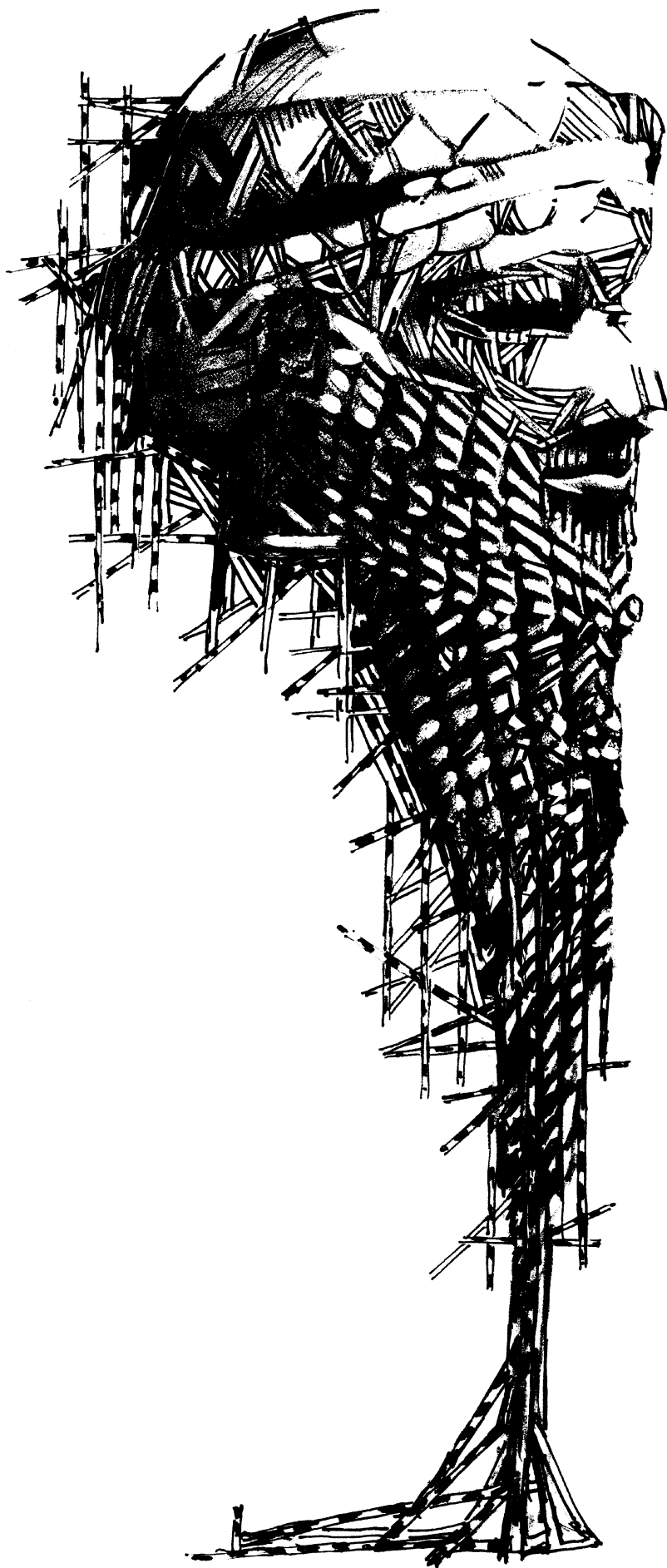
Sytuacja zatem nieco się rozjaśnia. Nie tylko dwa systemy religijne, ale i ekonomiczno-polityczne. Ironią losu może być zabarwiony fakt, iż obie dynastie zakończyły swe dni w atmosferze uwiązdu i dekadencji, choć nie w tym samym czasie.



Rozkład bywa powolny, ale bywa też szybki i skuteczny. Tak szybki i skuteczny, jak zawłaszczenie kalifatu, czyli instytucji państwowo-religijnej przez fundamentalistyczne sekty. Jeśli na te wydarzenia nałożymy najazdy mongolskie oraz ekspansję osmańskich Turków, obraz będzie w miarę pełny. W miarę, ponieważ nastąpiły także wydarzenia, które przez wiele lat traktowano jako mniej istotne, jednak dziś, gdy z perspektywy czasu analizujemy te fakty widzimy ich znaczenie wyraźniej.

Spór religijny wewnątrz islamu istniał niemal od dnia śmierci Mahometa. Podział na sunnę i shię nastąpił bardzo wcześnie. Następcy proroka spierali się między sobą o to, kto jest rzeczywistym posiadaczem i strażnikiem prawdy objawionej. Oba te odłamy z czasem zaczęły wyodrębniać wewnątrz siebie prowadzące dysputę o właściwą interpretację Koranu pomniejsze nurty teologiczne, a dysputa toczona była w dość zróżnicowany sposób, niekoniecznie ograniczając się do uczonych traktatów i murów islamskich uczelni i nierzadko kończyła się rozlewem krwi. Nic w tym dziwnego, jako że prawo obowiązujące w świecie islamu oparte było o wykładnię Koranu. Już około X w. dało znać o sobie w kalifacie Bagdadzkim ugrupowanie hanbalitów. Kalifowie, jak pisze Jerzy Hauziński, znaleźli się w trudnej sytuacji, gdyż „... Kalif musiał godzić różne podejścia w stosunku do kwestii etycznych, zwłaszcza będąc pod presją rygorystycznych tradycjonalistów, hanbalitów. Stojąc na stanowisku literalnej interpretacji Koranu i hadisów jako jedynych źródeł praw. Hanbalici „zyskali sobie smutną sławę inicjatorów krwawych konfrontacji”. (...) zwolennicy tego kierunku codziennie występowali w Bagdadzie przeciwko brakowi moralności, pod pretekstem „świętej wojny” z niemoralnością wdzierali się do domostw wybitnych osób, masakrowali śpiewaczki, zabraniali mężczyznom pokazywać się na ulicy z kobietami i młodzieńcami.” Był to dopiero początek, ale ziarno upadku zostało zasiane.

Póki co wznoszono jednak biblioteki, fundowano medresy, królową których była słynna Al.-Mustansirija, kwitła sztuka kaligrafii. W tym kontekście księgozbiór Mustansirii, liczący ponad 80 tysięcy woluminów musi wydawać się szczególnie imponujący. Ale już 1242 roku nowy nadzorca tej biblioteki z ramienia kalifa był zaskoczony panującym tam nieporządkiem. Potem nadszła Mongołowie. Ostatni kalif abasydzki, Al.-Mustasim, był tyleż człowiekiem wysokiej kultury, co bezwolnym i nie potrafiącym podjąć decyzji w stosownym czasie. Tak długo lekcewał mongolskie zagrożenie, aż dopiero było trzeba, by jego ulubiona tancerka Urfa, padła w jednej z sal bagdadzkiego pałacu przeszyta mongolską strzałą. Być może to tylko legenda. Jednak prawdą jest, iż był to koniec bagdadzkiego kalifatu i czegoś, co można by nazwać muzułmańskim odrodzeniem. ■



Grafika: Wojtek Luka

\* \* \*

lubię chodzić do kina  
z litrowym kubkiem jakiegoś napoju  
który zawsze będzie coca-cola

od razu siadam za kierownicą  
całuję się z najprzystojniejszym facetem  
jestem ranna najczęściej w samo serce

jeśli to oczywiście dobry film  
ale nie wynoszą mnie martwej  
to tamci giną pod czarną wodą ekranu

wychodząc wiem do jakiego reżysera  
mogę mieć pretensję  
kiedy zacznę narzekać na swoje życie

\* \* \*

w niedzielny poranek weszłam do lasu  
pod wysokie sklepienia z gałęzi  
nie do końca wypełnione liśćmi

nie widać było budowniczych  
a przecież za kilka dni nie przedrze się  
przez nie ani jeden promyk

słyszałam tylko stukanie młotka  
po lewej stronie pod moją bluzką  
Ktoś stale nade mną pracował

\* \* \*

słyszę jak mówisz że kochasz  
ciepłymi dotknięciami warg  
torbą którą wyjmujesz mi z dłoni  
zdjętym z serca kamieniem

\* \* \*

moje wiersze nie zmieniają świata  
ale zmieniają  
twoje oczy

## życie

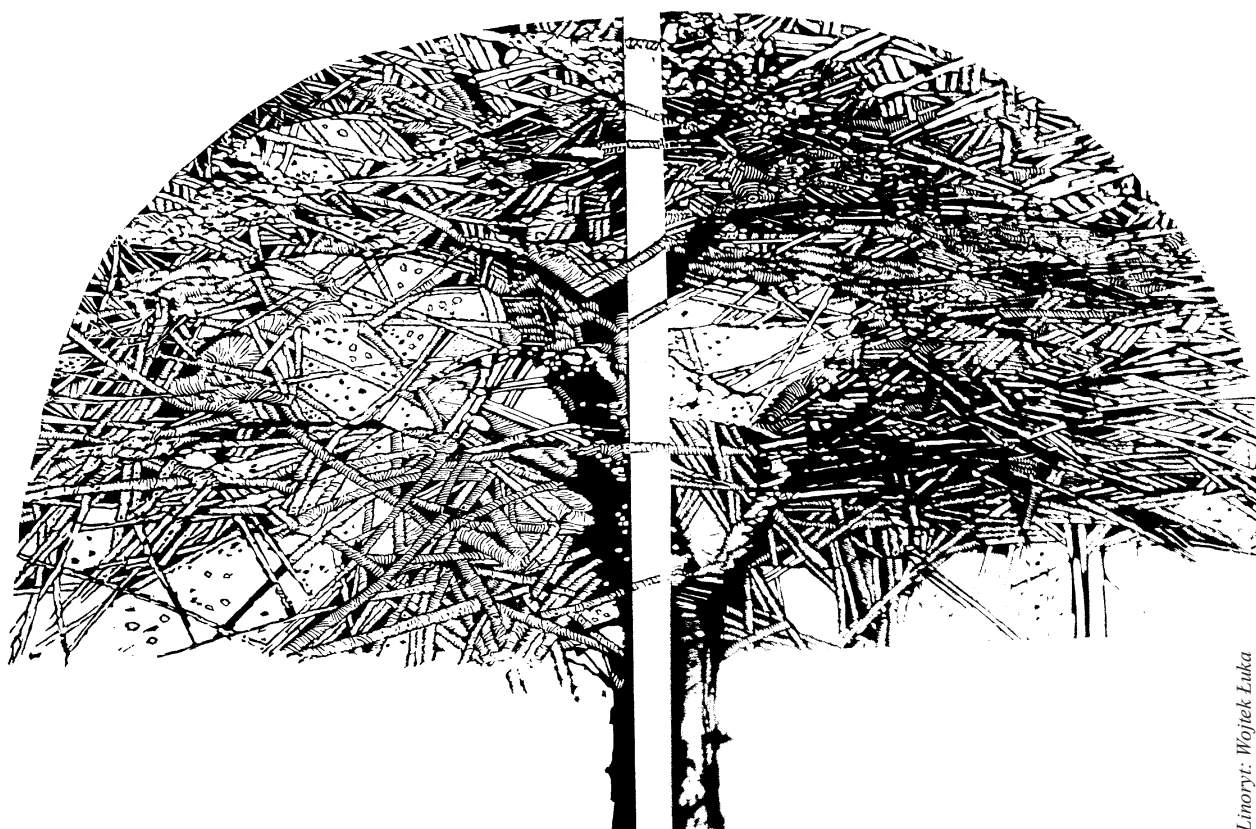
mówisz o łabędziach  
że się kochają na życie i śmierć  
unoszą głowy jakby do nich należała cała woda  
rozlewająca się między niebem a ziemią  
chodzę po Regents Parku  
i patrząc na łabędzie nie myślę o śmierci  
ale przecież śmiercią jest każde oddalenie  
tak jak teraz kiedy jesteśmy osobno  
wyciągając do siebie rękę z telefonem

\* \* \*

nie polecimy do Porto ani Puerto Rico  
nie kupimy sobie zielonych lodów na patyku  
nie znajdziemy już razem jednej wspólnej chwili  
w łóżku w wodzie jeziora ktoś nam czas umili  
zastąpi zstąpi z nieba zagospodaruje  
to co ty czujesz i to co ja czuję  
proste równania które się zdarzają w świecie  
mężczyźnie i kobiecie

## ciężar

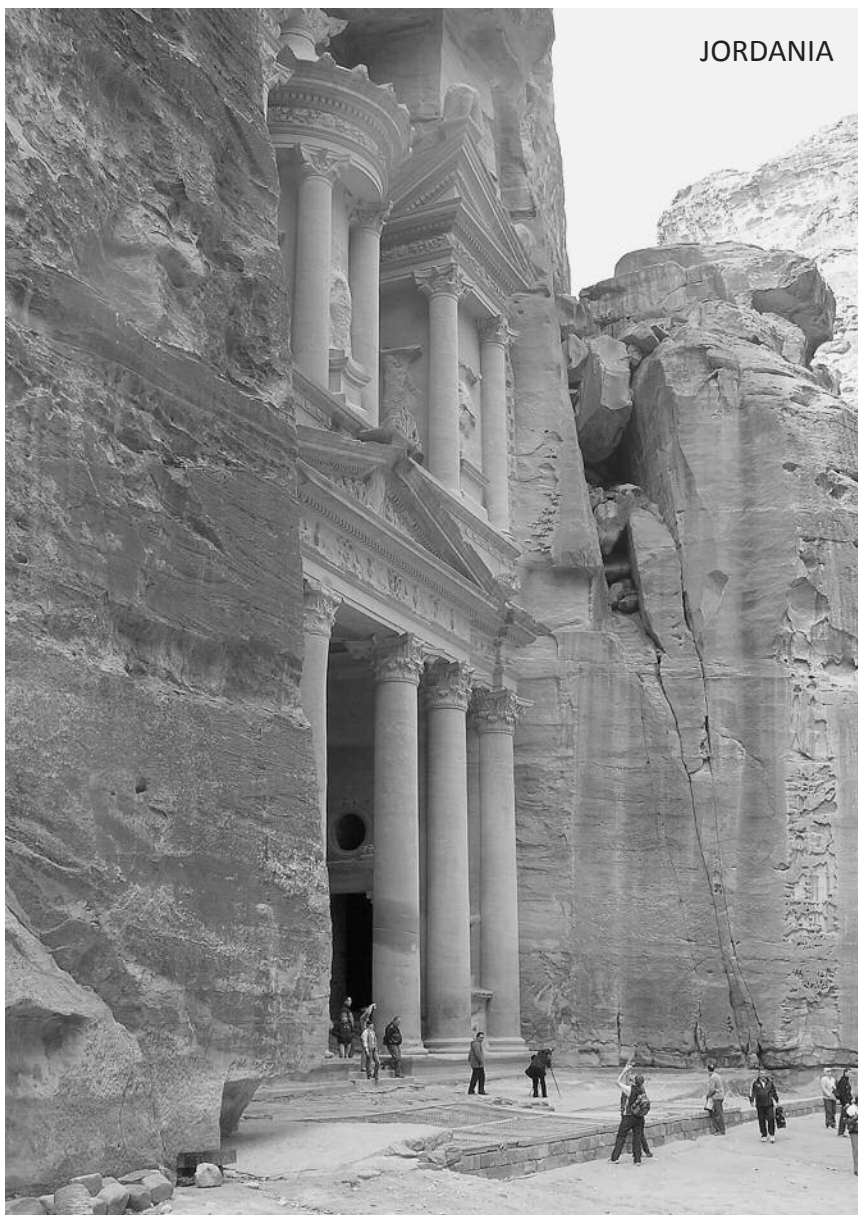
już tak wielu ich noszę  
w mojej małej głowie zaraz się z niej wysypią  
jak ze skrzynki pocztowej  
nagromadzone listy napisane do nich  
w czasie długich spacerów  
ulicami bez powiek bo przecież one nie śpią  
jak ci co nimi chodzili  
a teraz się pokładli na dłużej niż żyli  
w różnych miejscach gdzie nigdy  
nie stawiali łóżek  
nad ich białą przepaścią szepczą senne imiona  
jakby szumiały trawy na pobliskich polach



KUBA



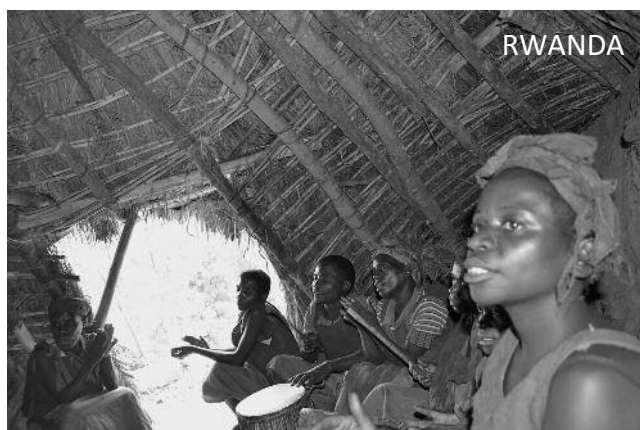
JORDANIA



# Chorograf współczesny

Z wypraw  
DARIUSZA ROTTA  
po świecie





**Prezentujemy fotografie autorstwa Dariusza Rotta, będące tylko nikłym wyimkiem z jego zbiorów, będących efektem podróży po świecie: po Libanie, Jordanii, Iranie, Chinach, Kubie, Ruandzie i Ugandzie.**

Dariusz Rott pracuje w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz w Instytucie Kulturoznawstwa Akademii Ignatianum w Krakowie. W latach 2014-2015 był profesorem wizytującym w kierowanej przez red. Jacka Żakowskiego Katedrze Dziennikarstwa Collegium Civitas w Warszawie, gdzie prowadził wykłady z podróźopisarstwa. Jest promotorem obronionego kilka miesięcy temu doktoratu dotyczącego życia i twórczości Toniego Halika. Redaguje serie wydawnicze: *Wokół reportażu podróżniczego* i *Polski reportaż podróżniczy*. Jego pasją jest turystyka kulturowa. Rok temu, spędził miesiąc podróżując po Ruandzie i Ugandzie, w tym roku odwiedził Iran i kierował wyprawą wokół Islandii. W przyszłym roku planuje zwiedzanie zachodniej Grenlandii.





Immatrikulacja nowo przyjętych studentów oraz doktorantów Uniwersytetu Śląskiego

# Orientalistyka kontra prawo

MARIA SZTUKA

Tegoroczną walkę o indeksy można już uznać za zakończoną, mimo że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego nie opublikowało jeszcze ostatecznych danych, jednak na podstawie informacji napływających z poszczególnych uczelni można wnioskować, że nabór na I rok studiów wprawdzie nie odnotował tendencji zwykłych, ale niewiele różni się od poprzedniego roku. Niż demograficzny nadal daje o sobie znać, nie jest jednak tak katastrofalny, jak zapowiadały kasandryczne przepowiednie.

Jednym z poważnych źródeł tendencji spadkowej należałoby upatrywać także w wynikach tegorocznych matur, w pierwszym podejściu zaledwie 74 procent abiturientów sprostало egzaminowi, czyli około 204 tys. spośród 275 tys. przystępujących do egzaminu dojrzałości. Centralna Komisja Egzaminacyjna uznała ten wynik za rekordowo niski. Był to także niepokojący sygnał dla uczelni oczekujących na nowe rzesze studentów.

Jak się jednak okazuje spadek liczby kandydatów na studia nie tylko nie za-

graża uczelniom publicznym, ale jak twierdzi przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP, zrzeszającej rektorów 107 szkół wyższych, w tym 11 uczelni niepublicznych) prof. Wiesław Banyś (rektor Uniwersytetu Śląskiego), niż demograficzny powinien być traktowany jako szansa na dogonienie przynajmniej w części średniej unijnej, do której wciąż nam bardzo daleko. Podczas inauguracji roku akademickiego 2015/2016 rektor śląskiej *Alma Mater* przytoczył kilka znamienych liczb, które obrazują dystans dzielący nas od Europy, gdzie średnio dotacja budżetowa na jednego studenta wynosi około 6 tys. euro, gdy tymczasem w Polsce jest ona o połowę niższa. Należy także pamiętać, że są takie kraje jak np. Austria, w której kwota ta sięga 18 tys. euro i nie jest ona rekordową. Polscy nauczyciele akademicy, w porównaniu ze swoimi europejskimi kolegami są także w o wiele gorszej sytuacji, ponieważ przypada im 17 studentów, gdy tymczasem średnia unijna przewiduje maksy-

malnie dwunastu. Nie dziwi więc fakt, że nasze uniwersytety są także przeludnione. *To, co bowiem jest najważniejsze w pracy nauczycieli akademickich to jakość badań naukowych i jakość kształcenia. – Ta jakość, oczywiście, byłaby zdecydowanie lepsza wtedy, kiedy mielibyśmy taki komfort pracy, jaki mają uczenie na przykład na uniwersytecie w Oksfordzie czy Sorbonie. Do takiego poziomu komfortu pracy naukowej i ze studentami powinniśmy zmierzać – podkreślał z naciskiem przewodniczący KRASP.*

Uniwersytet Śląski przyjął w tym roku (dane z końca października 2015 r.) blisko 10 tys. nowych studentów, w tym około 60 proc. rozpoczęło studia stacjonarne (I i II stopnia). O popularności uczelni decyduje nie tylko bogata oferta kształcenia, coraz to nowe atrakcyjne obiekty (m. in. wielokrotnie nagradzane Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka CINIiBA, nowoczesny Wydział Filologiczny w Sosnowcu czy Śląskie Międzyuczelniane Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych w Chorzowie...) ale także wysokie notowania w dziedzinie poziomu nauczania, o czym świadczy przyznawana przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego kategoria A wielu wydziałom uczelni. Chlubą uczelni jest także status Krajowego Naukowego Ośrodka Wiodącego (KNOW) w obszarze nauk przyrodniczych w dziedzinie nauk o Ziemi, który przyznany został Centrum Studiów Polarnych, której jednostką wiodącą jest Wydział Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego.

Tegoroczni kandydaci mieli do dyspozycji znacznie rozszerzoną ofertę. Mogli wybierać spośród 72 kierunków studiów, pojawiło się także 6 nowości: *Malarstwo i projekty interdyscyplinarne* (Wydział Artystyczny), *Antropologia języka i komunikacji*, *Studia Śląskie* (Wydział Filologiczny), *Kognitywistyka* (Wydział Nauk Społecznych), *Inżynieria zagrożeń środowiskowych*, *Geologia stosowana* (Wydział Nauk o Ziemi), a także nowe atrakcyjne specjalności. Pomysłodawcy nowości nie rozczarowali się, zainteresowanych nie brakowało. Wprawdzie najbardziej obleganym kierunkiem było prawo, ale to już wieloletnia tradycja, w tym roku średnia ubiegających się o miejsce wynosiła 4,55.

Rekordowym wskaźnikiem może poszczycić się Wydział Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kieślowskiego, ponieważ na jedno miejsce na kierunek *Realizacja obrazu filmowego, telewizyjnego i fotografii*, czy *Reżyserie* startowało blisko 14 kandydatów. Trzeba jednak pamiętać, że oba te kierunki oferowały zaledwie po 8 miejsc. Chęć studiowania na śląskiej Filmówce zgłosiło w tym roku około 200 osób.

Dużą popularnością cieszą się od kilku lat specjalności proponowane przez filologię angielską: *tłumaczeniowa z językiem japońskim* (7,96), *język biznesu* (6,98), *kultura – media – translacja* (6,6)

i tłumaczeniowa z językiem niemieckim (5,48). Wśród najwyższych notowań znalazły się także *Bezpieczeństwo narodowe i międzynarodowe* (4,49) oraz *Grafika komputerowa gier* (4,93). Nie zaskoczył także wynik rekrutacji na psychologii, gdzie blisko 900 osób ubiegało się o 137 miejsc (6,08). Psychologia i prawo to także krajowi rekordziści.

Prym wiodły: Wydział Filologiczny (ponad 6000 zapisów) i Wydział Nauk Społecznych (około 4000 zapisów). Tu także nie było niespodzianek.

Każdego roku przybywa studentów-obcokrajowców. Na przestrzeni ostatnich pięciu lat liczba ta wzrosła aż dziesięciokrotnie. W ubiegłym roku akademickim na śląskiej *Alma Mater* studiowało 468 cudzoziemców, najliczniejszą grupę stanowili studenci z Ukrainy, Białorusi, Czech, Rosji i Kazachstanu. W tym roku grupa ta liczyć będzie blisko 600 osób.

Czym kierują się młodzi ludzie wybierając kierunek studiów? Przywykliśmy do argumentacji, że nie decyduje zainteresowanie czy pasja, ale chęć przedłużenia sobie życia wolnego od problemów związanych na przykład z poszukiwaniem pracy. Zapewne znalezienie takich studentów nie byłoby trudne, jednak dla przeważającej większości, uczelnia pozostaje miejscem, w którym chcą inwestować w kształcenie, zapewniając jak najlepszy start w przyszłość.

Fenomen popularności informatyki, prawa czy psychologii nie daje się sprowadzić jedynie do kryterium mody, czy przekonania o nieprzemijającym zapotrzebowaniu na fachowców w tych dziedzinach. Informatyka stała się domeną XXI wieku a rozwój tej nauki zdaje się postępować w kosmicznym tempie, dlatego młodzi startują w tym biegu do przyszłości nie tyle w poszukiwaniu wiedzy i nowości, co z obawy przed wykluczeniem. Nieumiejętność poruszania się w cyberprzestrzeni wyrzuca bowiem poza nawias współczesności i skazuje na byt w drugiej lidze a informatyka wkroczyła i będzie to czynić nadal w każdą dziedzinę naszego życia. Tempa rozwoju technologicznego, które zapoczątkowała cyfrowa rewolucja nie da się już zatrzymać.

Wiele wątpliwości mogłyby natomiast wzbudzać: psychologia czy prawo, gdyby nie logiczna argumentacja wybierających ten kierunek. Nie przeszkadza im „tłok”, nie boją się także nadmiernej konkurencji. Z rozmów z przyszłymi psychologami wynika, że mają oni bardzo szczegółowo zaplanowaną ścieżkę edukacji. Jej pierwszym etapem jest zgłębienie wiedzy o mechanizmach i prawach rządzących psychiką, co ma stanowić solidne podwaliny do realizacji dalekosiężnych planów. A są one zaskakująco różne od przyciągającego jak magnes zawodu polityka (*szybka, spektakularna kariera, znakomite apanaże, sława...*), reżyserię filmową (*także sława i wysokie*



Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu

Fot. Agnieszka Sikora

zarobki dzięki tworzeniu filmów poruszających, pozostających na długo w pamięci widzów) czy kręcenie skutecznie oddziałujących na widzów reklam, do chyba najbardziej szokującej profesji, jaką zadeklarował jeden ze studentów... tworzenia poezji, wobec, której nikt nie może pozostać obojętny. Znamienita większość pragnie po ukończeniu psychologii doskonalić się w wybranych dziedzinach na kolejnych kierunkach. Wielu widzi się także w pracy w zakładach karnych, ośrodkach zajmujących się trudną młodzieżą, w prywatnych gabinetach terapeutycznych.

Zawód prawnika kojarzy się przede wszystkim z prestiżem i to on jest podstawowym powodem wyboru wielu młodych. Nie przeraża ich perspektywa kilku- a nawet kilkunastoletniej nauki, marzą o aplikacjach, egzaminach sędziowskich, prokuratorskich. Wielu przyszłych prawników fascynują stosunki międzynarodowe i praca w placówkach dyplomatycznych na odległych krańcach świata. Stanowisko komornika, mimo legendarnych zarobków na razie omijają z daleka, jeden ze studentów

zartobliwie zasugerował, że trzeba by pomyśleć o zmianie nazwy tego zawodu, ponieważ obecnie kojarzy się jak najgorzej. O przyszłości myślą optymistycznie: powstaje wiele prywatnych firm – małych, dużych i średnich a w każdej poszukują prawnika, nie ma więc obaw, że grozi nam bezrobocie.

Te kilka przykładów nie potwierdza popularyzowanej w Internecie tezy o wyborach dokonywanych wyłącznie z myślą o łatwym studiowaniu i braku orientacji w zapotrzebowaniu rynku pracy. Każdego roku w okresie rekrutacji w sieci wrze. Najczęściej anonimowi (ale nie tylko) malkontenci starają się ustrzec maturzystów przed – ich zdaniem – błędnymi decyzjami, czyli studiowaniem w ogóle a na niektórych kierunkach w szczególności, uważając to za nie tylko stratę czasu ale także pieniędzy. Ten skomasowany atak osiąga swoiste apogeum po ogłoszeniu wyników. Suche nitki nie pozostawiają wówczas na rzeczach psychologów, prawników, informatyków czy ekonomistów, których oczami wyobraźni widzą w kolejkach po zasiłek dla bezrobotnych. Okazuje się jednak, że „głusi na przestrogi” dokonują wyborów przemysłanych, strategicznie dopracowanych a margines zakładanego błędu posiada także precyzyjne alternatywy. Skuteczność owych „dobrych rad” można spokojnie uznać za rzeczywistą stratę czasu, choć już dziś łatwo przewidzieć, że za rok internetowi malkontenci „życzliwie” przestrzeżąc będą kolejnych maturzystów.

Celem każdej uczelni jest staranne przygotowanie do zawodu, ale nie tylko. *Zadaniem uniwersytetu* – jak powiedział podczas tegorocznej inauguracji rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. W. Baniś – *jest przede wszystkim odkrywanie w sposób nieskrępowany prawdy i przygotowywanie światłych obywateli, mądrych, kreatywnych, otwartych i tolerancyjnych.*

Bądźmy więc tolerancyjni i pozwólmy wkraczającym w dorosłe życie realizować ich marzenia.



Studenci dokonują wyborów przemysłanych i strategicznie dopracowanych

Fot. Agnieszka Sikora

## 12. Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek „Katowice – Dzieciom”



Glówną nagrodę Festiwalu jury przyznało Teatrowi „Baj” z Warszawy za spektakl „Gęś, Śmierć i tulipan”

# Miało być lepiej...

BOGDAN WIDERA

Ale nie było. Szkoda, bo w tym roku Akatowicka scena lalkowa obchodzi swoje siedemdziesięciolecie.

Kilka lat temu Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” zdecydował się na zmianę formuły Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek „Katowice – Dzieciom”. Impreza została przeniesiona z czerwca na październik i od teraz miała się odbywać nie co roku, ale w cyklu dwuletnim. Kiedy zgłosiłem wobec tych zmian swoje wątpliwości, usłyszałem, że ta reforma jest jak najbardziej uzasadniona, ponieważ:

a) Organizacja Festiwalu co dwa lata oznacza, że będzie więcej pieniędzy z dotacji, więc pozwoli to na sprowadzenie do Katowic najlepszych zespołów teatralnych.

b) W ciągu dwóch lat powstanie więcej świetnych spektakli w Polsce i na świecie, Komisja Kwalifikacyjna Festiwalu będzie zatem miała większy wybór, co zaowocuje podniesieniem rangi oraz poziomu artystycznego imprezy.

c) W październiku łatwiej niż w czerwcu zorganizować dziecięcą pu-

bliczność oraz sprowadzić teatry lalkowe z różnych stron.

d) W październiku wracają na uczelnie studenci z kierunków humanistycznych, także tych związanych z teatrem, więc będą mogli zobaczyć, co się aktualnie dzieje na lalkowych scenach.

e) Dzięki przeniesieniu Festiwalu na październik „Ateneum” włączy się w ważne dla Katowic obchody Europejskiego Tygodnia Demokracji Lokalnej.

Nie przekonało mnie to. Teraz, po drugim już Festiwalu w nowej formule, chciałbym się więc odnieść do argumentów organizatorów. Nie wiem, czy pieniędzy w cyklu dwuletnim Teatr dostał więcej, natomiast nie zauważyłem jakoś tych wybitnych zespołów teatralnych. Tak samo jak świetnych spektakli. Trudno mi uwierzyć, że w ciągu ostatnich dwóch lat w Polsce i w Europie nie zdarzyło się w teatrach lalkowych nic godnego uwagi. Być może Komisja Kwalifikacyjna jakichś rzeczy dobrych nie zauważyła albo ich nie poznała. To gremium pracowało w składzie: pani dyrektor „Ateneum” Krystyna Kajdan, pani kierownik literacki Renata Chudecka i ś.p. Petr Nosalek (nie sądzę, żeby ten świetny artysta, mocno schorowany, który odszedł ponad rok temu, wniósł do kwalifikacji jakiś znaczący udział). Teraz o terminie. Festiwal „Katowice – Dzieciom” odbywał się zawsze w okolicach Dnia Dziecka. Wtedy szkoły już nie bardzo co miały robić z uczniami, oceny były wystawione, zatem oferta teatralna była dla nich jakimś rozwiązaniem. Teatry lalkowe kończyły sezon, więc też taki termin był dla nich dogodny. Październik to drugi miesiąc nowego sezonu, czas prób i premier. A dzieci? Nie do końca dopisały. Na przykład podczas spektaklu greckiego „Hop Signor Puppet Theatre” gdyby na niewielkiej widowni Galerii „Ateneum” nie zasiadł teatralny personel, byłoby obrzydliwie pusto. Jakoś oczekiwani studenci-humaniści nie dopisali (dotyczy to zresztą całej imprezy). W wystąpieniu otwierającym Festiwal pani dyrektor Kajdan powtórzyła, że w ten sposób Teatr włącza się w Europejski Tydzień Demokracji Lokalnej, ale nijak nie widzę związku między teatrem dla dzieci a tą okazją.

### Bez historii

„Katowice – Dzieciom” to festiwal „Kz nagrodami. Nie wiem, czy zmieniono regulamin, ale ten, który obowiązywał do tej pory premiował przedstawienia dla dzieci, rozbudzające ich wyobraźnię, zbudowane z użyciem lalek, wychowujące do teatru dla dorosłych. Tym razem Komisja Kwalifikacyjna do konkursu wybrała 9 spektakli. Jestem, choćby z racji wieku, konserwatyście, więc dla mnie teatr to oczywiście reżyser, aktorzy, scenograf oraz kompo-



zytor, przede wszystkim jednak autor sztuki, który napisał jakąś historię do opowiedzenia młodym widzom, historię mającą tych młodych widzów wzruszyć albo rozbawić albo czegoś nauczyć, wreszcie – napiszę tak górnolotnie – uszlachetnić poprzez jakieś etyczne przesłanie. Na 9 konkursowych pokazów jakąś historię przekazywało 6. Zacznę od tych przedstawień, których fabuła była niesłychanie wąta, czyli bez „historii”.

Francuski Theatre L’Air du Temps z Roanne pokazał spektakl *Max*. Tytułowy bohater jest bardzo sympatycznym muppetkiem. Wszystko. Zamiast opowieści mamy instruktażowy pokaz, jak i z czego „zbudować” muppeta oraz jak nim poruszać. Nic więcej. Samo w sobie jest to dość pozytywne dla dzieci, bo uczy pracy zespołowej, bowiem do obsługi Maxa trzeba trzech osób. Przed oglądaniem spektakli nie czytam streszczeń i notek zamieszczonych w festiwalowym katalogu, raz – żeby się w swoich ocenach nie dać uwieść „reklamie”, dwa – nie dać zasugerować interpretacji i ocenom. Z lekkim zdziwieniem przeczytałem więc w tym źródle, że francuski zespół „podąża na spotkanie wymagającego widza”, i że lalkarze „odgrywają scena po scenie te momenty z życia, które kształtują każdego z nas poprzez nasze emocje”. Najciekawszym „momentem z życia” był brawurowy taniec Maxa, nie czuję jednak, żeby mnie jakoś ukształtował.

Theatre Libre, drugi francuski spektakl, tym razem z Saint Etienne, zatytułowany *Jak zostałem klaunem*, niby opowiada jakąś historię. Do dzieci jednak ona nie trafia. Po pierwsze – nie ma u nas tradycji zachodniej, znanej z amerykańskich filmów, że rodzice z myślą o swojej latorośli wynajmują klauna, który ma rozbawić dzieci zgromadzone na urodzinowym przyjęciu. Po drugie – zdobywanie czerwonego nosa, bez którego nie ma klauna, nie może tyle trwać. Zaczyna się od tego, że jakiś facet dwie i pół minuty chrapie w ciemności. Potem miota się w płaszczu i kapeluszu z jakąś walizką, po wielkich dłużytnach przebierając się wreszcie w klaunowy kostium. No a potem ten nos. Naprawdę mamy grzeczne (a może ostro pilnowane przez opiekunki) dzieci, skoro nie tupają albo gwizdały.

Drammatio Vegetale&Teatro delle Albe z Ravenny przedstawił sztukę *Brum*. Bez słów, tylko muzyka i plastyka. Dla dzieci od 2 do 5 lat. Jeżeli jakieś dziecię w tym wieku cokolwiek z tego spektaklu zrozumiało, powinno się je w imię wyższych racji odizolować, jako monstrum, od reszty społeczeństwa. Zgodnie z notką w katalogu jako dorosły „próbuję zracjonalizować każdy proces” i – niestety – „nie widzę sercem”. Dla mnie te eksperymentalne poszukiwania to pseudopoezja i nuda. Opowieść – nieobecna.

## 6 opowieści z treścią

O polski Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki pokazał *Szpaka Fryderyka* Rudolfa Herfurtnera. Bohaterami sztuki są pani Maier i pan Huber, ona kochająca szczury, on – ptaki. Przez to są zwaśnionymi sąsiadami, robiącymi sobie na złość. Pogodzi ich dopiero szpaczek Fryderyk, któremu szczury ratują życie. W tym spektaklu widać dość dobrze trend, jaki się w lalkowym teatrze niepotrzebnie pojawił – straszliwe przedłużanie ekspozycji. Zaczyna się od tego, że ptaki zanieczyszczają dom pana Hubera. Potem ptaki i szczury płatają sobie złośliwe psikusy. Wreszcie zaczyna się akcja. Jednak gdy dochodzi już do zgody, czyli miłego spotkania sąsiadów przy stole, następuje rzecz niewiarogodna: widzowie przez kilka minut obserwują, jak pan Huber na elektrycznej kuchence przyrządza jajecznicę. Dosłownie smaży. Scenografię (moim zdaniem na wyrost) zaprojektował Pavel Hubiczka.

Babkove Divadlo v Koszycach (Słowacja) przedstawiło *Szczurołapa* Olega Żiugzdy (to dość wierna adaptacja baśni braci Grimm). Ładne plastycznie, kolorowe, z lalkami, niestety mocno przegadane.

Bielski Teatr Lalek „Banialuka” im. Jerzego Zitzmana wystąpił ze sztuką Marii Guśniowskiej *Wąż*. Tytułowy bohater idzie szukać dla siebie rąk i nóg, w towarzystwie Chomika i Gekona. Kiedy ziemskie nadzieje zawodzą, chce wlecieć w niebo, żeby się dostać do Boga. Spada jednak na ziemię i wtedy okazuje się, że Bóg jest wszędzie (tym razem w pianoli), co więcej Stwórca stwierdza, że Wąż powinien się cieszyć, bo to On stworzył gada bez rąk i nóg, i takim go właśnie kocha. Zwierzątka cieszą się więc, że Bóg je kocha, sztuka zawiera zatem wartości chrześcijańskie. Spektakl roztańczony, rozśpiewany i aktorsko przeszarżowany. Dominuje żywy plan, ale są i lalki, nie wiadomo dlaczego wyposażone przez scenografkę Julię Skuratową (Litwa) w instrumenty dęte. Te trąby są jak strzelba Czechowa, która tym razem nie wypaliła.

The Key Theatre z Izraela przedstawił widowisko *Kiedy wszystko było zielone*. Prościutka historyjka: w cieniu „dobrego drzewa” rośnie sobie chłopczyk. Drzewo jest jego przyjacielem, wspina się na nie, broni bohatera przed demonicznym drwalem... Ale chłopczyk rośnie. Nagle widzimy, że stał się facetem w garniturze, z teczką, i – za pieniądze zdradza przyjaciela-drzewo. Najpierw sprzedaje gałęzie. Mija czas, facet zmienił się w smutnego starca, który siedzi przy pnium, tylko on z drzewa pozostał. Ale... Ale z tego pnia wyrasta jedna gałązka z zielonym liściem. Nadzieja, że natura się nie poddała.

Teatr „Baj” z Warszawy pokazał opowieść *Gęś, Śmierć i tulipan* Wolfa Erlbrucha. Utwór ten kilka lat wcześniej był już prezentowany na katowickim festiwalu przez teatr z Niemiec. I obawiałem się, że tu wróci, ponieważ słyszałem wtedy rozmowy znowców, teoretyków i praktyków zachwyconych tą *Gesią*. „To jest to”, „Trzeba dzieciom opowiadać o tematach trudnych”, „Wreszcie coś dla dzieci o śmierci”. Jakby śmierć nie pojawiała się w baśniach braci Grimm, Andersena, jakby nie było *Oskara i pani Róży* Schmitta, no i najlepszego spektaklu ubiegłego sezonu w samym „Ateneum”, historii jętki jednodniówki pt. *Tylko jeden dzień* Baltscheita. Dla mnie opowieść o Gęsi jest po prostu atrakcyjna. W warszawskim przedstawieniu narrator czyta: „Gęś powiedziała...”, „Na to Śmierć odpowiedziała...”, itd. Kiedy Gęś zauważa, że Śmierć za nią chodzi, usłyszy: „Jestem z tobą od dnia twoich narodzin”. To najważniejsze zdanie w spektaklu. Poza tym niewiele się dzieje, bo akcji tak naprawdę nie ma. Ale lalkarki mogą kręcić gęsią szyją albo animować kończyny szkieletu.

Propozycją greckiego Hop Signor Puppet Theatre był spektakl *Tabula Rosa*. Według notki z festiwalowego katalogu to taka marionetkowa wersja Pigmaliona (choć w katalogowym tekście nie ma bezpośredniego odniesienia do tego mitu). Równie dobrze może to być historia wielkiego (ledwie mieści się w łóżku), który na maszynie (taki anachronizm) pisze dzieło. Chyba dość nudne, bo zasypia przy tym kilka razy, po czym budzi się jako pisarz mały. Na szczęście zjawia się muza, która stopami wystukuje resztę maszynopisu, po czym wraz z autorem idzie, jak w westernowych finałach, w kierunku zachodzącego słońca.

## Werdykt

Współczułem jurorom. Przy tak przeciętnym poziomie sędziowie powinni właściwie w ogóle zrezygnować z przyznania nagród. Ale „show must go”, więc grand prix dostała *Gęś, Śmierć i tulipan*. Nagrodę za najlepszą rolę kobiecą otrzymała Eugenia Tschilia z Grecji, która animowała marionetki w sztuce *Tabula Rosa*, a męską za wcielenia się w Pana Hubera nagrodzony został Andrzej Mikosza.

Nowością podczas tegorocznego Festiwalu było zainicjowane i zorganizowane przez aktorkę „Ateneum” Martę Popławską jury dziecięce. To gremium swoją nagrodę o dość zagadkowej nazwie „Pudełko Burzy Mózgów” przyznało teatrowi z Izraela. To przedstawienie zostało przez dorosłych sędziów niezauważone. Chyba było za proste.

Co jest pomiędzy grafiką a obrazem wirtualnym? Do takiego pytania prowokuje tytuł wystawy, którą autor – Adam Romaniuk zatytułował „Pomiędzy grafiką a obrazem wirtualnym”, a odniósł do prac powstałych w latach 2000 – 2015. No i zaskoczył mnie, bo sądziłam, że grafikę cyfrową – digitalową, zalicza do szeroko rozumianej grafiki. Wszak to przecież kwestia narzędzia. No i tak zapewne jest. Zresztą od chwili, kiedy zaczęły powstawać grafiki digitalowe, mówiono o zmianie narzędzia, którym w przypadku grafiki cyfrowej jest określony program komputerowy, sposób powstawania obrazu i jego powielania. Zatem o co chodzi? O przypadek? Być może. Kiedy mamy tradycyjne matryce, przypadek wpisany jest w powstającą odbitkę. W przypadku obrazu cyfrowego – w zasadzie nie ma. Piszę „w zasadzie”, bo w grę może wchodzić rodzaj papieru czy jakość wydruku. Ale to inny rodzaj „przypadku”.

Może zatem idzie o możliwość reprodukcji obrazu cyfrowego na praktycznie dowolnym podłożu i w dowolnym (ograniczonym wyłącznie technologią) rozmiarze. Jak zatem „zobaczyć” przed wydrukiem obraz graficzny o wymiarach na przykład 160x350 cm, mając do dyspozycji monitor o określonych wymiarach. Dochodzi więc dodatkowa umiejętność: wyrobienia w sobie widzenia rzeczy znacznie większymi, niż są w rzeczywistości. To coś z pogranicza architektury. Czy powstały obraz będzie satysfakcjonował autora w równym stopniu, jak obraz na ekranie monitora.

Ale w myśleniu Adama Romaniuka pojawia się zupełnie inny element. Na pytanie, co jest między grafiką a obrazem wirtualnym, odpowiada, że właściwe myślenie dotyczy tego, czego nie ma. A nie ma artefaktu, jakim w grafice tradycyjnej jest matryca. Nie możemy więc współczesnej grafiki cyfrowej nazywać grafiką, a obrazem. Dodaje, że rozwój nowoczesnej grafiki polegać będzie na „grach twórcy z naukami fizycznomatematycznymi”. Obraz cyfrowy będzie wykorzystywał nowe narzędzia, które będą wynikiem postępu technologii cyfrowej. Tak więc ewolucja albo rewolucja narzędzia będzie determinować efekty, jakie będą możliwe do uzyskania. No tak, ale efektem zawsze będzie obraz wyobrażony przez autora dzieła.

Rozważanie te oczywiście można rozwijać w oparciu o wystawę prac Adama Romaniuka z ostatniego piętnastolecia. Jednak niezależnie od użytych narzędzi (jaki by nie był postęp techniczny i technologiczny) zawsze oceniany bę-



Prof. Adam Romaniuk

## Pomiędzy czy trzecia droga

WIESŁAWA KONOPELSKA



Adam Romaniuk „Tańczący z wilkami II”, 2015, druk pigmentowy, 180MB, 140x200cm

dzie efekt końcowy, czyli obraz pokazany w określonej przestrzeni i w kontekście innych obrazów.

Pamiętam pierwsze „grafiki digitalowe”, jak wtedy nazywał swoje obrazy Adam Romaniuk: cykle „Karnawał”, „Lapidarium”, „Stary las”. Po latach doświadczeń i nowym spojrzeniu na narzędzia cyfrowe, nazywa-

te obrazy po prostu „drukami cyfrowym”. To, co prezentuje to „obraz”. I trudno się z artystą nie zgodzić. Imponujących rozmiarów dzieła, wypełniające od podłogi do sufitu wnętrza galerii w Rondzie Sztuki wymagają oglądu z dystansu. Żeby ogarnąć całość potrzebna jest odległość. Ale też chętnie zagłąda się „do wnętrza”, przygląda niewidocznym z oddalenia detalom, przenikającym się elementom i strukturą, kolorom – z oddali innym, w zbliżeniu, jakby wyalienowane z całości przybierają inne odcienie. Najnowsze obrazy Adama Romaniuka są jak polichromie w gigantycznych świątyniach, jak freski czy arras – utkane z cząsteczek, ze świetlnych refleksów, przezroczystości, jak kładzione zamazystym gestem (!) plamy barwne, albo jak drążone w metalowej płytce mikroszczegół. Rozglądając się wśród rozwieszonych w przestrzeni obrazów łatwo zauważyć, że są takie, które wbijają w ziemię swoim rozmiarem i rozmachem, są agresywne, ale nie brakuje bardziej wyciszonych – mimo sporych rozmiarów – kameralnych w swej wymowie, będących uspokojeniem pierwszych emocji. To cykl „Depozyt”, „Dziennik”, „Pustka”. Lubię te prace Adama Romaniuka. Ale lubię też „Sforę” i „Polowanie”, i z 2015 roku „Tańczącego z wilkami”. Jest w nich jakaś nerwowość, tajemnica, jest dynamika, mimo szablonowych postaci zwierząt i ludzi, mimo pewnej monochromatyczności. Jest pęd, jest niepokój, gonitwa bez celu. Z ostatnich lat – 2014 i 2015 Romaniuk pokazał wspomniany cykl „Tańczący z wilkami” oraz cykl „Podobieństwo”, w którym łatwo zauważyć inspi-

rację z wcześniejszych obrazów. Zebrane na jednej płaszczyźnie są jakby zastanowieniem się artysty nad swoim dorobkiem. Piętnaście lat doświadczeń z drukiem cyfrowym – do kąd prowadzi? Przecież jak się potocznie mówi, w komputerze są zachowane elementy, które można używać do woli w kolejnych pracach, nadając im nowy wymiar i inny sens. Można „pożyczać”, miksować, przetwarzać – żadne inne narzędzie nie daje takich możliwości. I znów to tylko techniczne możliwości, a obraz – jako finalny efekt pozostaje zawsze tym samym. Czy więc grafik zajmujący się grafiką (drukami) cyfrową, przestaje być grafiką (albo już nim nie jest), a staje się malarzem? W pewnym stopniu tak. Może technika cyfrowa zacierą podział na malarstwo i grafikę, a może wyodrębniła się trzecia droga?

Fot. Zbigniew Sawicz



*Powidoki – las VIII*, 2004, druk pigmentowy 100 MB, 150x200 cm

Adam ROMANIUK **POMIĘDZY** grafiką a obrazem wirtualnym



*Falochron 1*, 2011, druk pigmentowy, 160 MB, 140x200 cm



Wizyta jaszczura, olej na płótnie, 2003



Pejzaż włoski z jajem, olej na płótnie, 2015



Portret Karoliny z kotem Spencerem, olej na płótnie, 2015

# ZOFIA GRZEGANEK- SZCZEPANIEC

Malarstwo



Chata za wsią, olej na płótnie, 2015



Biegnąca brzegiem morza, olej na płótnie, 2015

Lubimy oderwać się od ponurej rzeczywistości, pobujać w obłokach, pomarzyć, pofantazjować, zachwycić się przyrodą, zafascynować pięknym ukrytym w najmniejszym kwiatku, liściu, kamyku zielonym... Pomoże nam w tym otwarta w Miejskiej Galerii Sztuki MM w Chorzowie jubileuszowa wystawa malarstwa przygotowana z okazji 45-lecia pracy twórczej Zofii Grzeganeck-Szczepaniec.



Zofia Grzeganeck-Szczepaniec na tle autoportretów z 1989 i 2015

Fot. Witold Kociński  
rozpoznawczy świata malowanego przez Zofię. Ten spokój jest szczególnie pożądany w czasach największej wędrowki ludów, nowego chaosu w Europie, którego rozmiarów nie jesteśmy w stanie przewidzieć. (...) Niewinny spokój obrazów artystki nastraja do snucia rozważań o świecie przyjaznym, pogodnym, pełnym kolorowych kryształków, kwiatów na rozległych sennych łąkach, za którymi wyrastają majestatyczne góry a nad nimi chmury, które nie zwiastują burzy. Podpisuję się pod tymi słowami oburacz: tylko spokój może nas uratować, nie dajmy się zwariować! Malarstwo Zofii Grzeganeck-Szczepaniec jest znakomitą odskocznią od atakujących nas z każdej strony demonów współczesności.

Przekroczenie progu galerii jest już niewiarygodnie silnym przeżyciem dla wrażliwych osób. Prosto z ulicznego zgiełku wchodzimy w poetycki świat szlachetnego malarstwa, konserwatywnego w formie, przepełnionego metafizyczną symboliką, nie bojącego się surrealistycznych zapożyczeń (jakże nie kochać Salvadora Dali?), sympatycznie przegadanego, to znowu pełnego spokoju i dzwoniącej w uszach – a raczej oczach – ciszy, przepojonego miłością i szacunkiem do natury. Do każdego obrazu warto wracać, aby odnaleźć jakiś kryształ, którego wcześniej nie zauważyliśmy, ukrytą wśród skał tajemniczą kulkę i zapytać: dlaczego się tutaj znalazła? Nie ma nic bardziej inspirującego od rozmowy z obrazem. Warto spróbować...

Będzie trochę o warsztacie. Przywołam w tym miejscu słowa Henryka Wańka, kolegi artystki ze studiów (pamiętny Rocznik '70 katowickiego oddziału krakowskiej ASP to była wyjątkowa grupa znakomitych twórców): *Przeto stajemy przed eklektyczną konstrukcją i rozmaitymi sposobami użycia farb, pędzli i faktur; od quasi-impresjonistycznego pointylizmu, po strukturalne analizy, bardzo akcentowane w przedstawieniach skał, łąk, roślinności czy obłoków. Zasadniczo jednak jest to – jeśli tak można powiedzieć – osobisty styl Zofii Grzeganeck-Szczepaniec.* I bardzo dobrze. Lubie po jednym spojrzeniu na obraz rozpoznać twórcę, tak jak Henryka Wańka, Jana Dubiela czy Helenę Goldę-Błahut – ograniczę się do znanego Rocznika '70. Odnajdujemy w dziełach pani Zofii ślady starego, dobrego holenderskiego malarstwa, pobrzmiwają w nim impresjonistyczna nuta, odnajdujemy surrealistyczne przekłamania i zagadki nie do rozwiązania, ale zawsze na odpowiednim poziomie i we właściwym miejscu.

Każdy odwiedzający wystawę prac Zofii Grzeganeck-Szczepaniec pokocha na swój jeden obraz, ręczę za to. Mnie uwiodły dwa: „Chata w wsi” z mistrzowsko pokazanym na pierwszym planie skowronkiem w locie (odnalazłem w nim swoje marzenia) oraz „Biały szkwał” – piękny kryształ zrodzony z kataklizmu, czyli nie ma tego złego... Pani Zofia tłumaczy mi spokojnie: *Życie daje nam tyle szans, możemy ich nie dostrzec, ale jeśli ich nie przegapimy obdarzy nas skarbami!*

# Spokój pożądany

WITOLD KOCIŃSKI

Zatrzymuję się przy osniezionych pejzażach górskich, w które artystka wkomponowała kolorowe widokówki. – *Moje zimne góry chciałam ocieplić abstrakcyjnymi „pocztówkami” kojarzącymi się z tropikami. Taki żart plastyczny, albo ktoś zrozumie i się uśmiechnie albo nie...* – wyjaśnia pani Zofia.

Z. Grzeganeck-Szczepaniec potrafi rozweselić największego ponuraka – spojrzcie jak kamienny heros z „Antycznej zatoczki” namiętnie wpatruje się w tajemniczy niebieski ogon... Umie także krzyknąć z oburzeniem: na to nie zezwalam! Takim publicystycznym wrzaskiem jest obraz „Hobby” z rannym lisem, ponurymi sylwetkami myśliwego z psem i wielką plamą krwi. Nie lubię publicystyki w sztuce, ale czasem warto przywalić między oczy!

Na dłużej przykuwa uwagę „Wizyta jaszczura”. To dopracowane w najmniejszym szczególe płótno jest tylko ostrzeżeniem. Jestem przekonany, że jaszczur czyhający na obrus nie zniszczy pięknie zastawionego stołu, nie stłucze naczyń, ani wazonu z kwiatami. Widz obserwuje go bacznie i nie pozwoli na żaden skandaliczny wybruk. „Pejzaż włoski z salamandrą” odbieram, wbrew jego symbolice, jako oazę nie dającego się niczym zakłócić spokoju. W tym miejscu przywołam zamieszczone w katalogu słowa Jerzego Miciaka: *W pracach Zofii jest spokój. Nie mącą go nawet greckie sztormy ani jaszczury ściągające obrusy ze stołów z zastawą. Poza spokojem jest i harmonia kompozycji, jest misternie dopracowany szczegół i wreszcie jest trafiony kolor; znak*

ner głównej bohaterki obrazu.

„Wejście do Edenu” intryguje. W oslepiająco jasny krajobraz prowadzą nas muszle, szlachetne kamienie, refleksy światła na skałach. – *Ja tego obrazu nie wymyśliłam, ja kiedyś spotkałam takie skały z widokiem na słońce* – dopowiada pani Zofia. Na jednej z wystawowych ścian zagościły portrety syna, najciekawszy nosi tytuł „Cudownie jest mieć 22 lata”, najładniejszy, będący własnością Muzeum w Chorzowie, jest „Portret syna na tle pejzażu (18 lat)”. Trudno o lepsze świadectwo matczynej miłości – uroda modela i każdego szczegółu tła jest porażająca. „Oczy jeziora” zostaną przy mnie zawsze. Stojąc nad jakimkolwiek wodnym zbiornikiem będę widział to przenikliwe spojrzenie. O „Tęsknocie za słodką Wenecją” już kiedyś pisałem, to płótno utrwaliło się w mojej pamięci i tam zostanie, tak jak i ukochane przeze mnie miasto. Zresztą cały, teatralnie wystylizowany cykl wenecki lubię i cenię. Długo podziwiałem małe, koronkowej roboty, realistyczne pejzaże: tak bliski mi „Tyniec”, „Stary fort, Kraków-Podgórze”, „Wodospad” i „Pejzaż hiszpański”. Gorąco polecam długie i sympatyczne rozmowy z obrazami Zofii Grzeganeck-Szczepaniec. Ręczę, że przyniosą każdemu radość i ukojenie!

– *Mam nadzieję, że moje najlepsze obrazy są jeszcze przede mną. Mam taką nadzieję* – powtarza pani Zofia przy pożegnaniu i miło się uśmiecha. My cieszymy się tym, co już namalowała i czekamy na kolejną porcję balsamu dla duszy i oczu, tak bardzo zmęczonych panoszącym się złem.

12 października odeszła od nas profesor Lidia Kozubek – znakomita pianistka, wieloletni pedagog warszawskiej uczelni muzycznej, urodzona w Poznaniu w wywodzącej się ze Śląska rodzinie o bogatych tradycjach patriotycznych, (ojciec pianistki, zatrudniony w Poznaniu jako wicedyrektor w szwedzkiej firmie Alfa-La-Val, był powstańcem śląskim, obie babcie należały do „Matek Polek”). Gniazdo rodzinne znajduje się w Borowej wsi koło Mikołowa. Pierwsze lekcje muzyki otrzymała artystka wraz z siostrą w Poznaniu. Po wybuchu wojny rodzina dostała się z powrotem na Śląsk. Lidia kontynuowała naukę muzyki u Franza Kaufa w szkole muzycznej w Gliwicach, a tuż po zakończeniu wojny zapisała się do Liceum Muzycznego w Katowicach. Rozpoczęła naukę w klasie Władysławy Markiewiczówny, u niej też ukończyła studia wyższe w katowickiej PWSM (1952). Równocześnie zrealizowała drugie studia – muzykologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jej praca magisterska, napisana pod kierunkiem Zdzisława Jachimeckiego (1952) była poświęcona operze *Manru* Paderewskiego. Wyszła drukiem w 1993 roku.

Po dyplomie artystka dostała się na aspiranturę do klasy Jana Ekiera w PWSM w Warszawie. Był to początek jej związku ze stołeczną placówką, trwającego do chwili przejścia na emeryturę. Już podczas studiów wiele koncertowała w Katowicach. Jej wielki talent dostrzegł Adolf Dygacz, pisząc na jej temat w „Trybunie Robotniczej” (1948): „Lidie Kozubkównę, uczennicę prof. Markiewiczówny można zaliczyć do rzędu tych pianistów młodej generacji, którzy jak Kędra, Żmudziński, Bakst, Czerny-Stefańska, Smendzianka utrzymują poziom naszych wielkich pianistów”.

Ogólnopolski debiut Kozubkówny odbył się w Roku Chopina (1949) – wzięła udział w tzw. „żywym wydaniu” dzieł wszystkich Chopina, grając jego młodzieńczą *Sonatę c-moll*. Wkrótce stała się pianistyczną gwiazdą, jedną z czołowych reprezentantek polskiej szkoły interpretacji Chopina (choć nie stroniła od wykonywania utworów innych kompozytorów, również współczesnych). W 1956 roku nastąpił ważny zwrot w życiu artystki – otrzymała pełny etat w stołecznej uczelni, a ponadto udało się jej wyjechać do Włoch na kurs mistrzowski do Arturo Benedetto Michelangelego, który był jej artystycznym guru. W późniejszych latach jeździła na kursy Michelangelego jeszcze pięciokrotnie, a owocem tego była książka o wielkim pianiście zatytułowana *Arturo Benedetti Michelangeli jakim go*

## Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

# Lidia Kozubek (1927–2015)

*znałam* (wydana najpierw w Tokio, po japońsku – 1992, następnie po polsku – 1999, zaś w wersji włoskojęzycznej w 2003 roku). Znajdujemy tam taki portret wielkiego pianisty: „Wysmukła jego sylwetka o ruchach elastycznych i wysportowanych odznaczała się młodzieńczym urokiem i od ruchami niemal chłopca [...]. Szlachetny profil artysty odbijał się marmurową białością na tle golfu ciemnego sweterka, jaki zawsze nosił ze względu na delikatne zdrowie. Dziennikarze nie mogli opisać oczu ar-



Lidia Kozubek (lata 70. XX wieku)

tysty, kiedy słuchał muzyki lub kiedy ją wykonywał, bo nie mieli okazji obserwować tego z bliska. Byliby zapewne zaskoczeni ich niezwykłym blaskiem i wyrazem [...]. Cechowały [go] ujmująca prostota i szlachetność, posunięte aż do granic nieśmiałości. Bezpośredniość zaś obcowania z Michelangelim na co dzień nie miała nic z pospolitości czy poufałości [...] Żył właściwie tylko dla sztuki. Był przeciwny wszelkiemu ekshibicjonizmowi i teatralności w sztuce, jak i w życiu, dlatego wycofał się z manifestowania swego sukcesu. Otoczył się powściągliwością i milczeniem dla miłości do doskonalenia się. We wszystkim, co robił – nawet w codziennych pracach domowych szukał doskonałości”. Tego samego poszukiwała Lidia Kozubek w swojej pracy, którą traktowała jako misję. Pomimo intensywnej działalności pianistycznej (odbyte w 1958 roku tournée po Bułgarii zapoczątkowało stałą obecność artystki za granicą, często też koncertowała w kraju, m.in. na festiwalach pianistycznych w Słupsku i Dusznikach), nie zaniedbywała pedagogiki. Po przewodzie habilitacyjnym (1964) otworzyła w Warszawie własną klasę fortepianu.

Działalność koncertowa oraz pedagogiczna w latach siedemdziesiątych przyniosły Lidii Kozubek nominację profesorską (w 1982 roku) oraz kilka cennych nagród. W 1977 artystka otrzymała Złoty Krzyż Zasługi, w 1979 i ponownie w 1981 – Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, Odznakę Zasłużony Działacz Kultury (1979) oraz Złotą Odznakę SPAM (1981). Rok otrzymania tego ostatniego wyróżnienia był dla Lidii Kozubek przełomowy. W tym bowiem roku wyjechała po raz pierwszy do Japonii, kraju, z którym miała się w następnym dziesięcioleciu blisko związać jako artysta i pedagog. Pobyt w 1981 roku miał miejsce latem, kiedy z gronem kolegów z Akademii Muzycznej Lidia Kozubek pojawiła się w Osace, aby prowadzić kursy pianistyczne. W 1983 roku artystka otrzymała zaproszenie do objęcia stanowiska wizytującego profesora z Musaschino Academia Musicae w Tokio. Przebywając do 1990 w stolicy Japonii, aktywnie włączyła się w życie tamtejszej Polonii, ozdabiała recitalami rozmaite spotkania organizowane w polskiej ambasadzie, przyjmowała wizyty polskich artystów przyjeżdżających do Japonii. Byli wśród nich: Czesław Miłosz, Wanda Wiłkomirska, Piotr Paleczny, Regina Smendzianka, Halina Czerny-Stefańska, Jan Krenz, Andrzej Jasiński. Grała także koncerty, nie tylko w Japonii, ale i w Chinach, Indiach, Filipinach, Australii, Nowej Zelandii i USA. W międzyczasie pojawiała

się w Polsce. Na początek roku 1987 przypada jej występ w dawno nie odwiedzanych Katowicach oraz nagranie płyty zawierającej m.in. wybór utworów fortepianowych Stanisława Moniuszki.

W 1990 artystka na stałe powróciła do kraju. Objęła prowadzenie Międzywydziałowej Katedry Pedagogiki Instrumentalnej w Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie. Ponadto sprawowała kilka innych funkcji, m.in. w zarządzie SPAM, ISME, Polskiej Akademii Chopinowskiej, Polskiego Stowarzyszenia Pianistów Pedagogów. Ten okres jej działalności został uhonorowany Dyplomem Uznania za Zasługi dla Kultury Polskiej w Świecie (1991) oraz nagrodą Ministra Kultury i Sztuki (1993). Na rok 1997 przypadło poważne przedsięwzięcie – nagranie obszernego repertuaru utworów Chopina dla Polskiego Radia. W 1999 roku wykonała i nagrała na płytę recital utworów chopinowskich wykonanych na historycznym instrumencie Pleyela. W lutym tegoż roku artystka obchodziła 50-lecie swojej działalności artystycznej. Specjalny koncert dla uczczenia tej rocznicy zorganizowała z udziałem pianistki i jej uczniów warszawska Akademia Muzyczna.

Od końca lat 70. Lidia Kozubek zajmowała się również intensywnie pracą publicystyczną i naukową. Ukoronowaniem tej pracy było wydanie w 2004 roku przez warszawską uczelnię sporej pracy *O wykonywaniu dzieł Chopina*. Sama artystka doczekała się też monografii – napisała ją japońska uczennica Ta Lan Phuong. Tytuł *Professor Lidia Kozubek jaką znam* nawiązuje do książki jej bohaterki o Michelangelo.

Po przejściu na emeryturę Lidia Kozubek nie zaprzestała działalności artystycznej ani społecznej. Jako publicystka związała się z mediami katolickimi – telewizją Trwam i „Naszym Dziennikiem”, gdzie pisywała na temat Chopina, Paderewskiego, konkursów chopinowskich itp. (przypomnijmy, że konkurs z 2000 roku komentowała też na antenie TVP2). W ostatnich latach życia satysfakcję przynosiła jej przynależność do zakonu Strażników Bożego Grobu w Jerozolimie, a także cicha działalność charytatywna, o której wiedzieli jedynie najbliżsi. W jej małym mieszkaniu na Mokotowie, pełnym pamiątek z Japonii, zawsze stały świeże kwiaty darowane przez odwiedzających ją uczniów i przyjaciół. I zawsze można było dostać herbatę oraz ciastko z czerwoną galaretką przyniesione z pobliskiej cukierni.



...lata 80. XX wieku



Lidia Kozubek w towarzystwie Arturo Benedetti Michelangelo (czwarty od lewej) i uczestników kursu pianistycznego w Arezzo, 1959.



... ze swoimi uczniami z Musaschino Academia Musiche w Tokio, 1981.



Piotr Moss w Filharmonii Śląskiej

# Silesia Tenebrosa

Z PIOTREM MOSSEM z okazji światowej prapremiery „Tenebrosa” – Koncertu na flet i orkiestrę” w Filharmonii Śląskiej rozmawia MAREK LYSZCZYNA

– **Spotykamy się w Filharmonii Śląskiej z okazji prapremiery pańskiej najnowszej kompozycji – koncertu na flet i orkiestrę. Jaka jest historia powstania tego utworu?**

– Zawdzięczamy go w dużej mierze Łukaszowi Długoszowi, który należy do tych muzyków, których kompozytorzy powinni całować po rękach. Oni do nas się zwracają, niejako prowokują twórczość, w przypadku Łukasza Długosza jest to twórczość na flet. Koncert ten ma dwie wersje, może być grany przez jeden lub dwa flety. W wersji z jednym fletem wprowadzam do orkiestry trzeci klarnet, który siedzi z boku, za wiolonczelami, i gra pewne fragmenty z partii drugiego fletu.

– **Koncert nosi tytuł *Tenebrosa*, a więc ciemny, mroczny...**

– Tak. To jest również inicjatywa Łukasza, który chciał, bym napisał *coś ciemnego*... Nie wiem, czemu go tak ciągnie w te rejony, chyba za wcześnie... mnie jest do nich znacznie bliżej (*śmiech*). Zresztą ja zawsze lubiłem ciemne barwy, w mojej orkiestrze jest klarnet basowy, saksofon tenorowy... Łukasz gra nie tylko na flecie zwykłym, ale również na flecie altowym, który ma ciemniejszą barwę. W utworze znalazłem

można echa czterech chorałów protestanckich, które występują tu w dość zaawolowanej formie.

– **Ciemność, cień to motyw romantyczny – do którego pan stale w swojej twórczości nawiązuje.**

– Przyznaję się do bycia kompozytorem romantycznym. Zawsze byli tacy kompozytorzy, którzy mimo awangardy, mimo rozwoju muzyki pozostawali wierni muzyce romantycznej. Ta wierność nie musi się łączyć z harmonią romantyczną, ale z typem ekspresji. Także literatura romantyczna jest bardzo bogata w różne rodzaje ekspresji, różne jej odmiany. Jestem takim zapóźnionym romantykiem w epoce komputerów, wierny pewnym dawnym ideałom. To nie jest moje świadome zamierzenie, taki po prostu jestem. Artysta nie powinien dostosowywać się do mód, do trendów. Każdy jednakże próbuje odświeżać swój styl, nawiązywać do nowości; ja, pozostając wierny romantyzmowi, również biorę pewne nowe rzeczy pod uwagę, choćby w aspekcie barwy instrumentalnej – moja orkiestra jest bardzo „kolorowa”...

– **W koncercie możemy odnaleźć motywy *ombry*, charakterystyczne raczej dla osiemnastego stulecia.**

– To bardzo ciekawe spostrzeżenie... bliski mi jest od pewnego czasu Heinrich Ignaz Biber. Długie lata nie znałem jego muzyki, teraz ją poznaję i lubię. Jego narracja, przerywana nieoczekiwanymi pauzami, pełna gwałtownych zmian nastrojów bardzo mi odpowiada. Podobny typ narracji znaleźć można zresztą także w moim *Tenebrosa*. Taką kalejdoskopową mozaikę nastrojów...

– **Mam jednak wrażenie, że barok w Polsce, w przeciwieństwie do Francji, pozostaje niedoszacowany.**

– Nie zgodzę się... jest na przykład Program Drugi Polskiego Radia i pani redaktor Ewa Obniska, która promuje muzykę dawną... Choć muszę przyznać, że nie śledzę aż tak uważnie polskiego życia muzycznego. Wiem natomiast, że są barokowe festiwale w Warszawie i Krakowie, nie jest chyba tak źle. Z drugiej strony nie można też przesadzać z promowaniem danej epoki, czy stylu. My na przykład bardzo przesadzamy, jeśli chodzi o Chopina. Muzyka barokowa jest moim zdaniem dobrze reprezentowana, choć zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie niezadowolony. Z drugiej strony ja mogę to samo powiedzieć o muzyce współczesnej, że gra się jej zbyt mało, a ktoś zaraz powie, że są festiwale, nagrania itp.

– **Często inspiracją dla pana jest poezja? Czy tak jest również w przypadku koncertu, którego prapremiera odbyła się w Filharmonii Śląskiej w Katowicach?**

– Tak, bardzo często inspiruję się poezją. W przypadku *Koncertu fletowego*, o którym mówimy, inspiracją była owa ciemność, o którą prosił Łukasz i naturalnie owa obecna w tekstach luteranckich mroczność. Poezja jest mi bardzo bliska. Napisałem dużo utworów w różnych językach. To zabawne, jak bardzo język kształtuje muzykę. Inaczej bowiem pisze się do tekstów po polsku, angielsku, francusku, niemiecku, inaczej po łacinie. Pisałem także w językach wymyślonych, asemantycznych, które były tylko pretekstem do stworzenia takiej, a nie innej muzyki. Tu można wymienić takie utwory jak *Scrabble*, *Pantoum*, *Musik einer Sommernacht*.

– **To jest pewne ułatwienie – prozodię sztucznego języka można dostosować do muzyki...**

– Sądzę, że może to być tak odczytane, ale to jest pozorne ułatwienie. Ja należę do tych kompozytorów, którzy są bardzo związani z literaturą. Pisałem dużo dla Teatru Polskiego Radia czy teatrów dramatycznych, wtedy kompozytor jest jakby prowadzony przez tekst, co nie znaczy, że to jest łatwe... ale – z drugiej strony czy tekst prowadzi nas naprawdę? Prowokuje, to na pewno; niedawno skończyłem utwór *Przemijanie*, który napisałem na alt solo (myśląc oczywiście o mojej ukochanej wykonawczyni Jadwidze Rappé) i cztery wiolonczele. Jeden z tekstów prowadził mnie w kierunku muzyki, której nie chciałem napisać. Stwierdzi-



łem, bowiem, że jeśli będę szedł za idea tego tekstu, bardzo prostego i bardzo przejmującego w prawdzie o przemijaniu, to będzie tautologia. I skomponowałem muzykę niejako przeciwko sobie, przeciwko pewnemu wręcz banałowi, który mógłby się do mojej pracy wkraść. Każdy utwór jest przecież nowym doświadczeniem, dalszym ciągiem walki z materią, byłem więc zadowolony z tego kroku.

– **Odejdźmy na moment od ściśle artystycznych tematów... jest pan w Katowicach po raz...**

– enty... Bardzo pokochałem Śląsk.

– **... bywa pan w Filharmonii Śląskiej, w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia. Pamiętam choćby wykonanie *Niebieskiej Małpki* w pana obecności w 2014 roku, jeszcze w starej siedzibie Orkiestry. Pytam o Katowice dlatego, że są często nazywane małym Paryżem, z którym jest pan związany od lat osiemdziesiątych.**

– Klein Paris... tak mówiono swego czasu o Katowicach... Warszawa też była nazywana Paryżem Północy, Bydgoszcz Wenecją Pomorza, Dzięki muzyce pokochałem Górny Śląsk, którego zbytnio nie znałem. Dotychczasowe moje kroki kierowały się bardziej na Dolny Śląsk. W pewnym momencie zacząłem współpracę z NOSPR, Filharmonią Śląską i Akademią Muzyczną i dzięki muzyce bardzo zbliżyłem się do Śląska. To jest bardzo ciekawy region, zupełnie inny, i powiem nawet na swój sposób miłszy od regionów centralnych. Bardzo lubię tu przyjeżdżać i czuję się tu dobrze, zarówno z orkiestrą NOSPR jak i Filharmonią Śląską; panuje tutaj dobry duch. Mam nadzieję, że te zespoły czują to samo w stosunku do mnie. Śląsk jest w drobnych szczegółach inny. Ile razy jestem w Katowicach, bardzo lubię wybrać się na przykład do teatru. Zauważyłem, że ludzie specjalnie się tutaj ubierają idąc do teatru, co jest bardzo teraz „niemodne”, a co mi się szalenie, jako tradycjonalistcie, podoba.

Wracając jednak do wątku porównań – Bytom swego czasu nazywano Florencją południowych Niemiec, a proszę zobaczyć, co z tego miasta zostało... Niedawno tam byłem, w czasie Nocy Muzeów 2015 było wykonywane moje trio *Ophélie*... Wówczas trochę mi pokazano to miasto. Smutne i piękne, to taki mój romantyzm, romantyzm tych ruin, które ewokują coś, co kiedyś było piękne. Mam nadzieję, że kiedyś się ono odrodzi. Katowice też robią ogromne wrażenie. Ja jestem bardzo uczulony na architekturę. Szalenie podoba mi się katowicki modernizm.

– **Zachodzi obawa, że Bytom będzie niebawem przypominać ruiny z obrazów Huberta Roberta.**

– Bądźmy optymistami. Mój Boże, ależ by było szkoda!

– **Nie chcę być pesymistą, ale trudno mieć wiarę porównując Bytom sprzed stu lat.**

– Niestety, wiele miast jest w takiej sytuacji. Szczecin tak samo. Projektował go baron Haussmann, który przebudował Paryż. Jednak stolica Francji nie była w czasie wojny zniszczona, a Szczecin był. Ponadto, nasze możliwości w odbudowie nie były tak duże jak na przykład Niemiec. Niemiec, które z drugiej strony, pomagają nam teraz w rekonstrukcji np. Wrocławia.

– **Zostawmy póki co ten temat. Rozmawiając z panem zastanawiam się, czy zdradzi pan swoją pozamuzyczną pasję. Taką jak dla Krzysztofa Pendereckiego arborystyka czy dla Juliana Gembalskiego stolarstwo.**

– Ja należę do tej grupy kompozytorów, którzy uwielbiają tramwaje. Takich jak Dymitr Szostakowicz, Krzysztof Meyer, czy Sergiusz Prokofiew. Wczoraj siedziałem na odnowionym katowickim Rynku

**Piotr Moss**, ur. 1949 w Bydgoszczy. Po ukończeniu (z wyróżnieniem) studiów kompozytorskich w warszawskiej PWSM w klasie Piotra Perkowski (pracował również pod kierunkiem Grażyny Bacewicz i Krzysztofa Pendereckiego) wyjechał do Francji, gdzie doskonalił swój warsztat kompozytorski pod kierunkiem Nadii Boulanger.

W roku 1981 osiedlił się w Paryżu przyjmując w 1984 r. obywatelstwo francuskie.

Jego twórczość – wielokrotnie nagradzana na krajowych i zagranicznych konkursach kompozytorskich – jest bardzo bogata i różnorodna. W katalogu kompozytora obok wielkich dzieł wokalnie-instrumentalnych, koncertów czy utworów kameralnych znaleźć można muzykę przeznaczoną dla radia, teatru, filmu i telewizji.

Piotr Moss jest laureatem różnych konkursów kompozytorskich, zarówno w kraju jak i za granicą, a jego utwory prezentowane były w wielu salach koncertowych całego świata.

W 2000 r., Piotr Moss został mianowany przez francuskiego Ministra Kultury Kawalerem Orderu Literatury i Sztuki (Chevalier dans l'ordre des Arts et des Lettres), w 2007 otrzymał nagrodę francuskiej Académie des Beaux Arts a w 2009, z okazji 60. rocznicy urodzin i 40-lecia pracy artystycznej, otrzymał nagrodę specjalną Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest także odznaczony medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Kompozytor otrzymał także dwie prestiżowe nagrody radiowe: Grand Prix festiwalu „Dwa Teatry” za muzykę do „Hamleta” i honorowy „Wielki Splendor” za całokształt twórczości dla Teatru Polskiego Radia.

Nagrana przez Jadwigę Rappé i kwartet Opium jego płyta „Chagall for strings” otrzymała w 2014 roku nagrodę „Fryderyka” za najlepszy album z muzyką współczesną.

i patrzyłem na dziewiętnastki, szóstki i trzydziestki dwójki oraz inne tajemnicze linie. Bardzo lubię Śląsk, także ze względu na tramwaje. Nie mam czasu i możliwości, żeby dużo jeździć, ale teraz można to robić również internetowo. Bardzo lubię w ten sposób jeździć po Wrocławiu. To jest moja pasja. Dziwna, wiem, widzę jak pan patrzy na mnie, ale z pasji nie trzeba się tłumaczyć...

– (*śmiech*) ... **nie, po prostu tramwaje, metro kojarzą mi się z ruchem, bliższym raczej futuryzmowi niż ukochanej przez pana estetyce romantycznej.**

– Nie, myli się pan. Tramwaje to linie, tajemniczość tras, nie ruch. Raczej tajemnica. Słychać zresztą, ileż tajemnicy jest w mojej muzyce. Także w koncercie *Tenebroso*.

– **Na zakończenie naszej rozmowy znowu chciałbym poruszyć trudny temat. Jakby pan porównał, z perspektywy artysty, kompozytora, państwowego mecenaat nad kulturą w Polsce i we Francji, w której mieszka pan od 1981 roku?**

– Porównanie to wypadnie na niekorzyść Francji, mimo że to kraj bogatszy od nas. W Polsce wszystko się zaczęło organizować dopiero po zmianie ustroju. A porównanie wypadnie na niekorzyść Francji dlatego, że tam jest ogromny kryzys kultury, szczególnie w sensie państwowych dotacji. Powszechnie się uważa, że socjaliści, jak prezydent François Mitterand czy jego minister kultury Jack Lang byli bardzo pro-kulturalni. Teraz jest niedobrze, z prezydentury François Hollanda Francuzi są niezadowoleni, kultura jest w bardzo nie dobrej kondycji. Likwiduje się orkiestry, mówi się o ich fuzjach. Organizowany przez Radio France Festiwal Muzyki Współczesnej *Présances* ma odbyć się po raz ostatni. Nowy gmach Filharmonii Paryskiej jest, moim zdaniem, niezbyt udany, ma nieciekawą architekturę. Jako członek Komisji Symfonicznej Stowarzyszenia Autorów SACEM jestem na bieżąco jeśli chodzi o muzyczne problemy Francji. A jest ich sporo – między innymi brak dotacji na muzykę współczesną. Legendarny IRCAM (*Institut de Recherche et Coordination Acoustique/Musique* – Instytut Badań i Koordynacji Akustycznej/Muzycznej – *przyp. M.L.*) pochłania sporo pieniędzy na utwory eksperymentalne, elektroniczne, a który, jak niektórzy – być może nieco złośliwie – twierdzą, choć istnieje od wielu lat, nie stworzył do tej pory żadnego arcydzieła. Na tworzenie muzyki mniej eksperymentalnej brakuje pieniędzy. A w Polsce są nowe inicjatywy – choćby IMIT (Instytut Muzyki i Tańca – *przyp. M.L.*), który m.in. funduje zamówienia na nowe utwory i pomaga zespołom w ich wykonaniach. Zaczyna być niezłe!

– **Zaczęliśmy od ciemności, kończymy optymistycznie. Dziękuję za rozmowę.**

## 150 lat Katowic



Widok na ulicę Pocztową i Młyńską, 1920

# Katowice za Górnika (cz. II)

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**R**ada Ludowa na czele z Józefem Rymerem szkicowała już zarysy nowego polskiego województwa śląskiego i jego władz. Spod pióra i maszyny do pisania dr. Górnika wychodziły projekty, harmonogramy i pragmatyki przyszłego wydziału skarbowego. Pracował też w zespole Komisji Śledczej, badającej nadużycia popełnione w czasie powstań śląskich. Wyróżniał się punktualnością, profesjonalizmem i lojalnością wobec współpracowników i przełożonych.

### Niemcom był nie w smak

**Po** rozmowach w najbliższym gronie, po zaopiniowaniu przez właściwe wydziały, a wreszcie po przyjęciu propozycji przez dr. Górnika, prezes Rymer wystąpił z oficjalnym wnioskiem, typującym kolegę na stanowisko prezydenta katowickiego magistratu.

Dokument z rekomendacją prezydium NRL i jej szefa był gotowy w październiku 1921 r. Z aprobatą alianckiego kontrolera trafił do samorządu niemieckich jeszcze Katowic. Do poszczególnych frakcji w radzie miasta apelowano o jak najrychlejsze przeprowadzenie wyborów – możliwie przed wkroczeniem Wojska Polskiego na Śląsk. Referencje

pozytywnie oceniały pracę i lojalność kandydata jako doradcy NRL. Ekonomista i prawnik, miał odpowiednie przygotowanie merytoryczne, a praktyczna znajomość niemieckiego prawodawstwa i administracji, jakie wciąż obowiązywały na tych terenach aż do czasu powstania polskich jednolitych praw, była również znaczącym atutem. Urodzony w Kuźni Raciborskiej, był Ślązakiem znającym dobrze mentalność Polaków i Niemców. Praktyka w magistracie katowickim umożliwiła mu poznanie ludzi. Wydawało się, że taki kandydat powinien zadowolić wszystkich. Wybór dokonany przez „Radę Dwunastu”, uznano za dyplomatyczny majstersztyk, obiecujący powszechną zgodę i współdziałanie skłóconych obywateli.

Polskie koło radnych poparło kandydaturę dr. Górnika. W ciągu kilka miesięcy trwających kulturalowych negocjacji udało się przekonać deputowanych należących do partii centrowej oraz socjalistów obydwu narodowości. Nieprzejednani pozostali nacjonalisci, skupieni wokół Otto Ulitza i jego Deutschevolksbundu. Oni mieli własnego kontrkandydata.

Podczas wyborów 6 lutego 1922 r. polska inicjatywa zakończyła się sukcesem. Zdecydowaną większością głosów, prezydentem wybrano Alfonsa Górnika.

Wybór dr. Górnika zyskał też oficjalną, państwową akceptację; 29 marca 1922 r. zatwierdziła go pruska rada ministrów, a w 9 dni później – Komisja Międzysojusznicza.

### Między niewolą a niepodległością

**Na** przedwiośnie 1922 r. dr Górnik miał już prezydencki fotel i okazałe biurko pamiętające nadburmistrza Schneidera. Jego kancelaria mieściła się na pierwszym piętrze ratusza dawniejszego hotelu „Pruskiego”, przez niemieckich fanfaronów po parysku nazywanego „De Prusse”.

Z gabinetu mógł oglądać gwary Rynek z gmachem miejskiego teatru a dalej perspektywę ulicy Zamkowej (obecnie: Korfantego), z eleganckim hotelem „Grand” i z wysokim piecem wiekowej Huty Katowickiej. Dalej przed staroświeckim Marienhofem stały budki wartownicze francuskiej misji pokojowej. Latem 1920. widział jak na tym placu, na oszalałym tłum Niemców ruszyły czołgi i padli zabici, a wiosną 1921. wozy opancerzone zagroziły drogę powstańczym kolumnom Polaków pragnących przejąć władzę nad miastem.

### Powitanie

**R**atusz był siedzibą najwyższych władz samorządowych miasta kontrolowanego przez siły zbrojne Międzysojuszniczej Komisji pełniącej funkcję międzynarodowego „rządu” Górnego Śląska. Ich lokalne dowództwo stacjonowało w dwu kamienicach Hugo Grünfelda przy Emmastrasse 49/51 (obecnie: Francuska) i w koszarach przy ulicy Raciborskiej. W dawnym hotelu Gutfelda pracowały departamenty i referaty Naczelnej Rady Ludowej i coraz liczniejszych polskich stowarzyszeń występujące w roli gabinetu cieni. Projektowały podwaliny nowej administracji dla przejmowanego regionu, od dwu lat pokojowo okupowanego przez państwa sprzymierzone.

Tutaj znajdowała się kancelaria prezesa Józefa Rymera, który wspólnie z Wojciechem Korfantym, wtedy pretendującym do stanowiska premiera Rzeczypospolitej, na początku czerwca 1922 r. zainicjował prace Komitetu powitania Wojska Polskiego i przejęcia Katowic przez władze polskie.

Rola jednego z aktorów historycznych wydarzeń przepadła w udziale prezydentowi Górnikowi, który nie miał natury gwiazdora ani krasomówcy. Jego osobowość najpełniej manifestowała się w codziennej pracy i bezpośrednich rozmowach z ludźmi. Toteż, ostatnie tygodnie wiosny, lato i jesień 1922, były dla niego wyjątkowo stresującym okresem. Stał przed kolejnym wyzwaniem.

### Przejęcie władzy

**U**rzędowe przekazanie Katowic we władanie Polaków nastąpiło w poniedziałek 19 czerwca 1922 r. Odbywało się

w siedzibie Dowództwa Wojsk Koalicyjnych przy ulicy Fryderykowskiej (poprzecznie: Friedrichstrasse). Nazajutrz, na granicy miasta Wojsko Polskie witali kawowiczanie.

Na Rynku odbył się przegląd wojsk. Na stopniach teatru miejskiego, proboszcz parafii mariackiej, ks. dr Teodor Kubina, w asyście księży – byłych powstańców, odprawił mszę polową. Śląscy insurgenci zluźniali wartość honorową złożoną z żołnierzy francuskich pod rozkazami koalicjantów. Nazajutrz Wojsko Polskie zastąpiło wartość powstańczą. Prezydent spoglądał z okien swego gabinetu. Nad wejściem do świątyni Melpomeny wciąż widniała dewiza: „Deutschem Wort und deutscher Art” (Niemieckie słowo i niemiecki duch).

Nie przepadał za tłumnymi uroczystościami. Z natury był melancholikiem skłonny do zadumy. Najlepiej czuł się w kameralnym gronie. Tymczasem w pierwszych latach urzędowania, niemal każdego miesiąca miał obowiązek dopilnowania organizacji oficjalnych przyjęć, powitań i pobytów, a potem w tym wszystkim musiał osobiście uczestniczyć. Do Katowic na krótko, na dłużej lub na stałe przybywały pierwsze w Rzeczpospolitej osobistości – marszałek Piłsudski, premier Nowak, administrator apostołski ks. August Hlond albo zagraniczni goście.

## Własnymi rękoma

Personel magistratu daleki był jeszcze od aprobaty dla nowej rzeczywistości. Irytowało to Polaków. W Radzie Miejskiej było jak za kajzera – ton nadawali Niemcy. Polacy stanowili egzotyczną garstkę debutantów. W sukurs przychodzili mu ludzie spoza ratusza. Jego podwładni nie znali języka polskiego. Bywało, że ostentacyjnie mówili po niemiecku. Powoływali się na pruskie przepisy. W swoim języku wystawiali urzędowe „papiery”. Do kontaktu z petentem w języku polskim zostali służbowo zobowiązani dopiero w 1923 r. Zaczęli pisać po polsku. Jednak jeszcze w 1926 r. spośród 558 urzędników magistratu tylko 312 poprawnie mówiło po polsku, a pozostali – jako tako.

Wyzwaniem dla prezydenta Górnika było zorganizowanie jesiennych wyborów do Sejmu Śląskiego. Również i w tej akcji pozostał sam.

## Priorytety prezydenta

Zmiana przynależności państwowej Katowic, zachęcała do zmiany wyglądu miasta. Właściciele sklepów, hoteli i lokali usługowych samorzutnie wymieniali niemieckojęzyczne szyldy lub umieszczali obok nich nowe pisane po polsku. Tablice z nazwami kilku głównych arterii pozamieniali już podczas powstania 1919 r. Teraz prezydent uzupełniał i unifikował wtedy zapoczątkowane dzieło.

Miasto z przełomu wieków, jako bastion niemieczyny, prezentowano w przejskraj-

wionych, propagandowo-laurkowych barwach. Dr Górnik miał trzeźwe spojrzenie i uzupełniał to, czego nie zrobili jego poprzednicy. Jezdnice wybrukowano kamienią kostką a pobocza otrzymały miejskie trotuary z klombami kwiatów, drzew i krzewów. O podwyższeniu standardu życia w mieście zdecydowały dobrze doinwestowane i lepiej funkcjonujące wodociągi, sprawniejsza sieć kanalizacyjna i gazowa. Systematycznie regulowana i oczyszczana Rawa, wtedy właśnie uwięziona w betonowych korytach przykrytych kamiennymi sklepieniami. To były priorytetowe inicjatywy podejmowane przez prezydenta Górnika.

Opieka nad szkolnictwem należała do obowiązków magistratu i ojca miasta. Po wakacjach 1922 r. przyszła pora na rozpoczęcie roku szkolnego. Teraz, poza szkołami mniejszościowymi, językiem obowiązującym był polski. Brakowało kadry pedagogicznej. W latach wojny i powstań w budynkach szkolnych kwatrowano wojsko, oddziały organizacji paramilitarnych i powstańczych. Te obiekty wymagały napraw i renowacji. Znaczne środki z budżetu miasta przeznaczono na ich remont a dwunarodowościową szkołę przy Dąbrówki 9, której patronem został ks. Piotr Skarga, gruntownie zmodernizowano.

W tym czasie u zbiegu Wojewódzkiej i Damrota (na dawniejszym Rolnym Przedmieściu) rozpoczęto budowę przytułków dla ubogich, bezdomnych, sierot i starców. Przedtem gnieździli się w slumsach na załęskim forsztacie. W nowym przytułku, nazywanym „Azyłem”, schorowani i zabiedzeni znajdowali dach nad głową, ciepłą strawę, odzież i obuwie. Samotne matki i porzucone niemowlęta mogły liczyć na opiekę w miejskim szpitalu przy ulicy Raciborskiej.

Dr Górnik był miłośnikiem pięknego i przyjaznego krajobrazu. Wiedział, że dla mieszczaucha wymarzoną „otuliną” są rozległe publiczne ogrody. Osobiście lustrował roboty w miejskim lasku na wzgórzu Beaty. Przeobrażał go na park publiczny ze wszelkimi szykanami obowiązującymi w europejskich metropoliach. Miłą pamiątką po pierwszym prezydencie, choć nie dotrwała do naszych czasów, był skromny ogród botaniczny nad Rawą, przy ulicy Bankowej. Zadał też o środki na modernizację łaźni miejskiej z krytym basenem, wtedy podobno, jedynej w całej Polsce. Za jego kadencji nad większością ulic śródmieścia rozblęły ogromne elektryczne żarówki. Prąd stawał się modnym i praktycznym „pomagierem” w gospodarstwach domowych.

W 1923 r. katowicki prezydent zainicjował powołanie Związku Gmin Województwa Śląskiego, potocznie nazywanego Siedmiopolem Górnopolskim. Konsolidował i poprawiał kondycję finansową zrzeszonych. Śląscy burmistrzowie powierzyli mu prezesurę i desygnowali do prac w Radzie Naczelnej Polskiego Zjednoczenia Gospodarczego, a także w zarządzie Związku Miast Polskich.

Jako prezes związku wystąpił z inicjatywą budowy statku handlowego o pojem-

ności 1000 ton i nazwie „Górny Śląsk”. W kosztach budowy prócz miast regionu miał partycypować Sejm Śląski. Postulat poparty przez posłów skupionych wokół wojewody dr. Grażyńskiego trafił pod obrady. Storpedowali go zwolennicy Korfanteo. Twierdzili, że wynajem statków obcej bandery do eksportu śląskiego węgla jest o wiele tańszy niż usługi polskiej marynarki handlowej.

W 1924 r. Górnik i jego zwolennicy w radzie miasta przeforsowali wniosek o inkorporacji w granice Katowic kilku gmin podmiejskich. To było przełomowe wydarzenie. Po 60 latach Katowice odzyskały naturalne dla nich terytorium i skład etniczny. W 1924 r. skończyła się epoka sztucznie wymanipulowanej przewagi żywiołu niemieckiego nad polskim. W tym roku zyskały przydomek Wielkie i rzeczywiście, z 50-tysięcznej stały się ponad stu-tysięczną wspólnotą o której losach mogła decydować samorządowa większość Polaków.

## Burza i po burzy

Czarne chmury nad miastem i głową prezydenta zaczęły się kłębić w roku 1926. Kryzys ekonomiczny chwycił za gardło przemysł i gospodarkę całego kraju. Przewrót majowy w Warszawie, uruchomił lawinę politycznych wypadków i zmian personalnych. Na Śląsku zmienił się wojewoda i obsada kluczowych stanowisk a w ślad za tym innych urzędniczych stołków. Wzrosło napięcie społeczne i niezadowolenie opinii publicznej. To była woda na młyn rewizjonistycznie usposobionych Niemców z DVB. Choć radzie miasta przewodniczyły takie autorytety jak red. Jan Piechulek, nestor wśród deputowanych i jego zastępca mecenas Stanisław Kobylński, przywódca Chrześcijańskiej Demokracji Śląska i Zagłębia – volksbundowcy wciąż wiodli prym w zgromadzeniu katowickich deputowanych. Na jego forum toczyły się polityczne batalie pomiędzy Polakami a Niemcami.

Zgiełk oręża nie sprzyjał dobrej pracy ani kondycji Alfonsa Górnika. W lutym 1928 r. poprosił o urlop zdrowotny, a gdy mu odmówiono, złożył wypowiedzenie. Zostało przyjęte. Jako urzędnik państwowy został przeniesiony w stan spoczynku. To była jego ostatnia – szósta wiosna na prezydenckim fotelu. Teraz zajął się własną osobą. Przez pewien czas leczył dolegliwości w dolnośląskim Salzbren – Szczawnie Zdroju. Nie podejmował pracy. Wycofał się z życia publicznego. W 1939 r., już po wkroczeniu hitlerowców do Katowic, po kolejnym ataku kamicy żółciowej trafił do szpitala miejskiego przy ulicy Raciborskiej. Zmarł w grudniu. Został pochowany na katolickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Po jego przekopanej mogile nie ma dziś śladu. Na fasadzie kamienicy, w której spędził znaczną część życia, wciąż brakuje tablicy upamiętniającej pierwszego prezydenta Polskich Katowic.

W dniach 9 i 10 października 2015 roku w Lublińcu odbyła się Międzynarodowa konferencja naukowa „Filozof na prowincji. Rola elit intelektualnych w środowiskach lokalnych”. Była to czwarta edycja spotkań polskich i czeskich humanistów w cyklu „Intelektualista na prowincji”, organizowanych przez Wydział Filologiczno-Historyczny Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie oraz Wydział Filozoficzny Uniwersytetu w Ostrawie z pomocą Stowarzyszenia Rozwoju Ziemi Lublinieckiej. Miejsce obrad nad rolą filozofii na prowincji było nieprzypadkowe. Lubliniec to miasto, którego patronką jest znakomita filozof z kręgu myśli fenomenologicznej Edyta Stein, późniejsza święta, siostra Teresa Benedykta od Krzyża. Pamięć władz miasta i jego mieszkańców o zamordowanej w Auschwitz karmelitanke, połączona z troską o rozwój życia intelektualnego Lublińca i budową tożsamości lokalnej, stały się ważnym argumentem na rzecz organizacji tego typu spotkania i włączenia go w doroczną Lubliniecką Noc Kultury.

Temat konferencji brzmi prowokacyjnie i trzeba było ze strony lublinieckich gospodarzy sporo dystansu do siebie, by filozofa umieścić właśnie w miejscowych realiach. Na szczęście miasto ma wiele powodów, by nie czuć się prowincją. Jest bowiem jednym z najszybciej rozwijających się ośrodków w województwie śląskim i wśród jego mieszkańców powszechna jest dumna oraz poczucie więzi z miejscem, które – prócz wyrazistej tożsamości kulturowej – uwarunkowane jest możliwością realizacji zawodowej i gwarancją godnego życia.

# Filozof na prowincji

## O międzynarodowej konferencji naukowej

W pierwszym dniu konferencji obrady odbywały się w murach pamiętającego XIV wiek, pięknie odrestaurowanego Zamku Lublinieckiego. Drugiego dnia uczestnicy i słuchacze przenieśli się do Muzeum im. Edyty Stein, położonego niemal w samym rynku. Otwarcia konferencji dokonali burmistrz miasta Lubliniec Edward Maniura i rektor Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie dr hab. inż. prof. AJD Zygmunt Bąk. Ze strony czeskiej powitała Gości burmistrz zaprzyjaźnionego z Lublińcem miasta Kravaře, pani Monika Brzeskova.

Naukową część spotkania rozpoczęły referaty przybliżające uczestnikom patronkę Lublińca oraz działania samorządu na rzecz kultywowania pamięci o niej (dr hab., prof. AJD Maciej Janik) oraz tezy dotyczące rozwoju kultury w mieście (Stanisław Kowalczyk, przewodniczący Rady Kultury w Lu-

blińcu). Następnie głos zabrali filozofowie, mówiąc o swoim współczesnym statusie, zwłaszcza w sytuacji dobrowolnego oddalenia od centrów kultury (dr Adam Olech). Okazuje się, że prowincja jest miejscem, w którym w dużym stopniu zachowały się właściwe miary, pozwalające uchwycić porządek życia i odnaleźć jego sens. Problemy uniwersalności dyskursu filozoficznego i jego możliwościach związków z lokalnością dominowały w wystąpieniach dr. hab. Macieja Woźniczki, dr. Marka Perka i mgr. Michała Płóciennika.

Wystąpienia przedstawicieli Czech dotyczyły strategii marginalizacji filozofek (prof. PhDr. Zdenka Kalnická), a także prezentowały postaci „filozofów na prowincji” (doc. mgr. Marek Otisk, PhDr. Petr Hromek, PhDr. Oldřich Kramoliš, mgr. Jan Herúfek, mgr. Lukáš Lička, PhDr. Lenka Naldoniová). Był również referat poświęcony buddyzmowi jako marginesowi w filozofii zachodniej.

Podczas konferencji prezentowano także badania związków filozofii i literatury. Dr hab. Artur Żywiołek przedstawił postać zapoznanego neomesjanisty Stanisława Szczepanowskiego, dr Krzysztof Czajkowski mówił o Henryku Elzenbergu i poezji Zbigniewa Herberta, dr Mariusz Oziębłowski odczytał filozoficzne motywy twórczości Witkacego, a dr hab. Agnieszka Czajkowska przypomniała postacie filozofów na prowincji, ukazywane przez XIX-wieczną literaturę.

AGNIESZKA CZAJKOWSKA

[www.poradniajezykowa.pl](http://www.poradniajezykowa.pl)

## Milenialsi

W mediach pojawiły się określenia *milenialsi*, *millennialsi*, *millenialsi* w znaczeniu ‘osoby urodzone między 1980 a 2000 rokiem’. Czy spolszczenia te są poprawne i czy można ich używać? Dodatkowym problemem jest tu fakt, że słowo *millennialsi*, od którego ta forma pochodzi, po angielsku jest w liczbie mnogiej. Czy może lepiej używać określenia *pokolenie milenijne*? To pytania, które ostatnio skierowano do naszej Poradni.

Połączenie *pokolenie milenijne* (także *pokolenie millenium*) będące tłumaczeniem ang. *Millennial Generation* dla wielu osób jest jeszcze równie zagadkowe, jak nazwy *milenialsi* oraz *generacja Y*. Są to określenia nowe, nawet w słownikach jeszcze nie odnotowane, choć przecież używane w mediach i niewątpliwie potrzebne, skoro istnieje tak nazywana liczna grupa młodych ludzi w miarę jednolitych cechach i podobnych zachowaniach, będąca obiektem zaintereso-

sowania zarówno socjologów, jak i ekonomistów.

Zaletą określeń jednowyrazowych – jak *milenialsi* – jest ich skrótość, co w naszych czasach miewa decydujące znaczenie, warto zatem zatrzymać się nad pisownią, która – jak widać w Niemciece – obecnie jeszcze ewoluuje. Zacząć wypada od rzeczownika, od którego nazwa grupy pochodzi, czyli *millennium*, który w takiej właśnie formie (z podwojonymi literami *l* i *n*) przejęliśmy z łaciny, aby z czasem pisownię uprościć, poprzestając na literach pojedynczych. Zjawisko to od wieków widać w wielu formach obcych adaptowanych do polszczyzny, jak choćby łacińskich *grammatyka*, *summa*, *klasa* czy *kommissya*, angielskich *tunel* czy *banner*. Słowniki języka polskiego i ortograficzne notują już także drugą formę rzeczownika oznaczającego ‘okres tysiąca lat’, ‘tysiąclecie’ oraz ‘tysięczną rocznicę istnienia czegoś’: *milenium*, będącą konsekwentnym spolszczeniem wersji obcej. Z tego też powodu niedawno zapożyczone z angielskiego na-

zwy pokolenia cyfrowego przyjmują obie wersje pisowni i obie należałyby na tym przejściowym etapie zaakceptować. A że formy te mają na końcu *-s* oznaczające w angielszczyźnie liczbę mnogą? Cóż, nie jest to u nas żadna nowość, że zapożyczymy wyrazy w gramatycznej formie pluralnej. Jacek Fisiak w artykule pt. *Zjawisko depluralizacji niektórych rzeczowników zapożyczonych przez język polski* („Język Polski” 1961, z. 2) wskazywał, że przejmujemy wiele rzeczowników w formie liczby mnogiej, lecz forma ta służy u nas do nazwania pojedynczych przedmiotów, osób, zjawisk; następnie na gruncie polskim od tej angielskiej liczby mnogiej tworzy się formy pluralne polskie: *drops*, *bambus*, *dandys*, *fotos*, *klips*, *skunks*, *pampers*, *komandos*, *Eskimos*, *Hindus*, *Jankes*, *Zulus*, *Torys* i inne. Zastanawiam się, czy istnieje problem liczby w przypadku *milenialsi* – wszak i tak zwykle to określenie odnosi się do grupy osób, a jeśli ktoś rozpatruje problemy pojedynczego przedstawiciela interesującej nas grupy, to mamy do czynienia z sytuacją opisaną w powyższym artykule: mówimy *jeden Hindu*, *jeden Eskimos*, *jeden komados*, choć to angielska liczba mnoga, a pojedyncza brzmi *Hindu*, *Eskimo*, *commando*.

KATARZYNA WYRWAS



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# W linii ojca – Ślązak!

**P**olskie wydało go plemię, wstrzymał słońce, ruszył ziemię” – ktoś z nas, zwłaszcza starszych, nie zna tego fragmentu wiersza „Kopernik” Jana Nepomucena Kamińskiego z roku 1828?! W trzy lata później – dopowiedzmy – Kazimierz Brodziński napisał, że „naród polski jest Kopernikiem w świecie moralnym” (można pęknąć ze śmiechu!).

Gdy w tym samym XIX stuleciu w kręgach pruskich zaczęto anektować genialnego astronoma na stronę niemiecką, wywodzono jego nazwisko od westfalskiej miejscowości *Coepern*, zestawiając je ze staropruskimi nazwami osobowymi typu *Abestik*, *Genserik*.

Zacząłem dzisiejszy odcinek od tych informacji, bo przeczytałem niedawno w „Polityce” bardzo ciekawy wywiad z prof. Krzysztofem Mikulskim z UMK w Toruniu, badaczem życia i dzieła Mikołaja Kopernika (1473-1543), który – sine ira et studio – przedstawia najprawdopodobniejsze koncepcje związane z jego rodowodem. I tak sądzi, że rodzina astronoma ze strony matki, czyli Watzenrodowie, nie musi się wywodzić ze śląskich ziem, jak dotąd przypuszczano. Ludzie noszący to nazwisko – mówi toruński uczony – zamieszkiwali także tereny dzisiejszej Hesji i Nadrenii-Palatynatu w Niemczech, więc i przodkowie toruńskich Watzenrodów mogli z tych stron pochodzić, zwłaszcza że w tamtych czasach ludność niemiecka często się osiedlała w miastach nad Wisłą. Z całą pewnością też wiemy – kon-

tinuuje wywód prof. Mikulski, że pierwsze wzmianki o przodkach matki Mikołaja Kopernika w Toruniu datowane są na rok 1369.

Przodkowie ojca natomiast byli albo górnikami miedziowymi, albo zajmowali się obróbką tego metalu. Z całą pewnością rodzina Koperników z ojcem astronoma na czele trudniła się handlem miedzią. I tu dochodzimy do najprawdopodobniejszej rodowodowej konkluzji, którą mój wrocławski profesor – Stanisław Rospond (1906-1982) – lansował już w roku 1973 w książce „Mikołaj Kopernik. Studium językowe o rodowodzie i narodowości”, wydanej w Opolu z okazji 500-lecia urodzin astronoma (1473-1973), że mianowicie po przodkach z linii ojca był on Ślązakiem, bo pochodzili oni ze śląskiej miejscowości *Koperniki* pod Nysą, z której wywędrowali do Krakowa, w roku zaś 1396 Mikołaj Kopernik, pradziad astronoma, przyjął obywatelstwo nadwiślańskiego grodu. Jego wnuk, a ojciec astronoma, też Mikołaj, bogaty krakowski kupiec, przeniósł się do Torunia i tam się ożenił z Barbarą Watzenrode, a z tego związku narodził się kolejny Mikołaj – ten najgenialniejszy, którego zna cały świat.

W pobliżu przywołanej miejscowości *Koperniki*, po stronie czeskiej, jest też wzgórze *Kopernik*, w którym geolodowie stwierdzają występowanie miedzi – z reguły towarzyszącej złotu, a leżące w pobliżu miasteczko *Zlate Hory* było właśnie w średniowieczu liczącym się ośrodkiem jego wydobycia. *Miedz*

w staropolszczyźnie to był *kopr*, *koper*, *kupr* – z łac. *cuprum* (niem. *Kupfer*). A zatem *Koperniki* to typowa nazwa wywodząca się od określenia ludzi – *koperników*, czyli wytapiaczy lub obrabiaczy miedzi.

Jest tego typu nazw – tzw. służebnych – na Śląsku co niemiara. Strukturalnie i znaczeniowo najbliższe *Kopernikom* są leżące na pograniczu Ptakowic, Wieszowy i Stolarzowic *Górniki*, od roku 1975 administracyjnie należące do Bytomia – tak jak do moich Tarnowskich Gór należą *Bobrowniki* (zapis z r. 1464: *Bobrowniky*), pierwotne określenie stróżów pilnujących żeremi, bobrowych gonów; do ich obowiązków służebnych należało chwywanie i hodowanie bobrów, których skóry stanowiły bardzo ceniony towar, przedmiot handlu (jak pisze Stanisław Rospond w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z r. 1984 na dworach książęcych byli urzędnicy powołani do nadzoru bobrowni i zwano ich *bobrowniczymi* (łac. *custodes castorum*); wspominają już o nich dokumenty XIII-wieczne). Jedną z podstawowych powinności dla grodu – w tym wypadku dla prastarego Bytomia – była też służebność piekarska i do niej nawiązują, nietrudno się domyślić, *Piekary* (*Śląskie*).

A skoro jestem w rodzinnych stronach, wyznam, że największą słabość historycznojęzykową mam do blisko Tarnowskich Gór położonych *Miedar* – etymologicznie „producentów miodu”, bo w nazwie tej ocalało pierwotne „e” podstawy słowotwórczej *mied*. Przekształciła się ona w późniejszy *miod*, *miód* na mocy prawa tzw. przegłosu polskiego, zgodnie z którym „e” po spółgłoskach miękkich, a przed t, d, s, z, n, r, ł zmieniało się w „o” lub „a” (tak samo pierwotne brzmienia *żena*, *cies*, *siestra*, *leto*, *gwieзда*, *les* przekształciły się w postacie *żona*, *cios*, *siostra*, *lato*, *gwiazda*, *las*). Takie samo jak w *Miedarach* prymarne „e” mamy też w podraciborskiej *Miedoni*, a także w wyrazie pospolitym *niedźwiedź* – wcześniejszym *miedźwiedziu*, ostatecznie wiodącym do etymologicznego *jedzącego mied* (*miód*).

A ileż nazw służebnych wokół Wrocławia! Już pierwszy mój adres w tym mieście – ten sprzed ponad półwiecza, czyli ulica Szczytnicka – nawiązywał do nazwy *Szczytniki*, etymologicznie oznaczającej „producentów szczytów, czyli tarcz”. *Żerniki* do dawne *Żerdniki* związane z produkcją żerdzi. Mamy też podwrocławskie *Psary*. To dawni *psarze* „pilnujący psów łowczych”. Są i *Oborniki* (*obornik* zajmował się obróbką książęcą), *Złotniki* (wydobyciwcze złota, wytwórcy przedmiotów ze złota), *Kowale*, a i *Pracze* – oznaczające pierwotnie ludzi zobowiązanych do prania bielizny dworu książęcego.



# Salony władzy i elegancji

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Pozacieklej bitwie wyborczej wypadaloby przywitać Szanownych Czytelników „w całkiem nowej rzeczywistości”... Teraz jedni z nadzieją, inni z obawą patrzą w przyszłość. A ja przekornie chciałbym zaprosić dziś na małą wycieczkę w przeszłość.

Obchodzimy w tym roku 25-lecie odrodzonego polskiego samorządu terytorialnego. Z tej właśnie okazji powstał ten cykl artykułów. Naturalną kolejną rzeczą, ostatni, grudniowy numer powinien być jakimś podsumowaniem, ale to będzie okres świąteczny, który ma swoje prawa, a ja bym chciał dzisiaj... ponarżekać trochę na naszą ludzką naturę. Jak łatwo zapominamy, albo po prostu nie chce nam się pamiętać...

Posłużę się przykładem godnym łamów, na których gościmy. Przecież tak niedawno odeszli, a kto dzisiaj kupuje, sprzedaje i czyta książki tak popularnych i cenionych jeszcze niedawno pisarzy, jak Andrzejewski czy Brandys? Kto kupuje płyty i słucha Jacka Kaczmarskiego? Przestali być twórcami „współczesnymi”? Są już „niszowi”?

Ale zejdźmy z tej górnej półki na nasze, lokalne podwórka. Mniej więcej rok temu ktoś w Śląskim Związku Gmin i Powiatów rzucił hasło stworzenia internetowej bazy danych – biogramów tych, którzy tworzyli śląski samorząd przez ostatnie 25 lat. Budowali z niczego, często nie mając żadnego doświadczenia, bazując bardziej na entuzjazmie niż jakiejś wiedzy (bo i skąd). Budowali i... zbudowali jeden z najsprawniej działających sektorów Państwa. Podejmując się tworzenia tej bazy, spodziewałem się benedyktyńskiej pracy. Wyobrażałem sobie, że z rad i urzędów zaczną spływać setki i tysiące danych. A potem trzeba będzie to wszystko „wstukać” cierpliwie, najczęściej ręcznie, przeredagować. Wyobrażałem też sobie, że oprócz suchych danych biograficznych, odezwią się sami zainteresowani, ich dawni współpracownicy, albo zwyczajni ludzie mający ich w pamięci. Liczyłem na odzew lokalnych historyków, którzy bywają kopalnią wiedzy... Miałem nadzieję, że owa baza pokaże także „ludzkie oblicze” tych ludzi.

„Miałem nadzieję”, „wyobrażałem sobie”... Czy to oznacza, że się nie udało? Udało się, Drodzy Państwo, tak w połowie. Rozesłaliśmy do wszystkich gmin i powiatów

serdeczne prośby o wypełnienie formularza, w który należało wpisać podstawowe dane: imiona, nazwiska, okres pełnienia funkcji, nazwę komitetu wyborczego. Szanując demokrację, pamiętaliśmy o zasadzie trójpodziału władzy. Nasze pisma w części dotyczącej przewodniczących rad poszły do obecnych przewodniczących, w części dotyczącej wójtów, burmistrzów i prezydentów – do obecnej władzy wykonawczej. Mniej więcej połowa nie odpowiedziała do dzisiaj. Uzupełniłem nazwiska własnymi siłami korzystając z wszelkich dostępnych źródeł. Dzisiaj nie ma już gminy czy powiatu, który by nie istniał w naszej bazie. Ale jeśli w trakcie jej przeglądania traficie na gminy i powiaty, w których nie ma nic poza tymi najbardziej suchymi informacjami – możecie być prawie pewni, że z „tamtej strony” nie było odzewu.

To taka trochę gorzka refleksja, jak łatwo czasem lekceważymy historię i nasze, bądź co bądź, korzenie. To nieistotne, czy nasi poprzednicy byli z takiej, czy owakiej strony sceny politycznej. Ale przecież BYLI. Zbudowali podwaliny tego, co dzisiaj sprawia, że Polska rozwija się przede wszystkim we wspólnotach samorządowych. Podstawy tego, że we wszelkich sondażach tzw. zaufania do instytucji państwowych – samorząd plasuje się na pozycji, o której inne mogą tylko pomarzyć.

Coraz bardziej zaciera się w pamięci ten pierwszy okres pionierski. O ile w pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że instytucje państwowe (poza Kancelarią Prezydenta RP) już istniały i trzeba je było głęboko przemodelować, to samorząd trzeba było właściwie tworzyć od nowa, z niczego. To była dla wielu udana, wielka życiowa przyгода tworzenia czegoś nowego. Także w ludzkiej mentalności, bo trzeba było nauczyć się tego, że w swojej gminie, w swoim mieście będziemy rządzić się i gospodarować sami. Dołóżmy do tego choćby kolejną nowość – fundusze unijne, tzw. Przedakcesyjne, na długo przed formalnym wejściem Polski do Unii Europejskiej. W 2002 r. kolejna rewolucja – bezpośrednie wybory wójtów, burmistrzów i prezydentów. To tylko te spektakularne, wywołujące emocje. Ale następowały też zmiany ustrojowe wręcz: reforma administracyjna powołująca kolejny szczebel samorządu – powiaty czy

powołująca nowe województwa. Kolejne zadania i wielka praca wykonana. Trzeba ocalić od zapomnienia zarówno fakty, jak i samą atmosferę tamtych lat.

Nazwiska i czas pełnienia funkcji w bazie samorządowców śląskich mamy prawie skompletowane. Ale we mnie wciąż odzywa się żyłka dziennikarska czyli marzenie, żeby ocalić od zapomnienia tych ludzi jako... ludzi. Dlatego zwracam się z ponownym apelem o kontakt. Znalście ich? Podzielcie się choćby anegdotkami. Ktoś powie, że to niepoważne? Jak tabloid jakiś??? Z anegdotek i wspomnień, także prywatnych w połączeniu z oficjalnymi danymi, wyłania się dopiero obraz zarówno człowieka, jak i czasów, w których przyszło mu żyć i działać.

Gdy lata temu zaczynałem swoją dziennikarską przygodę, w czasach polskiego przełomu lat dziewięćdziesiątych, byłem – jak wielu z nas – zafascynowany tym, co działo się na samej górze, na szczytach polskiej polityki. Przez kilka lat spotykałem się i prowadziłem wielogodzinne nieraz rozmowy z największymi legendami ówczesnej polityki – z każdej strony ówczesnych barrykad. Wielu z nich już odeszło na tamtą stronę, część – na polityczną emeryturę. Po tem do tej „warszawskiej” polityki trochę się rozczarowałem (jak chyba wielu z nas) i wtedy zainteresowałem się Polską lokalną. Tutaj spotkałem mnóstwo niezwykle ciekawych ludzi, samorządowców. Trochę żałuję, że nie poznałem osobiście większości tych, którzy zaczęli w roku 1990 lub zaraz potem. Nie wszystko udało się potem nadrobić.

Ponieważ od kilku miesięcy na tych łamach piszę o osiągnięciach i problemach samorządu, mając nadzieję, że i politycy czasem to czytają, może tym razem, z przyzwyczajeniem oka, zrobię odwrotnie? Przypomnę anegdotki z życia wzięte, bo z moich własnych obserwacji i spotkań o tych, którzy byli na samej górze? Czy powiecie, że to tabloid, czy zgodzicie się ze mną, że czasem wygląda z nich bardzo ludzka twarz?

Częstujecie swoich gości kawą? To norma. Nie spotkałem jeszcze sekretariatu żadnego wójta, choćby najmniejszej gminy, gdzie gościa nie częstuje się dobrą kawą. A jeszcze tak niedawno...

## Kawa (prawie) prezydencka

Rok 1995, kampania przed wyborami prezydenckimi.

Umówiony, o 8.00 rano stawiam się w budynku przy ul. Rozbrat w Warszawie, w ówczesnej okazałej siedzibie SLD. Przewodniczący partii, przyszły prezydent Aleksander Kwaśniewski jest jeszcze w drodze. Czekam w sekretariacie jego gabinetu. Pada rutynowe pytanie:

- Czego się Pan napije? Kawa, herbata?
- Kawę poproszę.

Po kilku minutach na biurku pojawia się... szklanka ze spodeczkiem. W szklance klasyczna tzw. „plujka” z centymetrowym kożuchem mielonej kawy, która nie bardzo chce opaść na dno mimo energicznego mieszania.

Sekretariat przywódcy jednej z najpotężniejszych wówczas partii politycznych, kilka tygodni przed objęciem przez niego najwyższego urzędu w Państwie, nie dysponuje czymś takim, jak ekspres do kawy...

Do dziś się zastanawiam, czy jego żona o tym wiedziała. Kilka lat później wszak w TV nauczała, jak elegancko spożywa się bezy...

## Kawa z orłem w koronie

**Rok** wcześniej. Pałac Prezydencki, Warszawa. Spotkanie z prezydentem Lechem Wałęsą. Prowadzą mnie do niedużej (jak na pałac) sali. Na środku stoi małeńki (jak na pałac), okrągły stolik, przy nim fotele. Miła starsza pani wnosi tacę z kawą, herbatą i ciasteczkami. Cała zastawa z pięknej, białej porcelany, zdobiona godłem Rzeczypospolitej. Pani chwilę się waha, oceniając rozmiary stolika i niesionej tacy. W końcu kieruje się do okna i stawia tacę na wielkim, marmurowym parapecie. – Proszę się częstować. – uśmiecha się. W tym samym momencie słyszymy: – Proszę Państwa! Prezydent Rzeczypospolitej! Lech Wałęsa wchodzi, wita się z każdym, zaprasza do stolika. Zaczyna się rozmowa...

Pałac to pałac. Od stolika do okna – circa 10 metrów. A prezydent wciąż mówi, odpowiada na pytania... Wyznaczone na godzinę spotkanie i tak przedłuża się, wypełnione gęsto pytaniami i odpowiedziami. Myślicie, że znajdzie się w takiej chwili, ktoś odważny, kto nie zwracając uwagi na to, że mówi do niego Prezydent, wstanie od stolika i pójdzie pod okno po kawę i ciasteczko? Mija godzina, półorej, czas dobiega końca. Obsługa daje dyskretne znaki Prezydentowi. Ten wstaje, dziękuje, podaje rękę i wychodzi. W przedsionku czekają już jacyś następni goście. Wychodzę. Nigdy nie dowiedziałem się, jak smakuje prezydencka kawa w filizance z orłem w koronie...

## Jak dziecko we mgle

**M**oja pierwsza wizyta w domu prof. Lecha Falandysza. Podjeżdżam pod starą, przedwojenną willę na warszawskim Mokotowie. Niedawno kupiona, delikatnie mówiąc – w tzw. średnim stanie. Na elewacji jeszcze ślady od kul z Powstania Warszawskiego. Na wysoki parter wchodzi się po postawionych na ziemi, chwiejących się metalowych schodkach, jak do pakamery. W środku wyremontowane tylko kilka pomieszczeń.

Profesor przeprosza, że żona jest nieobecna, musiała wyjechać. Proponuje kawę. Przyjmuję propozycję i... profesor znika na dłuższą chwilę, pojawia się, znów znika... Przy kolejnym pojawieniu się przeprosza, że trochę to trwa.

– Ekspres do kawy mamy na piętrze, a kuchnia jest na dole... Gdzie ta kawa i filizanki...

Znowu dłuższa nieobecność. Wreszcie Profesor pojawia się z dwoma kubkami. Jako żywo, pamiętają one lata PRL-u, gdy w czasach studenckich podkradało się kubki z baru mlecznego lub stołówki do pokoju w akademiku. Innych Profesor nie znalazł. Jeszcze tylko trzeba odnaleźć kawę, a żony nie ma...

W końcu Profesor znów schodzi na dół. Z pustymi rękami.

– Wie Pan, przeproszam, ale żony nie ma. A może... **piwa się Pan napije?**

PS.

Jakiś miesiąc później ponownie odwiedziłem prof. Falandysza. Miałem pecha, jego

żona Basia znów wyjechała. Ale na stole w saloniku czekało małe przyjęcie. Ciasto, elegancka zastawa, sztućce, serwetki. **I czekała też gorąca kawa... w termosie.**

A teraz z innej beczki. Zapraszają Was do udziału w radiowej dyskusji? Nerwy, prawda?

## Do czego służy spinacz?

**P**ostać polskiej polityki nieco już zapomniana, a niegdyś bardzo barwna. Enfant terrible polityki, twórca i szef KPN – Leszek Moczulski. Lubił media, komfortowo dla nas – dziennikarzy – zawsze przyjeżdżał chętnie do radiowego studia.

Siadamy w studiu obok siebie, zapala się czerwona lampka, zaczyna się program na żywo. Moczulski rozmawiając bawi się trzymanym w ręce długopisem. Tuż pod mikrofonem naciska przycisk. Pstryk, pstryk... Nieznośnie pstrykanie słyszę ja, bo mam na głowie słuchawkę. Słyszą też oczywiście słuchacze... Ale nie słyszy tego gość. W końcu nie przerywając rozmowy wyluskuję długopis z ręki posła. Patrzy zdziwiony, pokazuję mu na migi, w czym rzecz. Kiwa ze zrozumieniem głową.

Głowa głową, ale ręce wyraźnie potrzebują zajęcia. Przy redakcyjnym stole były wtedy takie małe wieszaki na słuchawki połączone z wyłącznikami. Powieszenie słuchawek powodowało, że pod ich ciężarem ugiął się wieszak i działał wyłącznik, żeby zdjęte słuchawki nie sprzągały się z mikrofonem. Fantastyczna zabawka! Ręka wędruje na ów wyłącznik. Pyk, pyk... W moich uszach mam raz ciszę, raz głos posła. Nie do wytrzymania. Gość dostaje delikatnie po łapach. Znów na migi pokazuję mu, że nie wolno. Kiwa ze zrozumieniem głową. Ale ręka wciąż szuka...

I znajduje. Pod tym wyłącznikiem jest jeszcze pokrętko – potencjometr do regulacji głośności słuchawek. Bomba! Jest czym pokręcić. Do oporu w jedną i drugą stronę. A ja mam w uszach na przemian ciszę i eksplozję rozkręconych „na full” słuchawek...

Wreszcie koniec, wychodzę zmęczony, z bolącą głową. Ktoś z ekipy towarzyszącej posłowi kiwa głową ze współczuciem:

– Zapomnieliśmy panu powiedzieć. Spinacz, zamyk redaktorze. My już to mamy opracowane. Przed każdym wystąpieniem publicznym trzeba dać Szefowi kilka spinaczy. Wygina je, łamie, to spokojnie wystarczy na dwie godziny. **Koszt niewielki, a zero hałasu...**

Uwzględnijcie ten wydatek w kosztach materiałów biurowych. Naprawdę pomaga. Natomiast raczej nic nie pomoże w sytuacji, w jakiej znalazł się inny mój rozmówca w radiowym studiu...

## Ponury Jacek

**D**o radiowego studia wchodzi Jacek Kuroń. Pamiętacie go chyba wszyscy jako kipiącego energią gadułę? A tu faacet siada, ponury, coś odpowiada półgębkiem, krótkie zdania... Przy pierwszej muzycznej przerwie nie wytrzymałem:

– Panie Jacku, co się stało? Umarł ktoś?  
– Nie. Tylko jak wchodziłem do radia, chciałem w biegu przegryźć hamburgera. I sztuczna szczeka pękła. Na dwie części!

Tego nikomu nie życzę. Nie ma dobrego wyjścia z takiej sytuacji...

Więc na koniec już z całkiem skrajnie innej parafii. Wybory samorządowe dopiero za trzy lata, ale zawsze warto uczyć się od tych, którym się udało...

## Zmarnowana szansa

**T**en sam wyjazd do Warszawy na wywiad z Aleksandrem Kwaśniewskim, o którym już pisałem powyżej „w temacie” kawy. Ale dzień wcześniej. Bo tak mnie umówił sztab wyborczy. Zabrałem ze sobą żonę. Chciała na własne oczy zobaczyć „wielkich” ówczesnej polityki...

Przyjeżdżamy o godz. 16.00 na Rozbrat, ale kandydat Kwaśniewski jeszcze jest gdzieś w drodze, na jakimś kolejnym spotkaniu, gdzieś w Polsce. Powrót się opóźnia, mijają godziny. Coraz bardziej wściekli siedzimy w tamtejszej restauracji (wszak budynek przy ul. Rozbrat jest hotelem). Zbliża się 20.00, przed nami rysuje się perspektywa nocnego powrotu samochodem (wszak nie wiadomo, kiedy kandydat wróci), a – co gorsza – za oknami gęstnieje mgła... Nagle za plecami słyszę: – Dobry wieczór Państwu. – Odwracam się i widzę nad sobą skład, jak z ówczesnych Wiadomości TV: Danuta Waniek, Zbigniew Siemiątkowski, Krzysztof Janik. Niezła reprezentacja przyszła z przeprosinami i... propozycją:

– Proszę Państwa, z powodu mgły powrót się opóźnił. Pan Przewodniczący jest bardzo zmęczony, a i dla Państwa powrót w taką pogodę będzie strasznym wysiłkiem. Pan Przewodniczący proponuje nocleg w hotelu na koszt Komitetu Wyborczego i jutro rano wywiad bez ograniczeń czasowych.

Dla mężczyzny niespodziewany nocleg jest tylko niewielkim problemem, ale dla nieprzygotowanej kobiety? W końcu jednak się zgadzamy. W pięć minut mamy do dyspozycji biuro z telefonami i faksem, żebyśmy mogli zawiadomić kogo trzeba, że zostajemy dzień dłużej. To jeszcze nie była epoka powszechnych komórek. Potem szefowa od spraw organizacyjnych Komitetu Wyborczego prowadzi nas korytarzami hotelowymi. Nagle dyskretnie odwołuje na bok moją partnerkę. Szepczą coś dłuższą chwilę...

W końcu zostajemy sami w pokoju.

– Co ona od ciebie chciała? – moja ciekawość nie wytrzymała.

– Powiedziała, że ona jako kobieta rozumie moją nagłą sytuację i... zapytała, czy mam bieliznę na zmianę. Bo jak nie, to ona zaraz coś załatwi.

– I co jej powiedziałas???

– Powiedziałam, że bardzo dziękuję, ale jakoś dam sobie radę.

Przez lata nie mogłem żonie darować, że zmarnowała taką szansę. Mogła być chyba jedyną w historii kobietą, która dostała... majtki od komitetu wyborczego Prezydenta Rzeczypospolitej...

Obyście tylko takie problemy mieli w czasie Waszych kampanii wyborczych!

*Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.*



## Śląski skarb wodny

JOLANTA KARMAŃSKA

**Klimat się zmienia. Pogoda szaleje. Nawalne deszcze, katastrofalne powodzie, długotrwałe susze, huraganowe wiatry czy nawet trąby powietrzne musimy trwale wpisać w nasze polskie scenariusze. Od ataku żywiołów nie ma ucieczki. Trzeba stawić im czoło. Strategicznie.**

**Jednym z czołowych elementów takiej strategii w dużych miastach, aglomeracjach jest bezpieczeństwo dostaw dla milionów ludzi, gospodarki – dobrej wody. Coraz częściej w warunkach ekstremalnych.**

**Jesteśmy na Śląsku na to przygotowani?**

Jeszcze w latach 70. i 80. ub. wieku ze względu na przestarzały, wodochłonny przemysł, słabą infrastrukturę, wodę trzeba było czasowo reglamentować. Dziś warunki się zmieniły, ale... Z powodu ocieplającego się klimatu będzie jej mniej z powodu większego parowania i zakłóceń w obiegu.

Pokazał to obecny, 2015 rok, rekordowy pod względem wzrostu temperatury, gdy poziom wody w Wiśle, opadł do stanu najniższego od ponad 200 lat! Niektóre duże miasta borykały się z niedoborem wody, niezbędnej do codziennego użytku.

Aglomeracja Górnośląska, znacznie lepiej niż inne regiony, obroniła się przed suchą w kranach. Zawdzięcza to głównie dostawcy wody dla przemysłowej aglomeracji – Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Wodociągów SA, który zarządza tworzoną przez dziesięciolecia na przemysłowym Śląsku „elastycznym” systemem zaopatrzenia regionu w wodę.

Dla prezesa GPW SA, Łukasza Czopika ten coraz sprawniejszy, także w warunkach zagrożenia żywiołami system, to prawdziwy śląski skarb wodny. Tworzy go ponad 1000-kilometrowa magistrala, oplatająca największe miasta w regionie, kilkanaście ujęć wody i nowoczesnych zakładów jej uzdatniania, najnowocześniejsze laboratorium badawcze oraz zbiorniki retencyjne na rzekach. Niezastąpione i w czasie powodzi i podczas suszy. To Goczałkowice na Wiśle, Kozłowa Góra na Brynicy oraz te zbudowane na Sole, tworzące jej kaskadę. I wybudowany na potrzeby huty „Katowice” zbiornik Dzieńkowice, z którego GPW SA w Katowicach również korzysta.

To ogromne gospodarstwo wodne sprawdziło się i podczas powodzi w 2010 roku, gdy dzięki zbiornikom w Goczałkowicach i Kozłowej Górze udało się zredukować ogromną falę powodziową o 70 procent. Także w ubiegłym roku, gdy zbiornik

goczałkowski spłaszczył falę powodziową o połowę.

Kolejnym testem było zaopatrzenie aglomeracji katowickiej w wodę, podczas tegorocznej, letniej i jesiennej suszy. Zwykle Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów czerpie wodę w większości z Soly, przymujacej jej nadmiar z beskidzkiego, deszczowego dorzecza. Wiosną i latem zawsze było jej w nadmiarze. Rozlewała się niebezpieczną falą powodziową nie tylko po okolicy. To dlatego przed laty postanowiono Solę ujarzmić, budując na niej kaskadowo system zaporowych zbiorników. To Porąbka, Tresna i Czaniec z ujęciem wody pitnej oraz utworzony na górze Żar zbiornik dla potrzeb energetycznych.

Ostatnia, letnia susza tę rwącą zwykle rzekę pozbawiła wody. Z lotu ptaka widać to najlepiej. Z czanieckiego ujęcia trzeba było czasowo zrezygnować. W tej sytuacji ratunkiem dla śląskiego systemu zaopatrzenia w wodę znów okazały, jak podczas powodzi, zbiorniki retencyjne.

I tym razem śląski system zaopatrzenia ludności w wodę pitną, pochodzącą od głównego jej dostawcy – Górnośląskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów, nie zawiódł. Nie zabrakło jej w kranach nawet w czasie zwiększonego na nią zapotrzebowania.

Jedynym problemem, który dotknął m. in. mieszkańców Bytomia, było jej zabrudzenie resztkami osadów, wypłukiwanych ze starych, zbyt długo nie wymienianych, rur wodociągowych.

Nawet przy przedłużającej się suszy, nie ma obaw, by blisko 3,5 milionom mieszkańców korzystającym z systemu zaopatrzenia GPW SA mogło wody zabraknąć. I choć mniej jest jej w Sole, nawet te uszczuplone w rezerwuarze wody pitnej za-



*W potężnym zbiorniku goczałkowickim, mimo suszy, wody dla Śląska wystarczy*



soby w Goczałkowicach i w Kozłowej Górze wystarczą na co najmniej 300 dni.

System zaopatrzenia w wodę mieszkańców regionu przez GPW SA w Katowicach, oparty głównie o jej pobór z wód powierzchniowych (wody podziemne tylko go w 20 proc. uzupełniają) jest elastycznie sterowalny. Umożliwia przekierowanie wody z jednego krańca województwa na drugi. Także w sytuacji, gdy w małych pojedynczych ujęciach gminnych, w okresie suszy, wody zaczyna brakować bądź zdarzy się awaria.

Woda pochodząca z ujęć Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Wodociągów SA jest najwyższej jakości. Nawet wtedy, gdy obniża się jej poziom w rzekach i zbiornikach. Czuwa nad nią jedno z najnowszych w kraju nowe, katowickie laboratoria badania wody.

Dysponujące ponad dwudziestoma pomieszczeniami badawczymi, wyposażone w urządzenia na światowym poziomie, prowadzi dokładne badania wody na każdym etapie jej produkcji. M.in. w doskonale wyposażonych pracowniach badań fizykochemicznych: chromatografii jonowej, cieczowej, gazowej, technik klasycznych, absorpcji atomowej oraz spektrometrii ICP. Także w dużej pracowni analiz mikrobiologicznych i hydrobiologicznych oraz analiz sensorycznych, gdzie wykonuje się oznaczanie zapachu i smaku wody.

Oprócz badania wody przeznaczonej do picia, badana jest też jakość wód powierzchniowych, woda ciepła, ta ze studni głębinowych, przydomowych, kąpielisk oraz ścieki.

W tym laboratorium sprawdzane są nie tylko wszystkie parametry wody do picia, wskazane w rozporządzeniu ministra zdrowia. Nowy sprzęt pozwala rozszerzyć gamę badań, ponad standardy. Dotyczy to

metali, wielopierścieniowych węglowodórów aromatycznych, pestycydów czy substancji ropopochodnych. Można tu również oznaczać wszystkie pierwiastki z tablicy Mendelejewa.

Znakomicie wyposażone laboratorium GPW SA, jak w kryminalistyce, może też stosować technikę mikrośladów do wykrywania skażeń nawet przy bardzo niskich stężeniach. To nowa epoka w badaniu jakości wody!

Dzięki funduszom unijnym w Polsce, Śląsk z powodzeniem nadrabia zaległości w gospodarce wodno-ściekowej. Postęp jest duży, ale...

Minęło dokładnie 26 lat transformacji ustrojowej. I... nie doczekaliśmy się dotąd w Polsce, ubogiej w zasoby wód słodkich pilnie potrzebnej, kompleksowej reformy gospodarki wodnej. Na miarę wyzwania przyszłości.

Zbyt długo konsultowany dokument „Polityka wodna państwa do roku 2030” do dziś nie doczekał się finału. Nie możemy mówić ani o powszechnym dostępie Polaków do czystej i zdrowej wody. Ani wystarczającym przygotowaniu się do zapobiegania skutkom, wywołanym przez powódzie i susze. Ani utrzymywaniu dobrego stanu wód z ich ekosystemami (dotąd nie mieścimy się, w większości przypadków, w normach unijnych). Zła struktura zarządzania wodami sprawia, że dysproporcje regionalne, także w tej sferze, są duże. A przecież woda, tak jak powietrze, nie uznaje granic.

Nadal nie spełniamy wymagań Ramowej Dyrektywy Wodnej, nie mamy akceptowalnych przez Komisję Europejską planów gospodarowania wodami... Z tymi uchybieniami, wieloletnimi opóźnieniami, złym zarządzaniem w tej dziedzinie, niechlujstwem prawnym i organizacyjnym,

sprawa polskiej gospodarki wodnej trafiła do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Grozi nam nie tylko kara.

Znacznie dotkliwsze może okazać się wstrzymanie unijnego dofinansowania dla naszych kosztownych inwestycji, związanych z infrastrukturą wodną. Jest to skutek bagatelizowania przez rząd i parlament polskiej polityki ochrony środowiska, potrzeby stworzenia strategicznych dla kraju, a nie tylko regionalnych czy lokalnych rozwiązań dla gospodarki wodnej!

Trzeba to sobie uświadomić. I odpowiedzieć na wiele pytań. Jak najlepiej dbać o wodę w województwie śląskim przy braku krajowej strategii: lokalnie czy regionalnie? Jak wodę oszczędzać? Jak sprawić, by była tańsza i dla ludzi i dla przemysłu? Skąd brać pieniądze na utrzymywanie w dobrym stanie infrastruktury wodnej? Co zrobić, by zasoby wód powierzchniowych i podziemnych były czystsze, a zdrowa woda konsumpcyjna była dostępna w każdej gminie? I wreszcie jak planować, wpisywać się w niejasny, nieracjonalny model gospodarowania wodami naszego kraju, by uniknąć strat i zrobić w tej dziedzinie coś pożytecznego?

Odpowiedzi na te i podobne pytania pały w końcu września br., na Uniwersytecie Śląskim podczas konferencji „Bezpieczeństwo zaopatrzenia w wodę przeznaczoną do spożycia przez ludzi w województwie śląskim, w perspektywie pięciu, dziesięciu, dwudziestu lat”, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Śląski Klaster Wodny. Z udziałem naukowców UŚ, specjalistów gospodarki wodnej, Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, Polskiej Izby Ekologii oraz Górnośląskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów. ■



Zdjęcia: Janusz Moczulski

Już nie wartki, lecz płytki nurt Soły uniemożliwił w trakcie suszy pobór jej wód do celów konsumpcyjnych



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

# Jubileusze z Różewiczem

TEATR

Sezon 2015/2016 rozpoczął się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie mocnym akcentem. Z okazji 50-lecia pracy artystycznej oraz 70. urodzin Henryka Talar przygotowano spektakl *W starych dekoracjach* na podstawie prozy Tadeusza Różewicza w reżyserii i adaptacji Igora Gorzkowskiego. W roli głównej wystąpił Jubilat, który postanowił świętować razem ze swoim dawnym zespołem, w miejscu, gdzie jak podkreślał w wywiadach, „było najtrudniej”. Również tym spektaklem podczas inauguracji 9. Przeglądu Przedstawień Istotnych „Przez dotyk” jubileusz 25-lecia pracy artystycznej świętowała Małgorzata Marciniak.

Henryk Talar zarządził częstochowskim teatrem w latach 1994–1997. W tym czasie zespół przygotował 24 premiery, m.in. *Lot nad kukulczym gniazdem* z Markiem Perepeczką, *Balladyne* w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, *Bestię i Piękną* Stanisława Grochowiaka w reż. Jarosława Kiliana, *Horsztyńskiego* w reżyserii i scenografii Pawła Wodzińskiego czy *Lysą śpiewaczkę* w reżyserii Henryka Talara. Ale okres dyrektorowania trudno zamknąć w liczbie premier. Był to czas niedoboru publiczności w częstochowskim teatrze, gdy na *Bachantki* Eurypidesa w reżyserii Pawła Łysaka przychodziło zaledwie kilka osób. Dyrektor wraz z zespołem musieli więc zadbać przede wszystkim o rozpropagowanie wśród mieszkańców mody na teatr. Ważny był więc nie tylko artystyczny poziom, ale może jeszcze bardziej wartość zdarzeniowa pozycji repertuarowych, budowanie wspólnoty teatralnej.

Jubileuszowym spektaklem Talar i Gorzkowski przypomnieli, jak budować nie tylko dobre przedstawienie, ale jak docenić lokalność, nie sprowadzając jej do prowincjonalności. Panowie współpracowali wielokrotnie; przygotowywali m.in. *Polowanie na łosia* w Teatrze Narodowym czy *Burzę* w Studiu Teatralnym Kolo, którą także można było zobaczyć w Częstochowie podczas tegorocznego PPI. Spektakl zbudowany z fragmentów prozy i wierszy Różewicza, poety urodzonego w pobliskim Radomsku, który po II wojnie światowej przebywał w Częstochowie, a potem nieco pokpiwał z miejscowych literatów, niemal dosłownie oddawał sytuację jubilata. Oto bohater wracał, by w starych dekoracjach podsumować swoje życie. Tekst Różewicza został uzupełniony przez realizatorów. Dopisano m.in. zabawną scenę wynajmowania pokoju w pensjonacie, która w opowiadaniu *Śmierć w starych dekoracjach* zajmuje zaledwie kilka zdań.

W spektaklu Talar pojawia się jakby nieco przed czasem. Można go zobaczyć w głębi sceny, zanim jeszcze zabrzmie trzeci dzwonek. Człowiek z walizką w luźnym garniturze jest trochę zagubiony w obcym świecie. Wreszcie wchodzi na salę od strony widowni, wita gości, pozwala obsłudze wpuścić dwie spóźnione kobiety, które tłumaczą się rozbrajająco:

„lepiej się spóźnić niż w ogóle nie przyjść”, a w trakcie przedstawienia sprzedaje róże mężczyznom na widowni, by zachęcić publiczność do interakcji.

Niemal od początku bohaterowi towarzyszy młody człowiek, częstochowianin Mateusz Trzmiel. Jest to może alter ego głównej postaci, jego młodzieńcza wersja, a może ucieleśniony pierwiastek poetycki. Początkowo siedzi na brzegu sceny i swoją postać kreuje wyłącznie monologiem wewnętrznym – słucha, rozgląda, dziwi się. Wraz z trwaniem przedstawienia staje się coraz aktywniejszy – tańczy z kobietą podłotkiem, a w finale, gdy zostaje sam z głównym bohaterem już niemal na pustej scenie deklamuje wiersz o wodzie.

W spektaklu występują również: Maciej Półtorak odgrywający recepcjonistę włoskiego hoteliku, który nie rozumie, kiedy trzeba, nie pozwalając jednak wymknąć się dobrej okazji z rąk, oraz siedem aktorek. *Pokojówka*, Sylwia Karczmarczyk, która podobnie jak Półtorak posługuje się językiem włoskim i jest to jeden z komicznych momentów spektaklu, tzw. sytuacja cudzoziemca, i sześć kobiet z życia bohatera, obecnych w rzeczywistości lub tylko we wspomnieniach, m.in. malarka, rzeźbiarka, piosenkarka, matka, to prawdziwy popis kobiecej części częstochowskiego zespołu. Na scenie pojawiają się: Teresa Dzielska, Agata Ochota-Hutyra, Iwona Chołuj, Małgorzata Marciniak, Agnieszka Łopacka, Cecylia Putro. Każda z nich jest inna, określona niepowtarzalnym gestem i zachowaniem. Nieco przerysowana jest kobieta podłotek odgrywana przez Agnieszkę Łopacką, określona za pomocą wzmrożonego ruchu i śmiechu. Jako ostatnia pojawia się matka ze swoimi wspomnieniami, by opowiedzieć o młodości syna. Obserwujemy jej zbliżanie się do śmierci, moment odejścia i dręczące Bohatera wyrzut sumienia, że nie zdążył zrealizować obietnic i nie pokazał matce ani morza, ani gór, ani ważnych dla siebie miast.

Przedstawienie zbudowane jest na kontrastach. Obok elementów komicznych proponuje refleksję i zadumę nad światem, obok fragmentów erotycznych występuje poezja, nastrojowa gra światłem i muzyka Piotra Tabakiernika. Bohater z równym zaangażowaniem opowiada o pierdołach, np. o srającym gołębiu, by za chwilę zdobyć się na niezwykłe krytyczną i trafną ocenę świata. Umiejętność połączenia skrajności, dostrzeżenia złożoności świata były dla Różewicza czymś najważniejszym,

co wypowiadał choćby w *Śmierci w starych dekoracjach*: „Człowiek, który zna tylko jedną stronę medalu, jest człowiekiem niedorodnym, a często nawet hipokrytą. Patrzymy bez zmużenia oka na obie strony medalu każdej rzeczy, każdego zjawiska, każdej osoby”.

Bohater podczas spotkania z pieśniarką (Iwona Chołuj) prowadzi bląhą rozmowę, a jednocześnie relacjonuje widzowi swoje myśli. Twórcy spektaklu podobnie jak Różewicz nie próbują bowiem ograniczyć życia do jakiejś jednorodnej struktury, ale zestawiają odmienne sceny połączone głównym, w dodatku podwojonym, bohaterem. W obcym świecie, a wrażenie to spotęgowane zostało jeszcze niezrozumiałym językiem zostaje on dopadnięty przez przeszłość, a może dobrowolnie wychodzi jej naprzeciw?

Może właśnie wspomnienia i przeszłość tworzą dekoracje, stare jak Bohater. A może tytułowe dekoracje to np. sposób postrzegania świata, uzależniony od obowiązującego światopoglądu, od wykształcenia, pochodzenia i wiele innych czynników. Na scenie dekoracje (scenografia Jan Polivka, kostiumy Magdalena Dąbrowska) są niezmiennie przez większą część spektaklu. W finale okazują się ruchome, a po ich usunięciu pozostają gołe ściany. Scena odarta z realistycznej scenografii nabiera monstualnych nieco kształtów.

Oczywiście, spektakl wykorzystuje rozmaite interteksty – literackie i teatralne. Łóżko w pensjonacie można przecież zestawiać z sytuacją bohatera *Kartoteki*, który wciąż leży. W częstochowskim przedstawieniu to przecież jeden z dominujących gestów, Talar kładzie się na łóżku albo na podłodze. Jednak inaczej niż w *Kartotece* koncentrując się na relacjach intymnych, opowiada o sobie, swoim rozumieniu świata, ale także spotkaniach z kulturą, np. zapis wizyty w muzeum. Najważniejsza jest bowiem potrzeba wypowiedzenia siebie i zbudowania opowieści o świecie za pomocą różnych rejestrów. A Henryk Talar jest przecież mistrzem w posługiwaniu się słowem.

Na jubileusz dawnego dyrektora stawili się częstochowscy i warszawscy przyjaciele. Aktor został odznaczony Złotą Odznaką Honorową za zasługi dla województwa śląskiego oraz medalem Merentibus. Od przyjaciół otrzymał natomiast książki – od Łukaszewicza: *Rozważania* Marka Aureliusza, *Morfine* Szymona Twardocha, *Sebastiana albo wszechwładne namiętności* Lawrence’a Durrella, a także *Makbeta* w przekładzie Antoniego Libery. Natomiast Emilia Krakowska podarowała mu książkę o muminkach.

JOANNA WAROŃSKA

*W starych dekoracjach wg tekstów Tadeusza Różewicza. Adaptacja i reżyseria: Igor Gorzkowski, scenografia: Honza Polivka, kostiumy: Magdalena Dąbrowska, muzyka: Piotr Tabakiernik. Premiera 19 września 2015 r. Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie.*

W Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach możemy zobaczyć spektakl niezwykłym, szalonym, kolorowym, rozbrykanym, rozśpiewanym, pełnym radości i... smutku; krzykliwym i cichuteńkim, nostalgicznym, wywołującym salwy śmiechu i łzy. Mistrzowską ręką poprowadził go doskonale znany polskiej publiczności dramaturg, aktor i reżyser Nikolaï Kolada. Na teatralny afisz trafiło wielkie klasyczne dzieło światowej literatury „Ożenek” Nikolaïa Gogola. Treść znamy wszyscy, chociaż na katowickiej scenie niejedno nas zaskoczy, nie byłby Kolada sobą, gdyby co nieco nie dopisał.

– Znać? No nie wiem, ja opowiem wam Gogola po swojemu – zdaje się mówić twórca przedstawienia. – *Dla mnie najważniejsza w tym spektaklu nie jest historia Podkolesina, który w końcu zdecydował się ożenić (fabułę i finał – „skok przez okno” przed narzeczoną zna każdy uczeń) a raczej rozmyślania o Rosji, zagadkowej rosyjskiej duszy. „O Ruś – trojka! Dokąd tak pędzisz?”, „Kto jest winien? i „Co robić?” – te odwieczne rosyjskie pytania przez śmiech i łzy zadają sobie wszyscy bohaterowie spektaklu, (...) Dokąd tak pędzimy? – napisał Nikolaï Kolada w teatralnym programie. Bohaterką jego „Ożenku” nie jest Agafia Tichonowna – panna na wydaniu, ani Fiołka Iwanowna – swatka, ani nawet przeżabawni pretendenci do ręki podstarzałego dziewczęcia. Bohaterką przedstawienia jest Rosyjska Dusza. Na pytanie: „dokąd pędzimy?” – reżyser odpowiedział w scenie finałowej. Podkolesin nie ucieka przez okno, on ucieka do grobu...*

Teatralnie spektakl jest w najdrobniejszym szczególe doskonały. Każda scena spuentowana perfekcyjnie. Uczta dla oczu i skołatanej słowniańskiej duszy. Kto raz trafi na ten fajerwerk reżyserskich pomysłów, zapragnie przeżyć raz jeszcze tę teatralną rozmowę, która jest sensem i podstawą każdego żywego teatru. „Ożenek” w reżyserii Kolady to jedno z niewielu przedstawień, które można oglądać wielokrotnie i za każdym razem odkrywać nowe treści. Intelktualny cymes!

Niebagatelny wkład w sukces arcydzieła Gogola na śląskiej scenie wniosła autorka nowego, znakomitego przekładu Agnieszka Lubomira Piotrowska, udowodniła, że czas, w którym żyjemy zasługuje na swój przekład. Przywołam w tym miejscu słowa tłumaczki: *W tradycji anglosaskiej każda generacja otrzymuje nowe tłumaczenia wielkich dzieł klasycznych. Jest to spowodowane tym, że przekłady starzeją się szybciej niż dzieła oryginalne. Nawet nie ze względu na odmienną ewolucję języka, lecz z powodów stylistycznych.* Nic dodać, nic ująć! Jakub Lewandowski stworzył najzabawniejszą choreografię, jaką widziałem. Najwspanialsze



Fot. Krzysztof Lisiański/Teatru Śląskiego

## Opowiem wam Gogola po swojemu

TEATR

pomysły nie wypaliłyby, gdyby nie cudowny zespół aktorski, który poddał się tym genialnie charakteryzującym postaci krok, krocikom, podskokom i zawirowaniom. Najwyższe słowa uznania.

Jak wspominałem, nie byłoby tej wspaniałej teatralnej uczty bez aktorów i tu powtórzę po raz kolejny swoje ulubione powiedzonko: „Kochajmy teatr mimo wszystko a artystów nade wszystko!”. Jak ich nie kochać? Dają nam siebie niejako w prezencie, wymyślnym torturom poddają ciało, dręczą własną duszę i to wszystko z miłości do sztuki. Najsympatyczniejszą postacią wykreował Marek Rachoń. *Podkolesin, urzędnik, radca dworu* to leń, jakiego świat nie widział, rozpieszczony przez służbę (dosłownie!) do granic wytrzymałości. Jemu naprawdę nie się nie chce, a co dopiero żenić. Szczuplutki, słabiutki. Jakże on cudownie mdleje, ale tylko wówczas, kiedy może wpaść w silniejsze ramiona... Grażyna Bułka (*Agafia Tichonowna, córka kupca, panna na wydaniu*) to kobitka niczego sobie, czasem delikatne dzieciątko („bo ja jestem taka mała”), lalkami się pobawi, ale tęskni za całkiem innymi zabawkami a czas ucieka, potrafi huknąć tak, że szyby z okien lecą. Panna więcej niż starsza, ale posażna i bardziej strachliwa o los dóbr doczesnych niż o swój własny. Ostatni dzwonek do żeniaczki właśnie cichnie... Pogrubiona ponad miarę ze swoim adoratorem (tym szczupluteńkim) tworzą niezapomniany duet w scenie „miłosnej” – palce liżać i... obgryzać ze śmiechu. Jak tu nie kochać Grażyny Bułki? Ewa Leśniak (*Fiołka Iwanowna, swatka*) nakręca maksymalnie tę szaloną karuzelę, bywa pomiatana, ale i tak wszystkim i wszystkim rządzi, szaleje po scenie niczym osiemnastka. Wielkie brawa i najwyższy szacunek. Pierwszą recenzję w życiu poświęciłem Ewie

czego jemu ma być lepiej niż mnie... Postać dwuznaczna, co innego mówi, co innego myśli a jeszcze co innego robi. I takim go lubimy w dzisiejszych czasach, choć nie powinniśmy. Michał Piotrowski (*Stiepan, służący Podkolesina*) kolejny raz udowadnia, że w teatrze nie znalazł się przypadkowo, to sceniczny diament wymagający jeszcze niejednego szlifu. Powiedzieć o stworzonej przez niego postaci – nieuczciwa, to nic nie powiedzieć. Oblesna przytulajka? – też nie! W scenie miłosnej z Aliną Chechelską był równorzędny partnerem. Wielkie brawa. Kandydaci do ręki *Agafii* bawili i wzruszali: Jerzy Głybin jako *Zewakin, młynarz*, Antoni Gryzik (*Jajecznicza, egzekutor*), Jerzy Kuczera (*Anuczkin, emerytowany oficer piechoty*) – każdy inny, każdy z własnym układem choreograficznym będącym wyborną charakterystyką postaci. Przed zespołem aktorskim Teatru Śląskiego chylić czoła jak najniżej.

Nie mogę pominąć ogromu pracy Anny Tomczyńskiej (scenografia, wspólnie z Nikolaïem Koladą) – wielki szacunek za zabawę z folklorem i za to, że nie bała się kiczu. Wszystko przemija a sztuka ludowa, jak słusznie artystka zauważyła „to sztuka sprawdzona przez wieki i zawsze będzie ciekawa”. Muzyka, którą tak pięknie spektakl ozdobił sam reżyser, gra nam w uszach jeszcze długo po wyjściu z teatru.

WITOLD KOCIŃSKI

Nikolaï Gogol *Ożenek*, reżyseria i opracowanie muzyczne: Nikolaï Kolada, przekład: Agnieszka Lubomira Piotrowska, scenografia i kostiumy: Anna Tomczyńska, Nikolaï Kolada, choreografia: Jakub Lewandowski. Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Premiera: 23 października 2015.

Miejska Biblioteka Publiczna w Bytomiu, działając w sektorze kultury, znajduje się w stanie ciągłej transformacji i reaguje na przeobrażenia otaczającego ją środowiska. Realia potwierdzają, że – aby istnieć – powinna ciągle podejmować kolejne wyzwania, mieć nowe aspiracje, a przede wszystkim nie może obawiać się zmian. Dlatego działania bytomskiej księżnicy są odpowiedzią na kulturowe mechanizmy współczesnych czasów. Czytelnik – użytkownik biblioteki – jest coraz bardziej wyedukowany, nastawiony na technologiczne nowinki, spragniony przestrzeni do swobodnej wymiany myśli, wspólnych spotkań i rozmów. Stąd też biblioteka nie może być już tylko nastawiona na tradycyjne usługi (wypożyczanie książek), ale musi skutecznie oddziaływać na potrzeby kulturalne lokalnej społeczności.

Pierwszym i jakże ważnym krokiem jest stworzenie indywidualnego alfabetu instytucji, który będzie ścieżką w dążeniu do zamierzonych celów, a także odpowiedzią na zmiany w otoczeniu.

**S jak strategia.** To mapa, zgodnie z którą należy kroczyć. Zawiera plany, cele oraz najważniejsze obszary, w których powinna się specjalizować biblioteka. Dobra strategia pozwoli stworzyć instytucję otwartą, przyjazną dla jej użytkowników, będącą przestrzenią rozbudzania aktywności, interakcji, miejscem, do którego chętnie się przychodzi, a jeszcze chętniej powraca.

**L jak ludzie.** To od nich wszystko się zaczyna. Nie od dziś wiadomo, że to główna siła napędowa instytucji. Można śmiało powiedzieć, że są filarem biblioteki, bo to przecież oni pracują na jej sukces. Wszyscy! Niezmiernie ważną rolę odgrywają liderzy instytucji, którzy kreują jej pozytywny wizerunek, tworzą nowe projekty, szybko reagują na ciekawe zdarzenia, mogące sprzyjać promocji placówki.

**A jak atut.** Mało kto uważa, że biblioteka może być konkurencyjna dla innych instytucji działających w jej otoczeniu. A jednak może... Warto sobie uświadomić, że nasze działanie wyróżnia nas na tle innych organizacji. Cechuje nas powszechna dostępność do informacji, wiedzy, wszechstronny wachlarz bezpłatnych usług skierowanych do wszystkich grup, a realizowane przedsięwzięcia przyczyniają się do niwelowania barier społecznych. W bibliotecznych zasobach – oprócz tradycyjnych książek

**B**  
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA  
BIBLIOTEK



Akcja promująca czytelnictwo na Rynku w Bytomiu

Miejska Biblioteka Publiczna w Bytomiu

## Nowe kierunki rozwoju

– możemy znaleźć audiobooki i nośniki nowych mediów.

**D jak dialog.** Biblioteka, działając w przestrzeni publicznej, musi dostrzegać i spełniać oczekiwania swoich użytkowników. Nasz „klient” chce rozmawiać, mówić głośno o swoich poglądach, potrzebach, komunikować, co mu się podoba, a co należałoby zmienić. My natomiast powinniśmy umiejętnie słuchać i uwzględniać sugestie naszych odbiorców. Należy je przyjąć jako cenne wskazówki i drogowskazy do dalszych działań.

**M jak mentalność.** Jej zmiana to chyba jedno z najtrudniejszych zadań. Nielatwo walczy się ze stereotypami, które są głęboko zakorzenione w ludzkiej świadomości. Wiele osób nadal uważa bibliotekę za nieatrakcyjne miejsce, w którym nic się nie dzieje, a znużona pani bibliotekarka wypożycza nieinteresujące, zakurzone książki. Jeżeli ktoś tak nadal myśli, to znak, że już dawno nie od-



Wspólna lektura Lalki Bolesława Prusa – w ramach Narodowego Czytania (2015).

wiedział żadnej z bibliotek. Aby to udowodnić, przedstawiam kilka przykładów dobrych praktyk (projektów), które uatrakcyjniają repertuar usług realizowanych przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Bytomiu.

Bytomska biblioteka udostępnia przestrzeń wystawieniową (Galeria Rotunda), która skupia osoby pasjonujące się fotografią, malarstwem i rzeźbą. To miejsce promujące artystów amatorów, a także profesjonalnych twórców, również z zagranicy. Wypożyczalnia Literatury dla Dzieci i Młodzieży organizuje wiele ciekawych działań edukacyjno-kulturalnych. Przykładem są warsztaty dziennikarskie „Akapit” przyciągające młodzież zainteresowaną tajnikami dziennikarstwa. Spotkania mają charakter aktywnych zajęć, podczas których młodzi ludzie piszą, przeprowadzają wywiady, żywo uczestniczą w tworzeniu swojego dzieła. Biblioteka wraz z Urzędem

Miejskim w Bytomiu zorganizowała spotkania edukacyjne „Odkryjmy razem Unię Europejską” ze specjalnym udziałem reprezentanta Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Celem przedsięwzięcia było przybliżenie młodym ludziom tematyki unijnej. Informatorium biblioteki kupia się na budowie i rozwoju społeczeństwa informacyjnego. Udziela indywidualnych konsultacji dotyczących wykorzystania Internetu w codziennym życiu. Systematycznie organizuje warsztaty dla osób dorosłych, wprowadzając je w tajniki wirtualnego świata i osuwając z nowoczesnymi technologiami.

Jeden z ważniejszych celów strategicznych stawianych przed Miejską Biblioteką Publiczną to rozwój zewnętrznej komunikacji. Działaniem priorytetowym w tym przypadku jest przepływ informacji do środowiska i skuteczne dotarcie do opinii publicznej. Biblioteka podejmuje szereg inicjatyw o społecznym charakterze: organizuje konferencje, happeningi, eventy, gry miejskie, spotkania z ciekawymi ludźmi, hobbystami. Wszystko po to, aby sprostać oczekiwaniom swoich obecnych i przyszłych użytkowników. Biblioteka w Bytomiu – jako instytucja nieustannie ucząca się – pragnie tworzyć interaktywne relacje, przełamywać schematy i przyzwyczajenia, a przede wszystkim kreować przyjazną przestrzeń, w której każdy znajdzie to, czego szuka.

BOGUSŁAWA WNĘK-ZYCH



Podczas otwarcia wystawy: autor Zbigniew Sawicz (z lewej) i rektor AM prof. dr hab. Tomasz Miczka



## Henryk Mikołaj Górecki w fotografii Zbigniewa Sawicza

Przez wiele lat Zbigniew Sawicz towarzyszył z aparatem Henrykowi Mikołajowi Góreckiemu i jego rodzinie w ważnych, mających miejsce w Katowicach, wydarzeniach koncertowych poświęconych Kompozytorowi. Fotografował także jego najbliższych – również koncertujących artystów. Wystawę, na którą złożyło się kilkadziesiąt fotografii, a zatytułowaną „Henryk Mikołaj Górecki...” Sawicz zaprezentował w Akademii Muzycznej. Z uczelnią tą związany był sam Kompozytor, jak również córka pianistka Anna Górecka. Z muzyką, komponowaniem i dyrygenturą wiążą także swoją przyszłość najmłodszy reprezentanci rodu. Wszystkich można było spotkać na fotografiach Zbigniewa Sawicza. Gościem wernisazu, który odbył się 6 października br., była Jadwiga Górecka – żona Kompozytora, a otwarcia wystawy dokonał rektor AM prof. dr hab. Tomasz Miczka.

Wystawa została przygotowana w ramach obchodów 150-lecia nadania praw miejskich Katowicom.

(wk)



Znaki i twarze  
miasta



KATOWICE  
dla odmiany





XXVI Najazd Poetów – organizatorzy i jurorzy z uczestnikami Zamkowego Turnieju Poetyckiego dla młodzieży szkół gimnazjalnych i ponad gimnazjalnych (Zamek Piastów Śląskich – sala Pinottiego)



Grzegorz Sawicki – Członek Zarządu Województwa Opolskiego wręcza dyplom i nagrodę Wojciechowi Medykowi z I LO w Brzegu



Zaduszki Poetyckie, puste krzesła dla nieobecnych – Marii Wojtczak (portret na sztaludze), Ireny Wyczółkowskiej, Adama Szypera, Władysława Sikory



## XXVI Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu

Kolejny Najazd Poetów zainaugurował Zamkowy Turniej Poetycki dla młodzieży szkolnej, który nawiązuje do tradycji książęcego dworu Piastów Śląskich, gdzie w XVI wieku na cześć książąt odbywały się konkursy poetyckie i oratorskie z udziałem zakonów Gimnazjum Piastowskiego (Gimnasium Illustre). Prezentacje młodzieży oceniali jurorzy z Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, krakowskiej Konfraterni Poetów i Związku Literatów Polskich. W werdykcie podkreślili wysoki poziom utworów, przyznając kilkanaście nagród i wyróżnień, które w imieniu marszałka województwa opolskiego wręczył Grzegorz Sawicki członek Zarządu Województwa. Wieczorem odbyły się Zaduszki Poetyckie poświęcone pamięci Marii Wojtczak z Brzegu (lekarki, działaczki społecznej, samorządowej, wspierającej poetów) oraz poetów-uczestników Najazdu: Ireny Wyczółkowskiej z Opola, Adama Szypera z USA i Władysława Sikory z Zaolzia. Goście z Krakowa, Lublina i Wrocławia oraz kilkudziesięciu polskich poetów czytało wiersze z almanachu „Poza czasem”, zawierającego utwory nieżyjących poetów jak też poświęcone im liryki uczestników imprezy. Finałowym akcentem wieczoru było otwarcie wystawy pasteli Andrzeja Siewierskiego z Łodzi, członka Pastel Society of America. XXVI Najazd Poetów współorganizowali: Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Brzegu, krakowska Konfraternia Poetów, Irena i Andrzej Kowalczykowie – firma Tech-Poż Opole.

um

Zdjęcia: Lukasz Józwenko



Otwarcie wystawy pasteli Andrzeja Siewierskiego – od lewej autor wystawy, Paweł Kozerski dyr. Muzeum Piastów Śląskich, Janusz Wójcik – organizator Najazdu Poetów, Irena Kowalczyk – mecenas wystawy firma Techno-Poż Opole



Od lewej: J. Stasiewicz (Nyska Grupa Literacka), Agnieszka Kania (Unia Polskich Pisarzy Lekarzy), Ewa Maj-Szczygielska (Konfraternia Poetów), Teresa Nietyska (prezes ZLP O/Opole), Romana Więczaszek (klub Literacki Brzeg)



# Doświadczając pewności

KSIAŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

**J.L.** Woźniak w swoich wierszach uświadamia, że śmierć nie jest złudzeniem. Istnieje, niepokoi człowieka, nie pozwala mu sobie zapomnieć. Od początku została wpisana w ludzką naturę. „Jesteśmy w strefie śmierci” (s. 5) – mówi podmiot tych wierszy. O jej „byciu w świecie” przypominają groby, zapalone znicze, przestrzeń cmentarza i bliscy, których już nie ma. Im dedykuje Woźniak wiersze-nekrologi czy wypominki. Bohaterami lirycznymi liryki elegijnej są członkowie rodziny i przyjaciele. Poeta przywołuje dzień pogrzebu matki, podczas którego wpatruje się w jej twarz („jakże mocno w niej żyło / moje narodzenie” – s. 6) oraz F. Netza, do którego zwraca się, próbując jeszcze go uświadamiać w jego drodze do wieczności: „teraz słyszysz równomierny / rytm swojej krwi” (s. 38).

Życie ociera się o śmierć, rozgrywa się w jej cieniu. Jedno nie chce dać wygrać drugiemu. Idą ze sobą lęb w lęb. Sama egzystencja to u Woźniaka nieustanne umieranie, niekończąca się gra jasności i mroku, gdzie pierwsze jest symbolem śmierci, drugie – życia. Poeta napisał: „wielka ciemność i codzienne widzenie światła – / przerażający kontrast między nimi [...] // wizja zupełnej ciemności zmusza / do pokory twórcy / cięgłego nawrotu opętanej myśli / bezwzględnego końca” (s. 35). Koniec nie zawsze jest jednakże dla podmiotu szczęśliwy. Przebijające się przez mrok światło, chociaż daje nadzieję na lepszą egzystencję człowieka w jakiejś pośmiertnej przestrzeni, doprowadza i do jego pełnego zapomnienia.

Śmierć z czasem unieważnia jednostkę, wyrzuca ją z pamięci tych, którzy jeszcze trwają. Nad tym ubolewa poeta, nad zawodnością ludzkiej pamięci. Obrazy, słowa, myśli związane z ludźmi, którzy odeszli, są najczęściej fragmentaryczne. Połączone z sobą, tworzą wprawdzie historię o człowieku, ale z biegiem lat i ona płowieje, zaciera się, pozostając gdzieś głęboko i na zawsze ukryta. Czas zatem robi swoje, a pamięci nie pomogą upamiętniające tabliczki czy kamienie z wrytymi napisami. I one w końcu człowiekowi obojętnieją, niewiele znaczą. Będąc „natrętnie obecne”, ulegają procesowi zapomnienia, zostają poskromione przez naturę. Bo niepomni to normalna kolej rzeczy – „gdy ta siła cię zmoże / będziesz tylko wspomnieniem / płaczem może natchnieniem / zniczem na grobie światłem / a pamięć o tobie blaknącym obrazem” (s. 11). Ale niepamięć wydaje się też łatwiejszą drogą. Pamięć obarcza, obciąża, „parzy” (s. 6), jest kłopotliwa.

Śmierć, co istotne w tej poezji, chociaż dramatyczna czy tragiczna, niczego nie zmienia. Codziennosc trwa w swoim dotychczasowym porządku, nie ubolewa nad stratą jednostki, nie rozpacza. Przeciwnie: żyje własnym życiem, pędzi do przodu. Autor obdiera nas ze złudzeń: „po twojej śmierci / świat nie pięknie ani się nie zatrzyma” (s. 9). Smutne?

Prawdziwe. Woźniak jest poetą, który wie, co mówi. Fundamentem swoich wierszy czyni autentyczne przeżycie. Podmiot autobiograficzny odiera nas ze złudzeń: „podparci doświadczeniem / spoglądamy wstecz / z małą ilością nowych wariantów” (s. 27). Doświadczenie sprawia, że nabieramy przekonania o niepowtarzalności życia i człowieka: „rozumiał swoją jednokrotność / stąd w nim niepokój // ciągle działanie / brońące przed jednorodnością” (s. 43).

Być może dlatego w *Ciężarze cienia* zostaje wyrażona tęsknota podmiotu za tym, co metafizyczne. Namiastkę życia po śmierci poeta odnajduje w naturze. Do niej ucieka i z nią pragnie się złączyć. Urzeka go ona swoją ciszą i potęgą. I chociaż jest dla autora także siłą niezrozumiałą, to zostaje określona przez niego jako „moje miejsce” (s. 7). Bo to właśnie tutaj podmiot „rozmyśla nad sobą”, „wchodzi w rozumienie”, „poddaje się wiatrowi drzew” (s. 7). Im dłużej trwa w kosmosie natury, tym bardziej pogłębia swoje doświadczenie, otwiera się na nowe prawdy, doznania. Natura pozwala mu zobaczyć i poczuć więcej: „poznawanie i zagadki / niosą nas przez czas / most na drugi brzeg” (s. 37). W innym wierszu powie natomiast: „wystarczy trochę obrócić głowę / padół” (s. 27).

Zderzenie życia ze śmiercią, wieczności z przemijaniem, światła z ciemnością jest stałym elementem walki i rozrachunków. Jakąs namiastką głośnego współbycia. Cisza jest obciążająca, przynosi zbyt wiele myśli, daje za dużo możliwości. To „dzwoniący przesył” (s. 15).

Moment, kiedy autorowi *Drzew przy drodze* pozostaje tylko poezja, która drzemiać, „niekiedy wraca / jak ozdrowieńczy deszcz” (s. 39), jest także formą ucieczki bohatera lirycznego. Woźniak podkreśla, że staje po stronie doświadczenia utrwalonego, zapisanego. Dlatego dokumentuje wierszem to, co ocala, zatrzymuje w kadrze niepowtarzalności, indywidualizuje, czyni po prostu ważnym (s. 34).

Wszystko, co zostało do tej pory powiedziane, zdaje się zamykać ostatnią część tomu *Z cyklu „Pochodnia Pana Cogito”*. Na pierwszy rzut oka osobna, mająca niewiele wspólnego z pozostałymi wierszami składającymi się na *Ciężar cienia*. Tymczasem doświadczenie śmierci, przemijania, pamięć czy nieśmiertelność słowa poetyckiego kumulują się właśnie tu. Utwory zawarte w tej części są interesującym dopowiedzeniem losów Pana Cogito po śmierci Herberta. Strata przyjaciela czyni bohatera wierszy autora *Struny światła* postacią mocniej odczuwającą, bardziej wrażliwą. Pan Cogito rozpacza, tęskni, nie zgadza się najpierw na swoją zarozumiałość, następnie na próżność świata. Osadzony w prozie życia, poddaje się doświadczeniu. Przede wszystkim jednak – co niebawem ujmuje – mocno przeżywa stratę i nieobecność swojego twórcy: „Pan Cogito piętnasty raz stoi nad tą samą mogiłą / martwi się i jednocześnie dziwi że jeszcze istnieje” (s. 55). Jako ten, który sam jest nieśmiertelny, „na sobie niesie żywotność i rangę poezji” (s. 55), pragnie zrozumieć porządek rzeczywistości, w której został osadzony. I ostatecznie udaje mu się dojść do istoty rzeczy: „postanawia nie zmieniać się wcale / zostać wiecznym wędrowcem / wiernym sobie poszukiwaczem / sensu i światła” (s. 59). Te słowa nie tylko zwieńczają poszukiwania Pana Cogito, ale cały tom Woźniaka.

„Jest w tej poezji zachwyt i jest przytłoczenie” – konstataował na ostatniej stronie okładki *Drzew przy drodze* Marian Kisiel. Śmierć, przemijanie, uciekający czas i pamięć bowiem to tematy literacko już wyczerpane i wielokrotnie przepracowane. Nie męczą i nie drażnią jednak czytelnika *Ciężaru cienia*. Przeciwnie: zrodzone z indywidualnego przeżycia i doświadczenia sprawiają, że chce się dalej wchodzić w tę poezję.



# O misterium paradoksu w poezji kapłańskiej

KSIĄŻKI

ALEKSANDRA PETHE

**W** liryce europejskiej istnieje pewna szczególna koncepcja Boga. „Ty jesteś wielki las sprzeczności” zapisano w *Życiu mniszem*. Są to słowa poety, dla którego empiria stała się źródłem nieprzebranych twórczych inspiracji, a doświadczanie własnej egzystencji i otaczającej rzeczywistości (przyrodzonej i nadprzyrodzonej) wypełniało cierpienie, często przynosząc bohaterowi lirycznemu poczucie klęski. Była tylko jedna możliwość wyjścia z tego dramatycznego impasu. Ludzką przegraną mogła przeobrazić w zwycięstwo jedynie moc ponadludzkiej potęgi... Rainer Maria Rilke, bo o nim mowa, zgłębiał sprawy najistotniejsze dla człowieczej egzystencji „mówiąc o rzeczach istotnych w coraz istotniejszy sposób”. Doprowadziło to Rilkego do postawienia, niezmiernie istotnego w jego refleksji, pytania: „Co zrobisz, Boże, kiedy ja umrę?”. Wkroczył tym samym w głęboko teologiczno-filozoficzne zamyślenie nad rozumieniem istoty ludzkiej jako pewnego braku w nieskończonej doskonałości Boga. Prawo paradoksu i dysonansu zawładnęło na trwałe językiem wyobraźni i ekspresji, poznawczo ukierunkowanych w poezji autora *Księgi godzin*. Doświadczenie egzystencjalne otrzymało wreszcie potencjalnie wymiar werbalny. To, co niemożliwe, sprzeczne w sobie i niedające się dotąd nazwać, otrzymuje niespodziewanie niezwyklej możliwości nowego zgłębiania i określania ukrytych pokładów rzeczywistości, a co za tym idzie otwiera podmiot doświadczający na nowy wymiar ekspresji słowa. Oto preludium do misterium paradoksu.

Doskonale zdaje sobie sprawę z tych możliwości, jakie niesie ze sobą kategoria dyskursu opartego na prawie

paradoksu, Magdalena Ochwat. Autorka w publikacji *Poezja paradoksów – paradoksy w poezji* idzie tropem szeroko pojętej kategorii sprzeczności w poezji uznanych twórców w koloratkach, jakimi bez wątpienia są: Jan Twardowski, Janusz S. Pasierb i Waław Oszejca. Punktem wyjścia badaczki jest świadomość, że „myślenie paradoksalne” pozwala stanąć na granicy niewyraźności, nieprawdopodobieństwa, zdumienia. Pozwala dotknąć Tajemnicy. Autorka jakże słusznie zastanawia się również nad tym, co dzieje się w sytuacji, gdy w obliczu niewyraźności stają duchowni poeci, gdy przychodzi im konfrontować „rzeczy świata” ze „światem Innego”, słowem, gdy konfrontują oni Transcendencję z ludzką, twórczą wrażliwością i osobistym doświadczeniem.

Wyjątkowość sytuacji polega na podstawowym i niezbywalnym wymiarze kapłaństwa bohaterów książki Ochwat, bowiem być kapłanem to znaczy być *alter Christus*. Dlatego też nie może dziwić, że wezwanie i naznaczenie do głoszenia Słowa łączą powołanie kapłańskie i poetyckie. Relacja zachodząca pomiędzy nimi nie zamyka drzwi do różnorodności odważnych poszukiwań, ujęć i rozwiązań warsztatowych. Wręcz przeciwnie – legitymizuje ich alternatywność. Inny znakomity współczesny poeta w koloratce, a jednocześnie teolog-dogmatyk, ks. Jerzy Szymik, twierdzi z pełnym przekonaniem, że sztuka (w tym poezja) „dostarcza języka i środków do wyrażania niewyraźnego”, dodajmy, jeśli jest otwarta na Boga. Misterium paradoksu. Paradoks paradoksów. W tych pojęciach zawiera się więc szansa na materialną artykulację duchowej głębi człowieka w obliczu Tajemnicy Wcielenia.

Autorka obiera taki właśnie kierunek poszukiwań analityczno-interpretacyjnych. *Expressis verbis* konstatuje, że celem jej poszukiwań było „odkrywanie i opisywanie paradoksu w immanentnej poetyce” tytułowych twórców w ścisłym powiązaniu z doktryną Kościoła katolickiego. W istocie paradoks stanowi tu teologicznie uzasadniony trop kapłański, co więcej „jest literackim narzędziem eksploracji teologii”. Ochwat notuje: „(...) Paradoks w twórczości księży to (...) nie tylko figura świadcząca o rzemiośle poetyckim, «operacja» na słowie/języku, to coś więcej, to konstrukcja oddająca ducha samej teologii”. Słusznie. Współczesna myśl teologiczna równie często odwołuje się do paradoksów historii zbawienia...

Omawiane studium ma charakter teoretyczny i interpretacyjny. Jest ważną, bez wątpienia, próbą opisu wielowymiarowego zjawiska, jakim w swej istocie jest paradoks. Rzeczą traktuje szeroko nie tylko o istotnych kwalifikacjach terminologicznych (w tym zakresie stanowi *novum* w literaturze przedmiotu), ale wykracza daleko poza wyznaczniki formalne. Dotyka samego jądra liryki. Przez pryzmat paradoksu czytelnik otrzymuje zaproszenie do zgłębiania poetyckich porządków świata: „Boga i wiary” Twardowskiego; czasu i przestrzeni u Pasierba czy „lęku i nadziei”, inspirowanych postacią Judasza, u Oszejcy.

Można powiedzieć, że – patrząc oczami Ochwat na dyskurs poetycki trzech kapłanów – urzeczywistniają oni Tajemnicę, dotykając tego, co tkwi głęboko w prawdziwym misterium paradoksu, i będąc przy tym podobnie jak Rilke świadomymi posłannictwa słowa.

Magdalena Ochwat: *Poezja paradoksów – paradoksy w poezji. Poetycka teologia księży Jana Twardowskiego, Janusza Stanisława Pasierba, Waław Oszejcy*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014, ss. 204.





# Uległość w kontekście islam

KSIAŻKI

CZESŁAW LUDWICZEK

Na półkach księgarskich pojawiła się książka popularnego francuskiego pisarza, laureata nagrody Goncourtów, Michela Houellebecq'a – *Uległość*. Może ona uchodzić za powieść wizjonerską, bowiem zapowiada dojście do władzy we Francji partii muzułmańskiej, zmieniającej następnie system społeczno-polityczny kraju i ustawiającej go wg głównych założeń ideowych islamu. Akcja umiejscowiona została w 2022 r., kiedy obecny prezydent François Hollande kończy swój drugi mandat, a do Pałacu Elizejskiego wprowadza się nowo wybrany pierwszy obywatel państwa Mohammed Ben Abbas wywodzący się ze społeczności muzułmańskiej.

Tematyka powieści jest niewątpliwie interesująca, a okoliczności pojawienia się jej w sprzedaży także niezwykle. Przypomnijmy, że we Francji książka ukazała się 7 stycznia. W tym dniu dwaj islamscy terroryści zastrzelili w paryskiej redakcji satyrycznego tygodnika „Charlie Hebdo” 12 osób, mszcząc się w ten sposób za zamieszczone w tym piśmie karykatury Mahometa. W Polsce pozycja ukazała się w dziewięć miesięcy później, wprawdzie w sytuacji nie tak dramatycznej jak we Francji, ale mimo wszystko trudnej i złożonej, wywołanej napływem do Europy i spodziewanej także u nas fali uchodźców z krajów arabskich. Warto więc pokusić się o recenzję *Uległości*, ponieważ jest ona – tak przynajmniej sądzę – manifestem antyislamskim, a może nawet czymś więcej – fantasmagorią zapowiadającą koniec obecnej cywilizacji europejskiej, jej kultury i demokracji.

W tym kontekście autor osadza w roli głównej postaci i narratora czterdziestoletniego wykładowcę uniwersyteckiego, literaturoznawcę, wybitnego znawcę twórczości XIX-wiecznego – pisarza Joris-Karla Huysmansa. Nie jest to bez znaczenia, bo myśli owego naturalisty przechodzącego w dekadentyzm, ateisty, który pod koniec życia nawraca się na chrześcijaństwo, towarzyszą Houellebecq'owskiemu bohaterowi w całej akcji i to tak dalece, że w końcu odwzorowuje w pewnym sensie akt pisarza sprzed stu lat. François, bo takie imię nosi ów człowiek, jest zgorzkniały, przygnębiony, apatyczny i w podobny sposób postrzegający zatracone moralnie społeczeństwo. W tej psychicznej i społecznej zapaści jedynym dla niego rozrywkowym przeżywką jest alkoholizm i nadmiernie rozbujany seksualizm, którego opisu autor nie szczędzi. Bohater nie interesuje się po-

lityką i nie dostrzega zachodzących w kraju zmian, ale i one go w końcu dosięgają, bo w 2022 r., kiedy zbliża się rozstrzygnięcie w wyborach prezydenckich, jego uczelnia zostaje zawieszona, a on wyekspediowany na urlop.

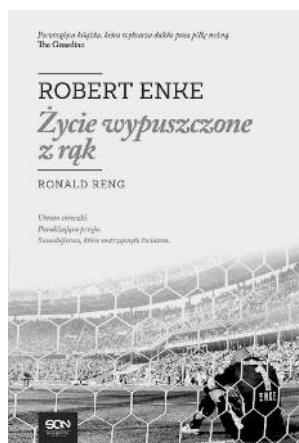
Ten jego brak orientacji w sytuacji polityczno-społecznej równoważą jednak konwersacje prowadzone z innymi postaciami powieści reprezentującymi dwa przeciwstawne obozy. Pierwszą z nich niemal w przeddzień decydującej tury wyborczej toczy z Tanneurem, wysokim urzędnikiem kontrwywiadu, śledzącym drobiazgowo życie polityczne, w tym szczególnie inwazję islamu. Rozmówca pozwala mu zrozumieć, w jaki sposób religia ta wspina się na szczyty władzy we Francji, jak zamierza opanować Europę aż po Estonię i w jaki sposób wciąga do niej Turcję i kraje Magrebu. Wychodząc z założenia, że w tej drugiej turze wyborczej o urząd prezydenta walczyć będzie reprezentantka Frontu Narodowego Marine Le Pen i przedstawiciel Bractwa Muzułmańskiego Mohammed Ben Abbas, większe szanse daje temu drugiemu. Twierdzi bowiem, że Partia Socjalistyczna, Ruch Ludowy i Unia Demokratyczna w obawie przed rządami skrajnie prawicowego Frontu Narodowego poprze kandydaturę Araba.

Tak się rzeczywiście dzieje. Do władzy dochodzi Ben Abbas i wprowadza nowy model społeczeństwa. Kobiety eliminuje się z życia publicznego i z pracy, znika zatem bezrobocie wśród mężczyzn. Wprowadza się małżeństwa poligamiczne. Powszechna oświata kończy się w 12 r. ż., dalsza nauka tylko w arabskich szkołach prywatnych, finansowanych przez kraje petrodolarowe. Każde francuskie dziecko musi być objęte islamskim nauczaniem, przy czym nie ma żadnej koedukacji i tylko nieliczne typy szkół są dla dziewcząt. Wszyscy nauczyciele muszą być muzułmanami. Tyczy się to także wyższych uczelni, w tym i Sorbony. François wysłany zostaje na przedwczesną, ale dobrze płatną emeryturę. Opanowuje się także inne dziedziny życia, a w całym tym procesie kluczowymi elementami są demografia i szkolnictwo. W ogóle w świecie wygrywa ta grupa, która ma najwyższą rozrodczość i potrafi przeforsować swoje wartości, a taką jest islam.

Drugi rozmówca głównego bohatera powieści, ważny dla toku narracji, to Rediger, rektor Sorbony, który już w 2013 r. przeszedł na islam i stał się jego apologetą oraz popularyzatorem. Zapelniając próżnię duchową François serwuje mu intelektualną i praktyczną wizję islamu, prezentuje jego zalety, siłę, ekspansję. Powołuje się przy tym na Koran, który jest „jego mistyczną pieśnią pochwalną”, innymi słowy „pochwałą Stwórcy i uległości wobec jego praw”. W jednym z swoich artykułów Rediger zastanawia się, czy islam został powołany do zdominowania świata i odpowiada na to pytanie twierdząco. Cywilizacje zachodnie ewidentnie uważa za skazane na zagładę. W tej wysoce intelektualnej rozmowie rektor nawiązuje do owego XIX-wiecznego Huysmansa, naturalisty i twórcy teorii, według której środowisko wpływa na istoty. Teorię tę potwierdza też w swojej pracy doktorskiej François, a w rezultacie w finale anonсуje swoje nawrócenie na islam, uzasadniając to zamieszczeniem duchowym Europy, czyli próżnią, którą tylko islam może zagospodarować.

Książka jest interesującą lekturą, w której autor prezentuje swoje stanowisko islamofobiczne, choć w niektórych fragmentach można by się doszukać drobnych zalet tej religii. Autor imponuje ogromną erudycją – od literatury, poprzez filozofię i religię, aż do skomplikowanych wariantów politycznych. I choć akcja powieści jest wartka, to czyta się ją z pewnym utrudnieniem, bowiem pełno w niej idiomów, neologizmów, wtrąceń obcojęzycznych, często trudno przetłumaczyć. Nie wiadomo, czy wina to autora czy też tłumaczki. Na to pytanie trudno jednak odpowiedzieć, ponieważ nie dysponujemy oryginałem. Ostatecznie możemy skorzystać z przeglądarki Google, która większość z tych zagadek rozwiązuje.

Na koniec stwierdzmy, że Akademia Goncourtów nie dostrzegła wysokich zalet literackich *Uległości*, ponieważ zabrakło jej wśród ogłoszonych z początkiem września 15 tytułów kandydujących do tegorocznej nagrody Goncourtów.



# Ulica samobójcy

KSIĄŻKI

RYSZARD JASNORZEWSKI

**N**iemiecki rzeczownik *Tor* oznacza bramkę na boisku piłkarskim. To samo słowo znaczy także wrota. Polska bramka to mała brama, strzeżona w piłce nożnej przed atakami przeciwników. *Tor* w polszczyźnie jest określeniem drogi, którą poruszają się tramwaje lub suną pociągi. Niekiedy mkną pociągi pospieszne.

Robert Enke, bramkarz drużyny Hannover i reprezentacji Niemiec, skoczył 10 listopada 2009 r. pod pociąg jadący z prędkością 160 kilometrów na godzinę, niezatrzymujący się na stacji Neustadt. Znał dobrze rozkład jazdy, ale jeszcze lepiej rozkład życia, trawionego niczym organ przez nowotwór. Przyjacieli i biograf Roberta – Ronald Reng – napisał książkę o gracie nie tyle w piłkę, ile w depresję.

Piłkarz z numerem jeden, ostatni i najważniejszy obrońca – bramkarz, może mieć życie wewnętrzne bogate, ubogie lub żadne. Może ubrać czarną bluzę albo koszulkę w jaskrawych kolorach, może uśmiechać się albo rzucać ponure spojrzenia, może stać na linii albo wybiegać daleko poza pole karne, może mieć talent albo nie mieć go wcale, może grać w pierwszej lidze albo w czwartej. Nie wolno mu jednak nigdy zwątpić w sens roli, którą mu powierzono. Duńczyk P. Schmeichel, bramkarz z Manchesteru United, wyznał: „Ogromne znaczenie ma to, że moi przeciwnicy czują się zastraszeni moją obecnością. Nawet jeżeli nie każdy ostatni obrońca budzi postrach, to nie wątpi, gdzie jest jego miejsce”. Depresja pozbawia pewności, że ma się jakiegokolwiek miejsce gdziekolwiek na świecie, charakteryzuje się zastraszaniem samego siebie i grą wyłącznie przeciwko sobie.

Głównym celem Bundesligi lat 90., pisze Reng, było tworzenie presji. Musieli ją wywierać wszyscy: trener na piłkarzach, rezerwowi na trenerze za pośrednictwem prasy, rezerwowi bramkarz na podstawowym, podstawowy na rezerwowym, a dyrektor na wszystkich. Jedyną osobą, która wywierała presję na Enke, był on sam. I nie poradził sobie. Motywację, potrzebną do profesjonalnego uprawiania sportu, zastąpił poczuciem winy, że brak mu motywacji do uprawiania życia; energię, niezbędną do gry o siebie, zużył na ukrywanie depresji przed innymi.

Podczas meczu wszystko rozgrywa się w szybkim tempie, opóźnione o ułamki sekund reakcje bramkarza decydują o jego błędach. Gdyby wszystkie rozpamiętywał, pogrązał się w poczuciu winy, ułamki sekund byłyby odłamkami, które ciężko, śmiertelnie ranią. Po nieudanym debiucie w lidze tureckiej En-

ke zwierzył się trenerowi: „Nie wytrzymam dłużej. Odczuwam tylko strach. Boję się wyjść z pokoju (...). Boję się założyć rękawice bramkarskie”.

Bał się jako bramkarz Borussia Mönchengladbach, klubów z Lizbony, Barcelony czy Teneryfy. Strach ogarniał go jako zawodnika drużyn juniorów, zespołów występujących w drugiej lidze i grających w najwyższych ligach. Bał się jako numer jeden Hannoveru 96 i reprezentant Niemiec. Bał się w szatni, w drodze na trening i podczas treningów, przed meczem, w trakcie meczu i po jego zakończeniu.

Często na kartkach papieru zatrzymywał ciemne błyski świadomości. Kilka miesięcy przed śmiercią zanotował: „Nie spałem. Wszystko wydaje się tracić sens. Trudno jest mi się skoncentrować. Myślę o s...” Jeszcze wówczas nie wiedział, że życie jest formą pamiątnika, który zabija autora.

Enke obmyślał samobójstwo do końca i bez reszty. Starano się to zrozumieć. Najczęściej jako powód rezygnacji z życia wskazywano traumę po śmierci dwuletniej córki i lęk, że gdy wyjdzie na jaw jego depresja, utraci prawo do opieki nad drugą, adoptowaną córką. Każde wytłumaczenie samobójstwa jest równie dobre lub równie złe. Na pewno jednak śmierć zadana sobie – jak każda inna – redukuje cierpienie zmarłego do zera, kasuje nieodwołalnie pliki strachu w znużonej głowie, kończy mecz z życiem... i wszystkie możliwe dogrywki, ogłoszane minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Napastnik, który zapragnie biegnąć do tyłu albo bramkarz starający się bronić odwrócony twarzą od przeciwników, to figury groteskowe. Ale życie, które biegnie ludziom do tyłu, rano, wieczorem, nawet we śnie, jest wyłącznie absurdalne. Nie można go znieść.

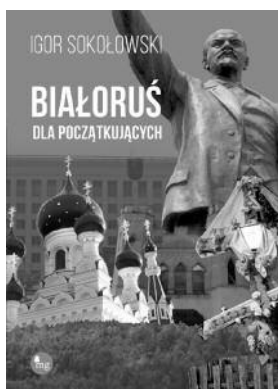
Na początku XIX wieku, kiedy Anglicy wymyślili grę w piłkę, która po dziesięcioleciach przekształciła się w rywalizację o regulach obowiązujących po dziś dzień, miejsce w bramce przydzielano największym tchórzom, fajtląpom i kurduplom. Pole bramkowe było wówczas dosłownie polem karnym, miejscem niezawinionej pokuty. Chyba niejeden chłopiec, któremu nakazano strzec bramki, chciał z niej uciec na koniec świata. Profesjonalista, pisze Reng, wie, że nie może okazać rozpacz, rozczarowania i strachu. Dlatego tak długo Robertowi udawało się ukrywać depresję. Jego psychiatrą był V. Markser, który niegdyś grał na bramce w drużynie piłki ręcznej, zdobywając mistrzostwo Niemiec i Europy. Według Marksera „Najlepszym bramkarzem i możliwie, że najszcześniejszym człowiekiem na świecie jest ten, kto radzi sobie ze swoimi błędami. Ten, kto potrafi sobie błędy wybaczyć, lub przed nimi się ustrzec, ich strażnik, nadzorca i poganiacz”.

Dzień przed udaną ucieczką z życia Robert napisał: „Tylko zarzuty wobec siebie samego”. Nie umiał wybaczyć sobie błędów. Osaczył go tak, jak zwierzę osacza strach przed kometą albo przed myśliwym, który jeszcze się nie narodził. Wiedział, że strachu nie da się spakować jak rzeczy należących do zmarłego sublokatora, jak rzeczy, po które na pewno nikt nie przyjdzie, które można oddać ubogim albo wyrzucić na śmietnik, a potem przewietrzyć pokój, otworzyć szeroko okna.

Pogrzeb Roberta transmitowała na żywo (w transmisjach na żywo z pogrzebów jest coś nieodwołalnie paradoksalnego) stacja ARD, w ostatnim pożegnaniu uczestniczyło 40 tys. osób – żalobnicy byli w pewnym sensie również publicznością, jako że ceremonia odbyła się na stadionie Hannoveru 96. Na telebimie przypomniano najbardziej efektowne parady nieboszczyka. Nieżywe nie było żywe, ale zagrało swój mecz, było więc mniej nieżywe. Wygłoszono wiele przemówień, a po nich – zamiast martwej ciszy – zabrzmiał hymn angielskiej drużyny Liverpool *You'll never walk alone – Nigdy nie będziesz szedł sam*. Pamięć przeobrażała się w pamiętkę z pogrzebu.

Parolini zobaczył w futbolu „ostatni święty rytuał naszych czasów”. W styczniu 2011 r. otwarto w Hanowerze ulicę R. Enke. Uroki każdego miasta powinny podkreślać ulice samobójców. Albo kozłów ofiarnych.

Ronald Reng: *Robert Enke. Życie wypuszczone z rąk*. Tłum. Michał Jeziorny. Wydawnictwo SQN 2015, ss. 400.



## Białoruś dla początkujących

KSIAŻKI

KATARZYNA KRZAN

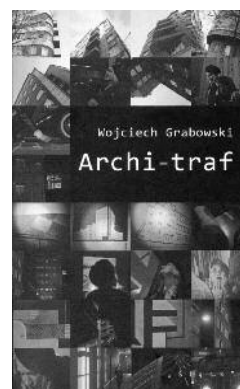
Igor Sokółowski zafascynował się na tyle poprzednim ustrojem, że poświęcił mu nie tylko studia, ale i wyprawy. Jego celem stała się Białoruś, w której zatrzymał się czas.

O tym, jak niewiele wiemy o naszym wschodnim sąsiedzie, przekonać się można już w pierwszych rozdziałach jego książki. Wszystko tu jest egzotyczne, jakby z innej bajki, choć z drugiej strony – znane, ale zapomniane, zepchnięte gdzieś w niepamięć. Podróż Sokółowskiego na Białoruś staje się podróżą czytelnika, towarzyszymy mu w niej, będąc całkiem blisko wydarzeń. I gdzieś w tle lektury tli się uporczywa myśl: przecież tak mogłoby być nadal u nas. Można narzekać na obecną sytuację polityczno-gospodarczą w Polsce, ale tak naprawdę powinniśmy pękać z dumy i kipieć radością, że nie jesteśmy nadal częścią tamtego systemu.

Sokółowski pokazuje nam Białoruś w pełnej krasie, oczami kogoś, kto jest tym krajem zafascynowany i dostrzega jego dobre i złe strony, ale nie ocenia, nie deprecjonuje, stara się raczej znaleźć wyjaśnienie, usprawiedliwienie dla takich, a nie innych ludzkich zachowań. Zauważa, że „Białoruś jest krajem, gdzie nie respektuje się podstawowych swobód obywatelskich, gdzie wiele rzeczy nie funkcjonuje w taki sposób, jak powinno, a na szczęście jeszcze nie wszystkich dotknęły choroby takie jak marazm i obojętność, knajactwo czy kombinatorstwo. Wciąż są ludzie, którzy wychodzą na ulice demonstrować swój sprzeciw wobec władzy...” Autor nie koncentruje się jednak wyłącznie na politycznej stronie białoruskiego życia. Tą znamy dobrze z przekazów telewizyjnych. Pokazuje raczej codzienne życie i pewne absurdy, które dla kogoś z zewnątrz są czymś dziwnym, natomiast mieszkańcy przyjmują je za oczywistość. Białoruskiego Dziadka Mroza mieszkającego w Puszczy Białowieskiej odwiedzają nie dzieci, a emeryci, spragnieni być może wspomnień z dzieciństwa. W miastach, w których przyszli na świat najważniejsi dygnitarze, wybudowano nowoczesne centra sportowe, z których nie ma kto korzystać. Ale są. Stanowią wizytówki postępu. Podczas gdy białoruska wieś miejscami pamięta początki ubiegłego stulecia.

Autor piórem wprawnego reportera opisuje codzienne życie Białorusinów, przekraczanie granicy, zbieranie pieczętek, zwiedzanie atrakcji turystycznych, choć kraj ten raczej na turystycznej trasie nie leży. Píše o tym, jak znaleźć mieszkanie, zrobić zakupy, załatwić podstawowe sprawy. Wszystko to w klimacie filmów *Barrei*. Aż czasem trudno uwierzyć, że to w ogóle możliwe. Książka ma zatem same zalety: niezmiernie interesujący temat, a do tego świetnie opisany, z poczuciem humoru i wyczuciem smaku, co sprawia, że czyta się ją jak najlepszą powieść.

Igor Sokółowski: *Białoruś dla początkujących*. Wydawnictwo MG 2014, ss. 256.



## Tramwaj z obrazu Braque'a

KSIAŻKI

BOGDAN WIDERA

**A**rchi traf – tytuł na pozór dość zagadkowy, ale nie dla czytelników naszego miesięcznika, którzy zapewne pamiętają cykl tekstów Wojciecha Grabowskiego, mówiących o architekturze w naszym regionie. Ten „traf” to informacja, że nie jest to jakiś systematyczny, uporządkowany wykład, czy podręcznik. Po prostu w czasie swoich wędrówek autor „trafił” na jakiś obiekt, który przyciągnął jego uwagę i skłonił do zanotowania na ten temat swoich wrażeń, przemyśleń, asocjacji. „Archi” – też wymaga komentarza. Autor posiada wielką wiedzę o architekturze, historii sztuki, jest filmowcem specjalizującym się w tych dziedzinach, jednak w swojej książeczce opowiada o nich mimochodem. Opowiada zresztą w taki sposób, że trudno jego teksty jednoznacznie przypisać do jakiegoś rodzaju, czy gatunku. Jego narracja jest mieszanką reportażu, felietonu, eseju, wspomnienia, a fragmentami – prozy artystycznej, czy nawet poetyckiej. Wspominałem, że Grabowski mówi o architekturze mimochodem. Nie stara się bowiem wyczerpująco i detalicznie opisać jakiegoś obiektu ze względu na jego architektoniczne walory. Woli przedstawiany „zabytek”, zamiast posadzić na jakiejś parceli, umieścić w konkretnym kontekście historycznym (zwłaszcza w czasach PRL-u). Dla przykładu fragment rozdziału *Architektura tramwajowa*: „Miasto u schyłku socjalizmu. Czuło się, że wszystko wisi już na włosku. Tramwaje psuły się. Ludzie spoceni i zmęczeni wracali na piechotę do ciemnych blokowisk. Wszystko śmierdziało. Śmierdziały chodniki tymi niesprzątanymi petami. Śmierdziało w sklepach zepsutym mięsem, choć haki były zupełnie puste. Kolejki ludzkie cuchnęły koleją, przepoconymi wagonami, jakby ludzie się nie myli i byli w ciągłej podróży”. W tym otoczeniu istnieje jednak cud – tramwaj typu 102N „o awangardowym kształcie, kubistycznym, jakby żywcem wzięty z obrazów Braque'a”. Grabowski opisuje osiedle Tysiąclecia, superjednostkę, ale też cofa się dalej w przeszłość – dworzec kolejowy w Maczkach, biedna secesja będzińska, moderna katowicka. Z jednej strony dla tych, którzy pamiętają PRL, okazja do odzicia podróży sentymentalnej, z drugiej – zapis czasów świetności (teraz ruiny) wielu ciekawych miejsc. Również takich, których już dziś nie ma – np. willa Grundmanna z drugiej połowy XIX wieku, przy ul. Warszawskiej, zburzona w 1973 roku na polecenie tow. Zdzisława Grudnia. Też pamiętam umiejscowiony tam potem socjalistyczny „ogródek piwny”, opisany znakomicie przez Grabowskiego.

W tym krótkim omówieniu trudno opowiedzieć o wszystkich plusach tej krótkiej książki, ale bardzo zachęcam czytelników do lektury. Warto, bo czyta się ją z wielką przyjemnością.

Wojciech Grabowski: *Archi traf. Opowieści o architekturze Śląska i Zagłębia*. Wyd. Śląsk Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2015, s. 84.

**Gdy** zbudziłem się 21 sierpnia 1968 roku w Bieszczadach, poblądła gospodyni powiedziała: „No to teraz mamy ruskich z obu stron...”. Nieco wcześniej Karel – bywający w Polsce Czech, przywoził ich gazety. Dowiedzieliśmy się z nich o przedwojności z Dubczkiem, dociekaliśmy się wielu nieznanych faktów historycznych. Potem dotarli i te o „udzieleniu Czechosłowacji bratniej pomocy”, z generałem Svobodą na okładce, zapamiętany do dziś sfotografowany wiersz na murze: „Na ohranu nasich bankou, nie trza nam sovet-skich tankou, gdyż to howno co tam mamy, to se sami uhlidame”.

W tym samym miesiącu, po 47 latach, jestem ponownie nad Jeziorem Myczkowskim, na 15 Plenrze Bieszczadzkiem. Dziś z obu stron szpiczastego dzyndzyka Polski mamy przyjaciół. W Ustrzykach otaczają nas sympatyczne Ukrainki, koniecznie chcą nam coś sprzedać; weź pan koniak, mam bardzo dobre cukierki w czekoladzie, kup pan papierosy... a mnie niczego nie trzeba w tym biednym zrujnowanym kraju, patrzę i szukam owych chatynek sprzed lat – nic, tylko nowe. Mieszkamy w ośrodku, którego szef pochodzi ze Śląska... znamy się od niepamiętnych lat.

Rozlokowani w domkach artyści z Opola, Katowic, Częstochowy, Krakowa, Lublina i Rzeszowa żyją w tak bogatym programie, że lękam się o czas na malowanie, choć zawsze wyznawałem zasadę – najważniejsza jest integracja, poznanie okolicy i bycie z sobą, jeśli jednakże przy tej okazji powstanie dzieło, to i dobrze.

Zwiedzamy Muzeum w Sanoku, bogate w ikony, prezentuje także bogate zbiory swego krajana Zdzisława Beksińskiego, wiemy także o innym współczesnym twórcy za pobliską zagranicą, w Słowacji. To Muzeum Andy Warhola w Medzilaborcach, miłościnie nieciekawej o paru tysiącach mieszkańców, ale muzeum zbudowali godne większej metropolii. Uwagę zwraca-



Henryk Bzdok, rysunek

## Między Andy Warholem a bieszczadzką cerkiewką

HENRYK BZDOK

ją też dwa obiekty: neoklasycystyczna biała cerkiew prawosławna na wzgórzu, u stóp którego drugi obiekt, ze stojącą przed nią powiększoną puszką zupy Campbell, między jednym a drugim niezła rzeźba przedstawiająca Andego... Jesteśmy w Muzeum twórcy pop-artu, przy wejściu sklep z wszystkim co... a właściwie z tym na czym można wydrukować portret Warhola: są kartki, T-shirty, itd. itp. gadżety wszelkiej maści, koloru i formatu, jarmark skojarzeń z artystą, nie do ogarnięcia.

Pamiątki „Made in Japan”, do kupienia jak w Ameryce, San Marino, albo na Górze św. Anny. Odpust i kiermasz pop-artu...

nam kolegów. Jest Walczak, Nowotarski, Siupka, Maciuszkiewicz, Blukacz i wielu innych z całego kraju, najwięcej jednakże stąd, ze Śląska. Wychodzi na wierzch sympatia szefa do naszego środowiska. Odbywały się tu plenery ASP, nasze „Bieszczadzkie”, a teraz, po nas, przyjechali bliscy nam malarze z Grupy Janowskiej.

Codziennie wieczorne „urodziny”, wydawane przez poszczególnych uczestników ciągną się długo w noc. Integrujemy się. Dobrze być ze znanymi dwoma Joannami, wspominać z Aleksandrą studencki plener w Bystrzycy, pomilczeć z Wiesławem, posłuchać kosmosu z Aleksandrem, wysłuchać ministerialnych planów Janusza, porozumiewać się mrugnięciem z Leonardem, zastanowić się z Teresą i Lechem i... A potem odsłona pierwsza, wewnętrzny pokaz prac, ileż tego, kiedy to zostało namalowane, niezłe.

Przy lampce wina gwarzymy o minionym, szykujemy się na ponowne spotkanie i grudniowy wernisaż w Krakowie.



Fot. Henryk Bzdok

Leonard & Andy



# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska,

Janusz Wójcik

Maria Sztuka

Jacek Sikora

## O ponadczasowej roli muzyki

**BYTOM.** W ramach projektu pt. „Heinrich Schulz-Beuthen. Życie – twórczość – inspiracje” autorstwa dr Joanny Lusek z Muzeum Gómośląskiego w Bytomiu 24 października przygotowany został panel dyskusyjny zatytułowany „W świecie dźwięków – o ponadczasowej roli muzyki”. Moderatorem spotkania była dyrektor Muzeum Śląskiego Alicja Knast, która do dyskusji prócz autorki projektu zaprosiła dr. Piotra Podlipniaka (Katedra Muzykologii, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu), Aleksandrę Batog (muzyk, członek i współtwórca Śląskiego Towarzystwa Muzycznego) a także Henryka Cierpiola (dziennikarz muzyczny, kierownik redakcji muzycznej Radia Katowice) oraz redaktor naczelną miesięcznika „Śląsk” Wiesławę Konopelską.

Punktem wyjścia do dyskusji o roli muzyki był film „Co to jest muzyka?” z udziałem dzieci w wieku przedszkolnym, gimnazjalistów oraz uczniów szkoły średniej. W projekcie uczestniczyli wychowankowie przedszkola TIKa w Bytomiu, uczniowie klas aktywności twórczej Gimnazjum nr 3 im. Noblistów Polskich w Gliwicach oraz uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Bytomiu.

Podczas dyskusji podjęte zostały następujące tematy: „*Science fiction*: jak wyglądałby świat bez muzyki”, „Kultura czy natura. Co wpływa na kompetencje w doświadczaniu muzyki (słuchaniu, komponowaniu, wykonywaniu, rozumieniu)”, „Determinanty ludzkich upodobań muzycznych”, „Słoi nadepnął mi na ucho. Nie znam się na muzyce.” „Prawda czy fałsz?”

Spotkanie zakończył koncert w wykonaniu pianisty Tomasza Kamieniaka, który wykonał utwory Richarda Wagnera/Franza Liszta i Heinricha Schulza-Beuthena. Komentarz o muzyce wygłosiły Aleksandra Batog i Joanna Lusek.

## Powrót „Orfeusza i Eurydyki”

**BYTOM.** Niezwykle rzadko barokowe dzieła pojawiają się na scenach polskich teatrów operowych, tym bardziej wart obejrzenia i wysłuchania był spektakl „Orfeusz i Eurydyka” – dzieło skomponowane przez mistrza baroku Ch. W. Glucka, które powróciło do repertuaru Opery Śląskiej po ośmiu latach, jakie upłynęły od daty premiery 10 listopada 2007 roku. Piękne dzieło muzyczne otrzymało równie imponującą oprawę inscenizacyjną, reżyserską i choreograficzną autorstwa Henryka Konwińskiego. Kierownictwo muzyczne wznowienia objął Krzysztof Dziewięcki. Dekoracje i kostiumy zaprojektował Ireneusz Domagała. Podobnie jak premierowe przedstawienie i to zostało pokazane w specjalnie zaadaptowanej sali koncertowej im. Adama Didura. Wśród wykonawców można było usłyszeć: Roksanę Wardengę w partii *Orfeusza*, Justynę Dylę śpiewającą partię *Eurydyki* oraz Mariolę Płazak-Ścibich w roli *Amora*. Spektakl po latach poprowadził Jurek Dybała.

Bez wątpienia jest to jedno z najznakomitszych dokonań scenicznych, jakie w swoim dorobku ma Opera Śląska w Bytomiu.

## Plakaty dwóch Grabowskich

**KATOWICE.** W galerii Art. Nova 2 Związku Polskich Artystów Plastyków w Katowicach gościła w październiku wystawa dwóch Grabowskich: ojca Tadeusza i jego syna Piotra – obydwaj są twórcami plakatów.



Tadeusz i Piotr Grabowski podczas wernisażu w galerii Art. Nova 2 ZPAF.

Na ścianach galerii pojawiły się jakże znane sprzed lat z katowickich ulic i gablot teatralnych plakaty Tadeusza Grabowskiego. Znakomity rysunek, zdecydowana, ale wyrafinowana kreska, humor, niebywała lekkość i wszechobecny kolor – oto cechy artysty – seniora. Dawno nie oglądane, wzbudzały podziw i poczucie niedoścignionego artyzmu. Są ciągle – jak się okazało – potwierdzeniem dwóch istotnych cech plakatu: komunikatywności i prostoty przekazu. Zgromadzone w galerii po raz kolejny przypomniły, że mówić o plakatach Tadeusza Grabowskiego znaczy tyle, co mówić o najznakomitszych dziełach kojarzonych z tzw. polską szkołą plakatu i niezrównaną śląską szkołą grafiki.

Z kolei Piotr Grabowski zaprezentował plakaty będące graficznymi portretami wielu wybitnych artystów, ale malarskie w swej istocie, wydobywające indywidualne cechy portretowanych osób. Zaskakujące, piękne, ale mające gdzieś w dalekim tle inspirację „portretowymi” plakatami Profesora – Tadeusza Grabowskiego.

Był to dialog dwóch pokoleń w przestrzeni tej samej materii – plakatu, jakże współcześnie zmarginalizowanego, ale ciągle żywego, chociaż występującego w zgoła innej roli. Warto jednak przypomnieć sobie te rozradowane postaci z plakatów Profesora, i z wielką uwagą przyjrzeć się znakomitej pracy Piotra – także Grabowskiego.

## Dyskutowali bibliotekarze i regionaliści

**GLIWICE-TOSZEK.** „Śląsk literacki XX i XXI wieku” był tematem VII Powiatowej Konferencji Regionalnej przeznaczonej dla bibliotekarzy, nauczycieli i regionalistów, zorganizowanej przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Gliwicach z siedzibą w Pyskowicach. Podczas konferencji wykłady wygłosili: prof. dr hab. Katarzyna Tałuc, dr Tadeusz Sierny, dr Lucja Staniczkowa, prof. dr hab. Grażyna Szewczyk, dr Michał Skop, prof. dr hab. Zbigniew Kadłubek, prof. dr hab. Elżbieta Dutka, dr Grzegorz Sztoler i mgr Małgorzata Haładus. Tematyka wystąpień poświęcona była m.in. literaturze dwudziestolecia międzywojennego, życiu literackiemu w województwie śląskim w latach 1945–1989, dorobkowi literackiemu Wilhelma Szewczyka, próbom stworzenia kanonu literatury na Górnym Śląsku, postzeganiu Śląska i Ślązaków przez pryzmat twórczości Alojzego Łyski i obrazowi Gliwic w twórczości Adama Zagajewskiego i Juliana Kornhausera.

Konferencja odbywała się w Centrum Kultury „Zamek w Toszku”.

## „Linie papilarne” na otwarciu

**KATOWICE.** Do swej dawnej siedziby przy ulicy św. Jana 10 powrócili artyści fotograficy. W wyremontowanych, nowoczesnych wnętrzach jednej z najbardziej reprezentacyjnych kamienic katowickiego rynku, ożyła na nowo galeria „Katowice” ZPAF. Inauguracyjna wystawa zbiorowa nosząca tytuł „Linie papilarne” została otwarta 7 października. Każdy z kilkudziesięciu uczestników ekspozycji – członków Okręgu Śląskiego ZPAF zaprezentował jedną wybraną przez siebie pracę, która – jak linie papilarne – jest jego znakiem rozpoznawczym.

Gości powitała w progach galerii Katarzyna Łata Wrona – prezes ZPAF w Katowicach, a w gronie zaproszonych gości obecne były Edyta Sytniewska – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta Katowice i Jolanta Rycerska prezes Zarządu Głównego ZPAF.

## Strażnik Dziedzictwa dla Biblioteki Śląskiej

**KATOWICE-WARSZAWA.** 29 września 2015 roku Biblioteka Śląska otrzymała Nagrodę i Tytuł Strażnika Dziedzictwa Rzeczy-



Nagrodę z rąk minister kultury i dziedzictwa narodowego Małgorzaty Omiłanowskiej odbiera prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej.

pospolitej *Custos Monumentorum Rei Publicae*. Senat Rzeczypospolitej Polskiej przyznał Śląskiej Książnicy ten zaszczytny tytuł w kategorii: Nagroda Krajowa dla instytucji. Nagroda została przyznana Bibliotece Śląskiej za pozyskiwanie, konserwację i udostępnianie unikatowych zbiorów, a także ważnych społecznie materiałów związanych z działaniami niepodległościowymi i ruchem „Solidarności” na Śląsku oraz za stworzenie aktywnego ośrodka naukowego i kulturalnego, służącego pielęgnowaniu i zachowaniu dziedzictwa kulturowego Śląska i Polski.

## Demolka po bielsku

**BIELSKO-BIAŁA.** W nocy z 31 na 1 listopada na bielskim cmentarzu żydowskim zdewastowano dziewięć nagrobków. Wandale zniszczyli m.in. nagrobek Karola Korna (1852–1906), którego potomkowie żyją do dziś w Bielsku-Białej. Był to najwybitniejszy architekt i budowniczy Bielska. Jego dziełem są ważne obiekty publiczne, począwszy od dworca kolejowego w Dziedzicach i Bielsku po schronisko na Szyndzielni, a zwłaszcza kamienice przy głównej bielskiej arterii – ul. 3 Maja, budynek poczty, sądu i zburzone przez hitlerowców synagogi. Zaprojektował również kościoły katolickie w Hoczni i Krzeszowie oraz krakowski hotel Royal. W czasie wojny jego nagrobek wykradli Niemcy. W 2011 r. grób po raz pierwszy zdewastowali nieznani sprawcy. Nb. dwa miesiące temu na bielskim kirkucie zniszczono siedem nagrobków. Bielski cmentarz to jedyna żydowska nekropolia w Polsce, na której pochowani są muzułmanie – żołnierze, którzy zginęli podczas I wojny światowej.

## Miejsce dla sztuki

**KOSZĘCIN.** Od 25 września do końca roku w Kameralnej Sali Koncertowej – XVII-wiecznej kaplicy, najstarszej budowli kompleksu pałacowo-parkowego w Koszęcinie k. Częstochowy prezentowana będzie wystawa prac z Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA – w ramach programu projektu „Śląski Ogród Sztuk”. Autorskiego wyboru prac dokonała kuratorka wystawy, dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz. W siedzibie Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny wystawiane są dzieła siedmiorga znanych artystów różnych pokoleń – Urszuli Brołł, Jana Dobkowski, Bartłomieja Jarmolińskiego, Małgorzaty Markiewicz, Wilhelma Sasnała, Jerzego Truszkowskiego i niedawno zmarłego Andrzeja Urbanowicza. – Tytuł wystawy „Miejsce dla sztuki” jest nieprzypadkowy, odnosi się zarówno do pałacowych wnętrz, jak i całego kompleksu, pulsującego aktywnością twórczą i rekreacyjną (stąd Sasnałowski „Rower”) – powiada Agata Smalcerz.

## Na światowym poziomie

**BIELSKO-BIAŁA.** Od 16 do 30 X odbył się w Bielsku-Białej VI Foto Art Festival 2015. Ekspozycje przedstawiono w Polsce po raz pierwszy. – Wspólnym mianownikiem prac była fotografia na najwyższym poziomie artystów z 15 państw Europy i Ameryki Północnej. Autorzy to w większości gwiazdy światowego formatu, np. Holender Ruud van Empel – komputerowy portrecista czy Franco Zecchin, który zasłynął zdjęciami z życia włoskiej mafii. Okrzyknięty mianem współczesnego minimalisty David Burdeny z Kanady w ciągu paru lat zrobił oszałamiającą karierę na rynku fotograficznych aukcji. Wystawa „Kochaj mnie” angielskiego dokumentalisty Zeda Nelsona wstrząsająco komentuje współczesną presję na bycie młodym i pięknym. Ogromną wartością festiwalu była obecność śla-



Fotograficy powrócili na ulicę Jana 10 wystawą „Linie papilarne”.



W rolę Orfeusza z sukcesem wcieliła się Roxana Wardenga.

wy fotografii Rafaela Navarro z Hiszpanii – powiada dyrektor programowy festiwalu Inez Baturo. Dwie z 15 wystaw – Ernesto Bazaną (Włochy/USA) pt. „Kuba” oraz Ruuda van Empela (Holandia) pt. „Świat” – prezentowano w Galerii Bielskiej BWA.

## Dwudziestka z Pendereckim

**BIELSKO-BIAŁA.** Od 2 do 4 października w Bielsku-Białej odbywał się XX Festiwal Kompozytorów Polskich. Wystąpili m.in. Orkiestra Sinfonia Varsovia pod dyr. Jerzego Maksymiuka z pianistą Kevinem Kennerem oraz Orkiestra Filharmonii Śląskiej pod dyr. Mirosława J. Błaszczyka ze skrzypczką Aliną Baewą. W koncercie finałowym w kościele p.w. św. Maksymiliana Kolbego Orkiestra Akademii Beethovenowskiej, Chór Filharmonii Krakowskiej, Chór Chłopięcy „Pueri Cantores Sancti Nicolai”, Honorowy Ambasador Królewskiego Miasta Bochni, z towarzyszeniem solistów – Wioletty Chodowicz i Ewy Vesin (sopran), Marcjanny Myrlak (alt), Adama Zdunikowskiego (tenor) i Piotra Nowackiego (bas) wykonali „Credo” Krzysztofa Pendereckiego pod dyrekcją kompozytora.

## „Kocidrapka” w USA

**BIELSKO-BIAŁA.** Najnowszy film bielskiego Studia Filmów Rysunkowych „Kocidrapka”, zakwalifikowano do konkursów głównych trzech festiwalów w USA – prestiżowego Festiwalu Filmów Dziecięcych w Seattle, Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dziecięcych „Redcat” w Los Angeles i Festiwalu Filmowego „Bankids” w Nowym Jorku. – Animację wyreżyserowali i scenariusz do niej napisali Bronisław Zeman i Andrzej Orzechowski, czołowi twórcy bielskiego SFR. Autorem muzyki jest Tomasz Gąssowski. Film powstał w koprodukcji z Instytucją Filmową Silesia-Film w Katowicach – mówi rzecznik studia Piotr Płatek.

## Niech żyje pieśń!

**CIESZYN.** XXIV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Wokalnej „Viva il canto” od 30 września do 4 października odbył się w Cieszynie. Tym razem śpiewano tam złote przeboje PRL-u („Czerwony autobus” czy „Jak przygoda to tylko w Warszawie”) z towarzyszeniem Festiwalowej Orkiestry Rozrywkowej. Koncert pieśni żydowskich pt. „Sekretny ogród” zaprezentował bielski zespół Anashim, a Broadway’owski musical „Dźwięki muzyki” – Gliwicki Teatr Muzyczny. Utwory operetkowe, musicalowe i muzyki filmowej wykonało Rodzinne Trio Operowe. W kościele Jezusowym w Cieszynie odbył się koncert galowy Sacrum in operze, w którym wystąpiły – oprócz licznych solistów – Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzeńskiej z dyrygentem Sławomirem Chrzanowskim na czele i Chór Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia” przygotowany przez Izabellę Zielecką-Panek.

## Retrospektywa z Dwurnikiem

**CZĘSTOCHOWA.** Od 17 września w częstochowskim MGS prezentowano wystawę *Miłość. Edward Dwurnik w Częstochowie*, na której pokazano obrazy i grafiki artysty z różnych okresów (od wczesnej

młodości do dziś), a obraz *Barok* (1999) ozdabiał w tym czasie wnętrze filharmonii. Kuratorem wystawy była Anna Paleczek-Szumlas. Na wernisażu obecny był artysta.

Wystawa prezentowała ok. 90 prac Dwurnika, m.in. *Miłość* (na płótnie 250 × 427 artysta uwiecznił ponad 150 osób podpisanych imieniem i nazwiskiem, artystów i przedstawicieli świata biznesu), współczesną interpretację *Bitwy pod Grunwaldem* Jana Matejki, obraz *Częstochowa. Jasna Góra* z cyklu *Podróże autostopem* czy *Moje grzechy*. Wśród grafik wystawionych w Sali Poplenerowej znalazły się m.in. *Robotnicy*, *Ale ty jesteś prozaiczny!* Prace wykonane różnymi technikami są krytycznym, a czasami również dowcipnym komentarzem naszej codzienności.

Biografię artysty i informacje o jego warsztacie przypominał i wyjaśniał film dokumentalny. Edward Dwurnik jest absolwentem ASP w Warszawie, dyplom u prof. Eugeniusza Eibischa.

## Częstochowa dla fotografów

**CZĘSTOCHOWA.** Na przełomie września i października w Częstochowie zorganizowano dwa konkursy dla miłośników fotografii. 19–20 września odbył się Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny „Fotomaraton 2015 Częstochowa”. Gościem specjalnym był Artur Rogalski „Rogal”, a warsztaty poprowadzili Krystian Bielawski i Kuba Kamiński. Oni również oceniali konkursowe prace.

Na starcie stanęło 89 zawodników, którzy przez osiem godzin mogli wykonać 8 zdjęć; hasło przewodnie brzmiało *Trzy kolory*. Zwyciężył Michał Piosek z Lisowic, II miejsce zajęła Sandra Nowacka z Częstochowy (też nagroda publiczności), a III – Marcin Bocian z Częstochowy.

Natomiast 3 października odbyły się I Otwarte Mistrzostwa Częstochowy w Fotografowaniu „Fotosprint” zorganizowane przez Fundację Festiwal Sztuki Fotoreportażu. W jury zasiadli: Maciej Nabrdalik, Maciej Moskwa i Arkadiusz Ławrywianiec. W mistrzostwach uczestniczyło 120 zawodników w wieku od 11 lat wzwyż, którzy mieli jednym zdjęciem oddać hasło *Emocje miasta*.

Starterem była wielokrotna mistrzyni w sprincie, Irena Szewińska. Zwyciężył Paweł Wieczorek z Krakowa, kolejne miejsca zajęli: Magda Sztuka (najlepsza zawodniczka z Częstochowy, także zdobywczyni nagrody „Gazety Wyborczej”), Małgorzata Kozakowska, Kamil Pawlikowski i Maciej Kuroń.

## Jedyna taka noc

**CZĘSTOCHOWA.** W tym roku 12. Noc Kulturalna odbyła się 10 października. Zmiana terminu tłumaczona przez organizatorów kalendarzem imprez, wywołała wiele dyskusji. Za 15 złotych zaproponowano 90 różnorodnych działań, niemal wszystkie w pomieszczeniach zamkniętych. Imprezę koordynowała Katarzyna Strojec.

Rozpoczęło się o 17:48 na placu Biegańskiego, a potem już każdy mógł ruszyć swoją własną trasą – wybrać miejsce, w którym odbywały się kolejne wydarzenia, albo przemieszczać się między placówkami. Były spektakle teatralne, koncerty, wystawy, pokaz iluzjonistyczny, spotkania literackie (m.in. z Andrzejem Stasiukiem).

Organizatorzy zadbali także o nieoczywistość przestrzeni – w klubie Rura odbył się koncert muzyki klasycznej, w czytelni czasopism Biblioteki Publicznej zagrali Brzoska i Gawroński, z Cafe Belg tym





Wilhelm Sasnal, „Rower damski”, 1999, olej, płótno, 70x70 cm, własność Kolekcja Sztuki Galeria Bielska BWA.



Z wystawy Ruuda van Empela pt. „Świat”, Galeria Bielska BWA.

razem dobiegał hip hop, a w MGS-ie modelki z Zespołu Szkół Przemysłu Mody i Reklamy im. W. S. Reymonta przechadzały się wśród prac Dwurnika. Była więc okazja, by poznać ciekawe miejsca lub posłuchać czegoś nowego...

## Finał *Haški*

**CZĘSTOCHOWA.** W rocznicę śmierci poetki, 11 października, zakończył się projekt *Haška. Poświatowska in art* przygotowany z okazji 80. rocznicy urodzin poetki. Tego dnia zaprezentowano dokumentalny film Michała Tkaczyńskiego *Wszystkie adresy Poświatowskiej* (pod takim tytułem ukazał się piętnaście lat temu artykuł w lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej”), w którego realizacji pomagali uczestnicy warsztatów prowadzonych w OPK Gaude Mater. Narrację przygotowała prof. Elżbieta Humnikowa, wiersze czytali m.in. Agata Ochota-Hutyra i bp Antoni Długosz, a zaśpiewali je Janusz Radek i Małgorzata Bańka.

Program muzyczno-poetycki Małgorzaty Bańki *Właśnie kocham. Poświatowska* przygotowany dla Teatru Polonia Krystyny Jandy był kolejną atrakcją wieczoru. Wystawiono go wśród prac Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza poświęconych poetce w OPK Gaude Mater (wernisaż 7 października).

Zaczął się biciem serca i fragmentem wiersza recytowanego przez Poświatowską, a potem już tylko fortepian i aktorka w czarnej długiej sukni z rękawami z białych piór, co przypominało motyw znany od czasów Kochanowskiego o dwoistej naturze poety, ale także nawiązywało do jednego z bardziej znanych cytatów z Poświatowskiej „ptaku mojego serca”. W wykonaniu pięknej kobiety poezja stała się jeszcze bardziej przekonująca.

## Dekonstruktorzy

**CZĘSTOCHOWA.** W ramach 5. Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” od 21 do 27 września jak zwykle przygotowano wiele atrakcji. Były to m.in. spotkania literackie (Ziemowit Szczerek, Filip Springer, Jakub Żulczyk, Maciej Parowski, Magdalena Tulli, Maciej Świetlicki), projekty intermedialne (wokół *Gugul* Wioletty Grzegorzewskiej), kryminalną grę w bibliotece inspirowaną twórczością Agaty Christie, warsztaty typografii z Janem Bajtlikiem.

Można było również porozmawiać z żywą książką (projekt koordynowała Agnieszka Batorek z Biblioteki Publicznej im. Wł. Biegańskiego), własnoręcznie zrobić półkę na książkę, obejrzeć dobry film (*Legendę Kaspara Hauzera* Davide’a Manuli oraz *Kongres Ari Folmana*) lub jeden ze spektakli, przygotowany przez uczniów I LO im. J. Słowackiego czy Dariusza Sosińskiego, wreszcie posłuchać

muzyki – AsiMina, Sikorski&Pukocz, Krzychu Niedźwiecki oraz Marcin Świetlicki z zespołem Najprzyjemniejsi.

## Podsumowanie Europejskich Dni Dziedzictwa

**OPOLE.** W Filharmonii Opolskiej na uroczystej ogólnopolskiej gali podsumowano tegoroczną edycję Europejskich Dni Dziedzictwa odbywających się pod hasłem „Utracone dziedzictwo”. Na spotkanie licznie przybyli ze wszystkich regionów kraju: przedstawiciele władz samorządowych, stowarzyszeń społeczno-kulturalnych oraz instytucji, zaangażowanych w organizację imprez oraz przedsięwzięć edukacyjno-kulturalnych. Andrzej Buła marszałek województwa opolskiego, witając gości powiedział: *dzisiejszy Śląsk Opolski bywa porównywany do szmaragdu, szlachetnego kamienia, którego piękno jest owocem obecności wielu domieszek – polskiej, czeskiej, niemieckiej, śląskiej i kresowej. Dzięki państwa zaangażowaniu wspólnie pracujemy na rzecz zachowania cennego depozytu dziedzictwa, jaki otrzymaliśmy w darze od poprzednich pokoleń.* Następnie prof. Małgorzata Rozbicka, dyrektor Narodowego Instytutu Dziedzictwa, podsumowując dorobek Europejskich Dni Dziedzictwa, oceniała, że wypadły one w tym roku znakomicie – o 30 proc. wzrosła, w stosunku do ubiegłego roku liczba uczestników, których było 322 tysiące, połowę stanowiła młodzież, a w 446 miejscowościach odbyło się 1990 różnorodnych imprez. Równie imponujące wyniki osiągnięto w województwie opolskim, gdzie udział w imprezach wzniósł się 35 tysięcy uczestników, co w porównaniu do ubiegłego roku przyniosło wzrost o 300 proc.

Jednak największym sukcesem organizacyjnym było zaangażowanie tysięcy animatorów i organizatorów EDD, dzięki którym „Utracone dziedzictwo” stało się dziedzictwem odzyskanym. W dowód uznania dla tych działań dyrektor NID prof. M. Rozbicka uhonorowała wyróżnieniami organizatorów najlepszych regionalnych imprez. Z województwa opolskiego wśród wyróżnionych byli: Ryszard Czerwiński właściciel naleśnikarni „Grabówka” za sfinansowanie ze środków prywatnych wystawy plenerowej w Opolu na temat Rejencji Opolskiej, Jerzy Królicki za pokazy pracy kowala w Kuźni Edardson w Dolnej koło Leśnicy, Joanna Wanot-Staufffer za imprezy w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Opolu, Wojciech Dominiak za warsztaty tkackie w Muzeum Ziemi Prudnickiej w Prudniku, Artur Rolka, burmistrz Paczkowa, za spacery plenerowe po Paczkowie – mieście Pomniku Historii. Specjalnie wyróżnienie otrzymał Ryszard Wilczyński, wojewoda opolski, który zainicjował podpisanie deklaracji „Przeszłość dla Przyszłości”, zmierzającej do przywrócenia dawnej świetności dziedzictwu kulturowemu w miejscowości Pokój.



Wystawa dzieł Edwarda Dwurnika w częstochowskim MGS.

## Wspominali Karola Musioła

**OPOLE.** W Opolu obchodzono 110. rocznicę urodzin Karola Musioła (1905–1983), słynnego gospodarza tego miasta, który pełnił funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej oraz burmistrza w latach 1952–1965, przyczyniając się znacząco do rozwoju Opola. Był m.in. inicjatorem budowy Amfiteatru na Ostrówku i zorganizowania Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej oraz założenia Towarzystwa Przyjaciół Opola.

Podczas rocznicowego spotkania w Miejskiej Bibliotece Publicznej, zorganizowanego przez tę instytucję oraz Towarzystwo Przyjaciół Opola – Karola Musioła wspominali znani opolanie, czytali również fragmenty wspomnień Jerzego Grygolunasa o pierwszej edycji Festiwalu Polskiej Piosenki. Natomiast zespół wokalny Camerton pod kierownictwem Marii Przebindowskiej przypomniał piosenkę „Czy Karol Musioł?”, którą nagrodzono w konkursie Towarzystwa Przyjaciół Opola i została wykonana podczas koncertu gwiazd XVI Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Elżbieta Kampa, dyrektor MBP podkreślała w swojej wypowiedzi: *opolski festiwal miał pomóc miastu w zaistnieniu na arenie krajowej i po latach pomysł Karola Musioła sprawdził się i jest szczęśliwie do dziś kontynuowany*. Narodziny Festiwalu Piosenki Krajowej wspominał niegdyś Zbigniew Zielonka, znany pisarz związany z Opolem: *Musioł w dniach poprzedzających festiwal nie tylko zabiegał o kwiaty. Zabiegał przede wszystkim o amfiteatr: być albo nie być festiwalu. Przyrzeczenia danego w czasie wstępnej rozmowy na temat ewentualnego festiwalu dotrzymał... 19 czerwca 1963 roku o godzinie 20.00 Karol Musioł wystąpił z pierwszym inauguracyjnym przemówieniem, zakończonym historycznymi w dziejach polskiej kultury masowej a zarazem w dziejach Opola słowami: Uważam pierwszy Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu za otwarty!* Współczesnym opolanom legendarnego burmistrza przypominają pomnik Karola Musioła nad opolską Młynówką nieopodal Ratusza wykonany przez Wita Pichurskiego.

## Publicystyka 2015 w Kędzierzynie-Koźlu

**KĘDZIERZYN-KOŹLE.** Na XXII Międzynarodowy Festiwal Filmów Niezależnych – Publicystyka 2015 w Kędzierzynie-Koźlu zgłoszono aż 284 filmy z 34 krajów (europejskich oraz z Argentyny, Australii, Brazylii, Chin, Hongkongu, Japonii, Konga, Kanady, Islandii, Tajwanu, Wenezueli, Meksyku, Chile, Peru, Iranu i Izraela). Głównym zamierzeniem festiwalu organizowanego przez Gminę Kędzierzyn-Koźle jest przedstawienie dokonani niezależnych twórców filmowych: amatorów i półprofesjonalistów. Zarówno coraz wyższy poziom i coraz większa liczba nadsyłanych filmów sprawiają, że Festiwal w Kędzierzynie-Koźlu staje się w naszym kraju coraz bardziej znaczącą imprezą w dziedzinie publicystyki filmowej, ukazującej aktualne wydarzenia i zjawiska: społeczno-polityczne, gospodarcze i kulturalne. Jurorzy po obejrzeniu 112 filmów fabularnych, 128 dokumentalnych i 44 animowanych zakwalifikowali do oceny konkursowej 65 obrazów. Nagrodę Grand Prix otrzymał Wojciech Wikarek za film dokumentalny „Irek?” – opowiadający o jego ojcu – Ireneuszu Wikarku, dyrektorce Orkiestry Polskiego Ra-

dia i Telewizji w Katowicach. Kolejną pierwszą nagrodę otrzymał Wojciech Szwiec z Łazisk Górnych za film „Cyklizm po śląsku, czyli kto smaruje, ten jedzie”. Natomiast w kategorii „życie społeczne” Andrzeja Szopiński-Wisła z Kędzierzyna-Koźla został nagrodzony za film „Mój dom”. Patron Festiwalu – Ireneusz Radź, był barwną postacią lokalnego środowiska filmowców-amatorów skupionych w Amatorskim Klubie Filmowym „Groteska”, w którym działał pracownicy Zakładów Chemicznych „Błachownia”: m.in. Roman Hławacz, Ireneusz Radź, Roman Strzelczyk, Waldemar Zamczewski oraz Bogdan Zambrzycki. AKF „Groteska” został członkiem Federacji Klubów Filmowych w Polsce, a jego twórcy w latach 70. ubiegłego wieku zaczęli realizować wiele ambitnych filmów dokumentalnych, które były nagradzane na festiwalach i prezentowane w telewizji.

## Dzielnica z klimatem

**SOSNOWIEC.** Pogoń to jedna z najstarszych dzielnic Sosnowca, kiedyś kojarzona głównie z przemysłem włókienniczym, to tu bowiem Henryk Dietel uruchomił w 1878 r. pierwszą w Królestwie Polskim przędzalnię wełny czesankowej, tu także niemiecki przemysłowiec wznosił Szkołę Realną i piękny neobarokowy z elementami rokoka pałac. Kilka lat później Pogoń wzbogaciła się o kolejne obiekty przemysłowe m.in. walcownię żelaza i rurownię. Dziśjsze oblicze dzielnicy tworzą ośrodki akademickie i środowiska twórcze. Urokliwe, choć przyznać trzeba wielce zaniedbane kamienice, kręte zaułki, malownicze zakątki tworzą niepowtarzalny klimat. Nic więc dziwnego, że miłośników tej historycznej części miasta nie brakuje. Ostatnie dni października były prawdziwym i wyjątkowym świętem dzielnicy, akcja pod nazwą „pogONia – zespół zdarzeń artystycznych” zapewne znajdzie kontynuację w kolejnych latach. W programie znalazły się liczne spotkania ze znanymi postaciami świata kultury i nauki (m.in. Jackiem Rykałą i Zbigniewem Białasem), wystawy, prezentacja starych widokówek dzielnicy, koncerty. Wystąpiła grupa „Muzykanci na tropach Jana Kiepury”, utworzona przez sosnowiecką młodzież i seniorów. Specjalnie dla pogONi na jeden koncert reaktywował się, zawiązany przed laty z „Remedium”, zespół „Phoney Romeos”, zagrali także „Fair Weather Friends”. Święto zakończył performance muzyczno-teatralny „Pogoń Duszki”.

## Penderecki w TDZ w Będzinie

**BĘDZIN.** Na przekór problemom finansowym, z jakimi boryka się od blisko roku Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie, o ostatniej premierze w Dormanowskim przybytku głośno było w całej Polsce. 7 listopada odbyło się tam premierowe przedstawienie opery dziecięcej „Najdzielniejszy z rycerzy” opartej na kompozycji Krzysztofa Pendereckiego i Marka Stachowskiego z 1965 r. Autorem libretta jest Ewa Szelburg-Zarembina, spektakl wyreżyserował Michał Chorościński. Podczas premiery zagrała orkiestra kameralna pod batutą Przemysława Fiugajskiego. Autorkami scenografii są Justyna Łagowska i Katarzyna Jeznach. Przedstawienie zostało dofinansowane ze środków MKiDN. Warto za Sławomirem Pietrasem, stałym bywalcem i miłośnikiem Teatru Dzieci Zagłębia, wspomagającym zmagania zespołu TDZ z bezdusznym aparatem administracyjnym, przytoczyć słowa minister kultury i dziedzictwa narodowego Małgorzaty Omilanowskiej, wypowiedziane w radiu TOK FM: *Kluczowe jest powszechne społeczne zrozumienie istoty kultury dla narodu. Minister nie może w demokratycznym państwie wpływać na decyzje samorządów o finansowaniu kultury. Jeśli osoby, które zasiadają w radach różnego szczebla, nie widzą potrzeby zwiększania środków na kulturę, to znaczy, że w Polsce nie ma społecznego zrozumienia dla tego, czym jest istota kultury dla nas jako państwa.*

## Artystka niepokorna

**SOSNOWIEC.** Agnieszka Chrzanowska odwiedziła dwukrotnie swoje rodzinne miasto. 27 października wokalistka koncertowała w Energetycznym Centrum Kultury, tydzień później w sali widowiskowo-koncertowej Muza w Sosnowcu. Niezwykły talent, urzekający głos, najwyższy profesjonalizm i nadszybczajna wrażliwość stawiają artystkę w panteonie najwybitniejszych postaci polskiej sceny muzycznej. Agnieszce Chrzanowskiej towarzyszył Marco Lo Russo, włoski kompozytor, akordeonista, aranżer i dyrygent. W programie zatytułowanym „Nostalgia i Ty” sosnowiczanka zaprezentowała utwory pochodzące z najnowszej płyty „Piosenki dla mężczyzny”. Wszystkim, do których nie dotarła informacja o koncercie polecam obejrzenie teledysku do tego utworu, został on zrealizowany na ulicach Starego Miasta w Krakowie, na Scenie pod Ratuszem



Władysław Sikora – na zdjęciu w swojej wsi rodzinnej, Boconowicach.

i w Piwnicy pod Baranami. Każda propozycja Agnieszki Chrzanowskiej jest balsamem dla duszy i to wprawie z najwyższej muzycznej i teatralnej półki. Artystka zapowiada kolejną niespodziankę, przygotowuje bowiem ballady, których myślą przewodnią będzie kobieta niepokorna. Po niezapomnianej i mistrzowsko wykonanej *Camille Claudel* (kompozycja Agnieszki Chrzanowskiej do słów Michała Zablockiego) możemy oczekiwać i to z niecierpliwością, kolejnego wielkiego i wyjątkowego spektaklu.

## Zmarł Władysław Sikora

**ZAOLZIE.** 22 października po długiej chorobie zmarł w szpitalu w Karwinie Władysław Sikora, nestor zaolziańskich pisarzy, poeta, prozaik, felietonista, krytyk, nieoceniony kronikarz ulotnych zdarzeń i mijającego czasu. Miał 82 lata.

Z zawodu był nauczycielem, ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Ołomuńcu. Pracował najpierw jako nauczyciel, następnie został redaktorem rubryki kulturalnej i literackiej „Głosu Ludu”. W 1969 r. został zwolniony z pracy. Później był referentem do spraw organizacyjnych ZG PZKO, kierownikiem literackim Teatru Lalek Bajka, redaktorem „Ogniwa”.

Był jednym z założycieli zaolziańskiego Zrzeszenia Literatów Polskich. Współpracował z wydawnictwami prasowymi i kalendarzowymi po obu stronach Olzy. Stał na czele grupy poetów, którzy wydali antologię „Pierwszy lot”. Był autorem zbiorów poetyckich, m. in. „Próg”, „Lato”, „Kareł”, „Henryk Nitra”, „Tercyny”, „Gęste było życie – Hustý život býval”, wiersze drukował też w licznych antologiach. Jego opowiadania i eseje ukazały się w zbiorach „Skrzyżowanie”, „Wielokropki”, „Ojcowizna”, był autorem powieści „Za ojcem idę”, „Przelacz”.

## „Kasowy” pod nowym dachem

**ZAOLZIE.** Już przed dwoma laty przedstawiciele wszystkich kół Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego mogli na Zjeździe PZKO w Mostach koło Jabłonkowa podziwiać stylowo odnowioną siedzibę PZKO. Prace związane z upiększeniem i modernizacją mosteckiego „Kasowego”, jak do dziś mosteczanie nazywają swój pochodzący z 1936 roku Dom PZKO, trwają nadal. W tym roku Koło buduje na obiekcie nowy dach.

– Obiekt ma już swój wiek, wymaga więc ciągłych remontów, stale w niego trzeba inwestować – mówi Andrzej Niedoba, prezes mosteckiego PZKO. – Przed siedmioma laty odnowiliśmy kuchnię i wszystkie salki, przed pięcioma laty scenę, a w 2013 r. oddaliśmy do użytku wielofunkcyjną salę. W tym roku zaś po kilku latach starań udało nam się wreszcie zdobyć pieniądze na remont dachu – uściśla Niedoba.

Zgodnie z projektem mosteccy PZKO-wcy przykryli nowym dachem istniejącą część swojej siedziby. Oprócz tego udało się – przede wszystkim poprzez wkład pracy członków Koła – wygospodarować pieniądze na dobudowanie lokali za sceną i przykrycie ich dachem. Tam powstaną garderoby i szatnie dla artystów i członków zespołów występujących w „Kasowym”.

## Po konkursie „Zwrotu”

**ZAOLZIE.** Dobrym jazzem oraz poezją rozbrzmiewał 15 października czeskokocieszyński Klub „Dziupla”. Odbywał się tam wieczór literacko-muzyczny „Zwrotu”, podczas którego ogłoszono ofi-



Pracownicy Błękitnego Krzyża w RC z gośćmi uroczystości jubileuszowych.

cialnie wyniki tegorocznego konkursu literackiego PZKO-wskiego miesięcznika.

Nadesłane na konkurs prace oceniało jury w składzie: Halina Szczotka (redaktor naczelna pisma), Renata Putzlacher i Jacek Sikora. W kategorii poezji pierwszą nagrodę otrzymał Andrzej Strokosz za wiersz „Powrót”, drugie miejsce zajęła Agnieszka Kostuch za wiersz „Spotkanie z ikoną”, trzecie – Jerzy Fryckowski za wiersz „Pochodnia nr 1”, natomiast Martę Różańską wyróżniono za wiersz „Miejsce”. W kategorii prozy nie przyznano pierwszego i trzeciego miejsca, natomiast drugą nagrodą *ex aequo* oceniono Stanisława Gawlika za tekst „Szalenstwa nieprzespanych nocy” oraz Andrzeja Strokosza za opowiadanie „Popołudnie Proroka”.

O muzyczną część wieczoru zadbało Milan Vilč Trio, z którym popularne jazzowe standardy i polskie utwory zaśpiewała znana plastyczka Darina Krygiel. *Notabene* to jej ilustracje będziemy mogli podziwiać w pokonkursowej publikacji, w której ukazą się wszystkie nagrodzone prace.

## Błękitny Krzyż pomaga 10 lat

**ZAOLZIE.** Pierwszy okrągły jubileusz obchodzi w tym roku Błękitny Krzyż w Republice Czeskiej, organizacja porządkowa z siedzibą w Czeskim Cieszynie, która od 10 lat w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego i na północy Moraw pomaga osobom uzależnionym od alkoholu, narkotyków i gier hazardowych.

Swoje urodziny pracownicy i klienci jubilatka uczcili 20 października międzynarodową konferencją, która odbyła się w Domu Zboorowym Kościoła Braterskiego w Czeskim Cieszynie. Wzięli w niej udział pracownicy centrali Błękitnego Krzyża z dyrektorem Janem Czudkiem na czele, psychoterapeuci i klienci poradni z Czeskiego Cieszyna, Ostrawy, Karwiny i Frydku-Mistku. Nie zabrakło przedstawicieli władz miast i województwa, wspierających finansowo organizację-jubilatka, ośrodków zajmujących się terapią uzależnień, a także gości z zagranicy. Przyjechali nad Olzę także dwaj prezydenci – obecny i były – Międzynarodowego BK z siedzibą w Genewie: Albert Moukolo ze Szwajcarii i Gier Gundersen z Norwegii.

Jednodniowe obchody urodzin Błękitnego Krzyża zakończył koncert w Jazzlubie ośrodka kultury „Strzelnica”. Pracownicy i klienci BK oraz goście spotkania doskonale się bawili przy muzyce w wykonaniu młodej zaolziańskiej wokalistki Noemi Bocek i kapeli Noemiracles.

## W skrócie

■ „Od samochodu do samochodu” – na wystawę pod takim tytułem, prezentowaną w Stajniach Książęcych zapraszało Muzeum Zamkowe w Pszczynie.

Naszemu redakcyjnemu koledze  
Jackowi Sikorze  
wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia z powodu  
śmierci Ojca

**śp. Władysława Sikory**

nestora zaolziańskich pisarzy

składa

zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”



Małgorzata Rozbicka, dyrektor Narodowego Instytutu Dziedzictwa (druga od lewej) z laureatami z woj. opolskiego, nagrodzonymi za organizację Europejskich Dni Dziedzictwa.

■ Muzeum Zamkowe w Pszczynie zaprasza również na wystawę „Galeria portretów. W kręgach wolnych panów, hrabiów i książąt pszczyńskich”.

■ W Muzeum Śląskim można było oglądać wystawę Michała Litkiwa pt. „Ab ovo”.

■ Na wieczór autorski Jacka Durskiego – prozaika, dramaturga, malarza i grafika zapraszało Muzeum Historii Katowic.

■ Z okazji 30-lecia Towarzystwa Polsko-Japońskiego im. Akiry Kurosawy w Katowicach Muzeum Historii Katowic przygotowało multimedialną wystawę Aleksandra Janickiego pt. „Wschód-Zachód-Nieskończoność”.

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich gościła wystawa „Kobiety oczami artysty& Barwy rzeczywistości” przygotowana w ramach drugiej edycji Międzyregionalnego Programu „Derby Artystyczne – Śląsk-Małopolska 2015 i województwa ościenne”, na której swoje prace prezentowało 67 artystów z regionu Śląska i Małopolski.

■ Koncert inauguracyjny XXV Międzynarodowego Festiwalu Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych z udziałem Katarzyny Budnik-Gałązki (altówka), Łukasza Długosza (flet), Michaela Buchanana (Wlk. Brytania, puzon) i z towarzyszeniem „Aukso” Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy pod dyrekcją Marka Mosia odbył się 11 października w Akademii Muzycznej w Katowicach. Natomiast na koncercie finałowym można było usłyszeć Marcina Kuźniara (gitarę), Sebastiana Jacota (Szwajcaria, gitara) i Michała Gajdę (akordeon) z towarzyszeniem Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Roberta Kabary.

■ Na wykład dr. Jacka Kurka pt. „Dziewięć słów o kulturze. Stan dusz...” zapraszało Muzeum w Chorzowie.

■ W Muzeum w Gliwicach można oglądać wystawę „Świat japońskich rycezy”.

■ Festiwal „Zróżdła nowych talentów”, podczas którego odbyły się koncerty Moniki Lidke, berlińskiego kwartetu Mifras oraz „królowej” polskiego folku Marii Pomianowskiej i Włodzimierza „Kinior” Kiniorskiego odbył się w dniach 9-11 października, Chorzowie.

■ W Filharmonii Śląskiej odbyło się spotkanie z Marią Wilczek-Krupą, autorką książki pt. „Kilar. Geniusz o dwóch twarzach”, wydanej przez Wydawnictwo „Znak”.

■ Gościem dwudziestego, jubileuszowego spotkania z cyklu „Przyjaciele Barbary i Stanisława” Muzeum Historii Katowic był Robert Talarczyk, dyrektor Teatru Śląskiego.

■ Od 16 do 30 X w klubokawiarni Aquarium wystawiano „Bardzo dobre obrazy” – prace laureatów „Bielskich Jesieni” z Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA – Wojtka Kubiaka i Lidii Krawczyk oraz Jerzego Kosalki.

■ Pod nazwą „Jubileusz Pana BB” odbyła się 89. edycja Krakowskiego Salonu Poezji w Bielsku-Białej. 11 października gościem salonu był Bogusław Bierwiaczonek – językownawca, poeta, autor i wykonawca piosenek, który w lipcu skończył 60 lat.

■ W ramach obchodów 150-lecia Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku 31 października w przyziemnym domu przedgrzebowym bielskiego kirkutu odbył się spektakl „Dziadów” A. Mickiewicza w wykonaniu aktorów Teatru Polskiego.

■ W Cieszynie odbył się Maraton Czytania Tekstów Gwarowych. Była to druga edycja imprezy, która zdobyła już sobie sporą popularność, gromadząc rzesze chętnych do wsluchania się raz jeszcze w „mowę dziadów”. Gwiazdą imprezy był Juliusz Wątroba.

■ Od 2 do 11 października w Cieszynie i Czeskim Cieszynie odbyły się Dni Kultury Żydowskiej. Zagrała m.in. Orkiestra Kameralna z solistami pod dyr. J.C. Hauptmanna, wystąpiła Marta Cieniałą, zespół tańca Klezmer i zespół muzyczny KlezmaK.

■ Do 30 listopada mogą składać zgłoszenia kandydaci na stanowisko dyrektora Cieszyńskiego Ośrodka Kultury „Dom Narodowy”. Konkurs ogłosił burmistrz Cieszyna Ryszard Macura. Wyłonienie zarządcy COK przewiduje się do połowy grudnia br.

■ Pasje Karola Bojdy to tytuł wystawy w MDK Prażakówka w Ustroniu, która potrwa do 8 listopada.

■ 2 października odbył się koncert jubileuszowy z okazji 20-lecia Bielskiego Towarzystwa Muzycznego. Wystąpił m.in. Dan Lonnqvist (fortepian).

– W Częstochowie zagraли: MDK – Bedu, Orange Trane, Martyna Jakubowicz; TFP – T. Love Alternative, AlcoholicA; Hala Sportowa: Enej; klub Rura – O.S.T.R. i DJ Haem; klub Paradoz – Tadeusz Woźniak; Filharmonia – Percussion and Pianos Ensemble; OPK Gaude Mater – Karol Lipiński-Brańka i Sonia Lewosiuk.

■ 25 września – 4 października odbywał się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie 9. Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez Dotyk”.

■ 4 października w Częstochowie świętowano 40-lecie Regionalnego Ośrodka Kultury.

■ W Częstochowie odbyły się spotkania autorskie z Marcinem w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego i ze Zbysławem Janikowskim w klubokawiarni Pestka;

■ VI Festiwal Muzyczny Rodziny Bachów w tym roku w Częstochowie obejmował wydarzenia: *Bach goes jazz*, *Chóry i duety barokowe*, *Barokowe nastroje* oraz pokaz laserów *Bachrock* na placu Biegańskiego.

■ 1 października w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu miał miejsce niezwykle wspaniały wieczór poetycki. Wybrane utwory klasyków prezentowali ulubieńcy publiczności: Dorota Ignatjew, Zbigniew Leraczyk, Andrzej Rozmus – aktorzy Teatru Zagłębia. Impreza odbyła się w ramach I Sosnowieckiej Jesieni Teatralnej.

■ 22 października w Miejskim Domu Kultury „Kazimierz” zaprezentowała wystawę fotograficzną „Między projekcją a rzeczywistością” Rafała Karcza, absolwenta historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i Wydziału Form Przemysłowych krakowskiej ASP.

■ W ramach festiwalu Nordalia 2015 13 października w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyło się spotkanie z Bogusławą Sochańską (filolog duński, dyrektor Duńskiego Instytutu Kultury w Polsce). Z badaczką twórczości Andersena rozmawiała Ewa Ogłóżka, autorka książki „Wokół opowieści Hansa Christiana Andersena. O radości czytania”.

■ W środę 21 października w kawiarni Avion dziesięć osób i grup otrzymało tytuł Osobowości Miasta Czeski Cieszyn roku 2015. Wśród wyróżnionych znaleźli się Polacy: prof. Daniel Kadłubiec, który został doceniony poza innymi sukcesami za działalność w dziedzinie folkloru czy języka, Tomasz Mendrek – za osiągnięcia w sferze sportu i zespół „Olza” – za szerzenie i popularyzację folkloru regionu cieszyńskiego.

■ Obraz „Koza” w reżyserii Ivana Ostrochovskiego został zwyciężką „Złotym debiutem” 23. Babiego Lata Filmowego, odbywającego się w dniach 7-11 października w Bystrzycy. Werdykt podjęło międzynarodowe jury w składzie: Peter Dubecký, Tadeusz Wantuła, Peter Michalovič, Andrzej Kawala, Jiří Králík, Piotr Kottowski oraz Jan Kastner. Swoją nagrodę przyznała też festiwalowa publiczność, która tym razem tytułem „Złoty debiut” nagrodziła film „Pięć: Nie odchodź” w reżyserii Katarzyny Jungowskiej.

■ Chciałbym podziękować za zaproszenie nas do tego wspaniałego miejsca. Jesteśmy tu po raz pierwszy, dziękujemy bardzo! Następna piosenka jest dla was, nosi tytuł „Friends” – tak między utworami powiedział do publiczności Joe Satriani. W trzynieckiej Werk Arenie Satriani pojawił się 16 października w ramach europejskiej części swojego tournée promującego nowy album „Shockwave Supernova”.

■ Okrągłe jubileusze świętowały w październiku i listopadzie na urodzinowych koncertach PZKO-wskie chóry: „Godulan-Ropica”, „Hejnał-Echo” i „Stonawa”.

### Od Redakcji:

**W opublikowanym w „Śląsku” nr 10/201 poemacie Tadeusza Kijonki pt. „Tren na odejście Gamy – szlachetnej wilczy” zostało pominięte – z przyczyn technicznych, niezależnych od redakcji – oznaczenie cyframi rzymskimi kolejnych akapitów poematu. Za to niedopatrznie serdecznie Autora poematu przepraszamy.**

**KOLEJNA** galerię handlową otwarto 8 października w Katowicach. Supersam, bo o nim mowa, liczy 76 sklepów i punktów handlowych. W przeciwieństwie do sąsiedniej Galerii Katowickiej tu parkuje się na dachu, a nie w podziemiach.

**BLUES** się nie starzeje, twierdzi Irek Dudek, pomysłodawca i organizator Rawa Blues Festiwal. Więc i w tym roku do Katowic zawitały sławy tego gatunku muzyki m.in. Selwyn Birchwood, Jarekum Singleton, Elvin Bishop.

**NOWOCZESNA** kobieta, to kobieta mądra. Taką, która myśli też o sobie i swoich bliskich – podkreśliła Jolanta Kwaśniewska goszcząc w Katowicach na VI Gali Dress for Success Poland, jaka miała miejsce 2 października.

**SILESIA**NISTYKA, pierwsze w Polsce dwuletnie studia regionalne nagradzane tytułem magistra, ruszyły – jak zapowiadano – w październiku

na Uniwersytecie Śląskim. Dr Paweł Tomczok, wykładowca studiów śląskich, podkreśla, że jest to elitarny kierunek oferujący integrację wiedzy o Górnym Śląsku, wytworzonej przez historyków, historyków sztuki, socjologów, językoznawców, czy filologów.

**KOLEJOWA** spółka, PKP Cargo, największy w Polsce i drugi w Unii Europejskiej operator kolejowych przewozów towarowych, przenosi swą centralę do Katowic. Jeszcze w tym roku 900 pracowników przeprowadzi się m.in. z Warszawy i Krakowa do nowego biurowca przy ul. Francuskiej.

**NOWOCZESNY** ośrodek narciarski na Szczyrku-Biłej, Beskid Sport Arena, niestety, nie ruszy w tej zimy. Trwają jeszcze kolejne inwestycje, a inwestor obiektu, Mosty Katowice, chce wszystko dopracować w najwyższym standardzie. Początkiem października trwała budowa sześciuosobowej kanapy z linami i urządzeniami napędowymi, która będzie miała 980 metrów długości.

**FIGURA** św. Jana Nepomucena stała na pięknym żywieckim rynku. Nawiązuje ona do przedwojennej. Patrona od „dobrej sławy” i „od wody” otoczy zielen, około 30 dorodnych drzew.

**PRZEZ** trzy lata stał pusty, mimo że był gotowy do uruchomienia – Szpitalny Oddział Ratunkowy w Zawierciu wreszcie przyjmie pacjentów. Wreszcie, bo wcześniej nie udało mu się zdobyć kontraktu z Narodowego Funduszu Zdrowia. Czy to nie przykład urzędniczej nieudolności NFZ-u?

**PIĘĆ** dni trwał dwunasty Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek w katowickim teatrze „Ateneum”. Na pięciu scenach wystąpiło 13 zespołów teatralnych z sześciu krajów (z Polski, Francji, Słowacji, Izraela, Włoch, i Grecji). Festiwal lalek odbywa się co dwa lata.

**PREZYDENT** Andrzej Duda podpisał 6 października ustawę antyśmogową, która według niektórych specjalistów, stanowić może zagrożenie dla przeżywającej kryzys branży węglowej. Wdrożenie ustawy w życie ma jednak pomóc w walce z niską emisją a także zanieczyszczeniami powietrza. Ustawa daje możliwość poszczególnym samorządom do np. określenia jakości i rodzaju paliwa wykorzystywanego przez mieszkańców gminy. Istnieją też obawy, że nowe prawo uderzy w najuboż-

szych, których nie będzie stań na wymianę starych pieców na nowe, spełniające narzucone normy.

**DACH** nad Stadionem Śląskim nabiera kształtów. W połowie października już niemal 20 procent powierzchni dachu pokryto płytami z poliwęglanu. Całość zadania ma być gotowa jeszcze w 2015 roku.

**ZWIĄZEK** Polskich Artystów Fotografików z Okręgu Śląskiego świętuje w tym roku 65-lecie swojej działalności. I powrócił do swojej starej siedziby mieszczącej się w Katowicach przy ul. Św. Jana 10. Przeprowadzkę z tymczasowego miejsca przy ul. Młyńskiej do wyremontowanej Galerii Katowice uświetniono wernisażem „Linie papilarne”.

**ZDANIEM** legendy polskiego żużla, Tomasza Golloba, tor żużlowy w Rybniku należy przebudować, jeśli miasto chce organizować tam zawody na najwyższym, światowym poziomie. W tym celu odwiedził Rybnik ze specjalną misją: namówienia prezydenta Piotra Kuczery do realizacji tej odłożonej na razie inwestycji. I chyba go przekonali.

**ORKIESTRY** kopalni Wujek, Murcki-Staszec, Kleofas i Wesola, a więc sumie ok. 150 muzyków, zagrało 8 października na katowickim rynku z okazji 150-lecia Katowic. Ta gigantyczna orkiestra wykonała utwory skomponowane specjalnie na urodziny miasta.

**TEGOROCZNY**, piąty z kolei, Europejski Kongres Małych i Średnich Przedsiębiorstw, organizowany w Katowicach, cieszy się coraz większym wzięciem. Wzięło w nim udział niemal sześć tysięcy przedstawicieli europejskiego świata biznesu. W tym roku pojawiły się na nim nawet delegacje z Egiptu, Turcji i Armenii.

**DRONY** zaopatrzone w kamery pomagają kolei w walce z kradzieżą węgla. W tym roku dzięki tej innowacji spółce PKP Cargo udało się ograniczyć aż o połowę wynikające z tego straty. Zaoszczędzono w ten sposób ok. 2,5 mln zł. Drony zabezpieczają z powodzeniem pociągi i tereny kolejowe wspomagając działania Służby Ochrony Kolei.

**PREZES** Towarzystwa Finansowego Silesia, Adam Siwek, podał się do dymisji. Jego rezygnacja nastąpiła niecałe dwa tygodnie po tym, jak rząd premier Ewy Kopacz zdecydował, że TF Silesia przejmie 11 kopalń zagrożonej bankrutem Kompanii Węglowej.

**EGIDA** na katowickiej fali. Do końca października, pierwszy raz w historii, mieszkańcy Katowic mogli posłuchać studenckiego radia Egida na fali 96,9 FM. Działa ono od 45 lat przy Uniwersytecie Śląskim i jest jedną z najstarszych rozgłośni radiowych w Polsce. By wyjść w świat, radiowcy-studenci skorzystali z tzw. możliwości nadawania okolicznościowego, bo o wolne częstotliwości w naszym województwie jest wyjątkowo trudno.

**MAŁO** kto ze Ślązaków tego meczu nie oglądał... Polska reprezentacja w znakomitym stylu wygrała 11 października mecz z Irlandią 2:1 na Stadionie Narodowym w Warszawie (Śląski, niestety, wciąż w budowie). Brylował znakomity Robert Lewandowski, ale dobrze spisali się również Łukasz Piszczek, Kamil Glik, czy Jakub Błaszczykowski, związani z naszym regionem, a grający w niemieckich klubach. Czy mamy szansę na dobry występ na Euro 2016 w Paryżu? Trener Adam Nawalka tego nie wyklucza.

**LAUREATEM** nagrody „Lux ex Silesia” został pochodzący ze Śląska, wybitny polski aktor Franciszek Pieczka. Nagrodę wręczono 11 października w katowickiej archikatedrze, w imieniu aktora odebrał ją proboszcz rodzinnej parafii aktora, Godowa koło Wodzisławia, ksiądz Krzysztof Wrodarczyk.

**FESTIWAL** Wina i Sera rozpoczął się połowie października na katowickim rynku. Można było na nim nabyć produkty m.in. z Węgier, Włoch, Francji, Hiszpanii, Austrii, Mołdawii, Gruzji. Były także polskie wina i cydry oraz stoiska z ostrygami, oliwkami i wędlinami z Francji i Włoch. Festiwal smakowych uciech trwał do niedzieli 18 października.

**ROK** po katastrofie w KWK Mysłowice-Wesoła uczczono pamięć pięciu poległych górników odsłonięciem tablicy pamiątkowej na budynku dyrekcji oraz okolicznościowych nabożeństwem. Przypomnijmy – wieczorem 6 października 2014 roku na ruchu Wesoła doszło do zapalenia się metanu. W rejonie zagrożenia przebywało ponad 30 górników, 29 z nich trafiło do szpitali, wielu w stanie ciężkim. Przyczyna katastrofy do tej pory pozostaje nieustalona, ale wiadomo, że tragedię poprzedziła seria ewidentnych błędów i zaniedbań ze strony kopalnianego nadzoru. Sprawę bada zarówno Wyższy Urząd Górniczy, jak i Prokuratura Okręgowa w Katowicach.

**ZNAKOMITA** pianistka i jurorka Festiwalu Chopinowskiego, Martha Argerich, otrzymała 23 października doktorat honoris causa katowickiej Akademii Muzycznej. Wywodząca się z Argentyny laureatka wygrała pół wieku temu chopinowski konkurs.

**MUZEUM** Śląskie odzyskało obraz „Dziewczyna z kanarkiem” namalowany pod koniec XIX wieku przez Leopolda Loefflera, który tak jak 8600 eksponatów z kolekcji muzeum, zaginął w czasie wojny. Obraz odnalazł się przypadkiem w prywatnym mieszkaniu na terenie naszego województwa, dotychczasowi posiadacze zwrócili go bezpłatnie. Ktoś z rodziny przeczytał po prostu napis na odwrocie obrazu i postanowił zadzwonić do Muzeum.

**NAGRODĘ** im. Karola Miarki przyznaje się od 1983 roku, właśnie w październiku – w rocznicę jego narodzin (przypomnę, ur. 22 października 1825 w Pielgrzymowicach na ziemi pszczyńskiej, zm. 15 sierpnia 1882 w Cieszynie). W tym roku miarkowską nagrodą zostali uhonorowani: prof. Danuta Kisielewicz, kierownik Katedry Studiów Regionalnych w Instytucie Politologii Uniwersytetu Opolskiego, Urszula Zajączkowska, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego, ks. bp Paweł Anweiler z parafii ewangelickiej Zbawiciela w Bielsku-Białej, prof. dr hab. Mieczysław Choraży, wieloletni kierownik Zakładu Biologii Nowotworów w Centrum Onkologii w Gliwicach i dr hab. Jerzy Mizgalski, profesor Akademii im. J. Długosza w Częstochowie.

**ROZTRZEPANA** młoda para z Jastrzębia Zdroju zostawiła w miejskim autobusie pieniądze na wesele. Całkiem pokaźną kwotę 12 tysięcy zł. Pieniądze były w kopercie. Znalazł ją rano przed wyruszeniem na trasę kierowca, 27-letni Ireneusz Chrobak i... oczywiście oddał. Bo sam, jak przyznał, planuje za niedługo wesele i wie, jak mozolne bywa zebranie takiej sumy.

**NAJWYŻEJ** położoną w Polsce elektrownię fotowoltaiczną otwarto w Beskidach na Górze Żar. Znajduje się ona na wysokości 740 metrów nad poziomem morza, a jej zasadniczą część tworzy 2400 paneli słonecznych o łącznej powierzchni 3500 metrów kwadratowych. Rocznie produkować się tu będzie 500 MWh energii, co wystarczy do zasilania mniej więcej stu domów jednorodzinnych.

**WYBORY**, wybory i po wyborach. 25 października w wyborach parlamentarnych PiS zgarnął wszystko, całą władzę w całym kraju. Platforma przeszła do opozycji. Liczenie głosów szło sprawnie, PKW nie miało obsuw, komputery były tym razem wyrozumiałe. A oto oficjalnie wyniki: PiS – 37,58; PO: 24,09; Kukiz – 8,81; 9,1; Nowoczesna – 7,60; Zjednoczona Lewica – 7,55. Ze śląskich okręgów wyborczych PiS wprowadził do Sejmu aż trzynastu nowych posłów – to więcej niż wszyscy deputowani Nowoczesnej i Kukiza z woj. śląskiego razem wzięci. Znalazły się w tym gronie takie postacie, jak Andrzej Sośnierz, Michał Wójcik czy Adam Gawęda (Senat). W trzech z sześciu okręgów nowych posłów zyskała też PO. Są to m.in. znani na politycznej scenie Marian Zembala, Gabriela Lenartowicz, czy Tomasz Tomczykiewicz. Teraz trzeba... patrzeć nowej władzy na ręce!

# Wyciąg z róży stulistnej

JAROSŁAW STARZYK

Nieoczekiwanie w centrum, na przystanku autobusowym spotkałem profesora, który też o tej właśnie porze wracał na nasze osiedle. Niedługo czekaliśmy na połączenie. Co więcej, musiało coś niedawno jechać w kierunku naszej dzielnicy, bo bez trudu udało nam się zająć miejsca siedzące. Autobus ruszył, a ktoś za nami kichnął.

– Jak pan myśli, ile osób może zarazić jeden zagrypiiony człowiek? – zapytał naukowiec.

– Bo ja wiem? – zastanowiłem się. – Z dziesięć? Dwadzieścia?

– Też tak myślałem. Zaraża jedną. Kolega-biolog mi wyjaśnił, że gdyby było więcej, ludzkość by wymarła z powodu katastrofalnej, apokaliptycznej epidemii.

Po chwili milczenia profesor znowu się odezwał.

– Pamięta pan *Lalkę*? – zapytał.

– Nie – skłamałem, bo nie chciałem, żeby mnie zaczął egzaminować.

– Otóż w powieści tej pojawia się pewien arystokrata, jeden z tych, którzy chcą, oczywiście dla zysku, powierzyć swoje pieniądze Wokulskiemu. Ta inwestycja ma zresztą służyć także rozwojowi gospodarki, jest to więc coś więcej, niż tylko egoistyczna chęć zarobku. Ten szlachetnie urodzony powtarza jak refren słowa, nie zacytuję dosłownie, „nasz biedny kraj”, czy też „nasz nieszczęśliwy kraj”. I myślę sobie, że coś w tym powiedzeniu jest.

– Co? – zainteresowałem się.

– Żyjemy już trochę na tym świecie i – jak tak sięgniemy pamięcią wstecz, to sami widzimy, że Polska szczęścia nie ma. W latach siedemdziesiątych, kiedy już czuć było kryzys, nagle w Karlinie trysnęła ropa. Media szalały. Mieliśmy żyć jak Kuwejtczyzy. I co? No właśnie. Teraz były łupki. Bogatą Amerykę takie łupki jeszcze bardziej wzbogaciły. A w tych naszych albo tego gazu mało, albo siedzi on za głęboko, w każdym razie chwilowo nie możemy się do niego dostać. Pojawił się teraz, mówiąc ściśle – nie pojawił się, ale podobno istnieje, złoty pociąg. To byłby jakiś zastrzyk finansowy dla kraju. Jednak jeszcze się ten cudowny obiekt nie odnalazł, a już prawa do „naszego złota” zaczęły sobie rościć rozmaite inne państwa. Ropa, łupki, pociąg... To pierwsze z brzegu przykłady, można je mnożyć. Do czego zmierzam? Ciekawe, że za każdym razem większość społeczeństwa wierzy, że cud się ziści. Co to znaczy?

– Że Polacy są narodem ufnym?

– No co pan. Wszystkie badania socjologiczne pokazują, że jeden drugiemu nie ufa. Nie wierzymy sobie nawzajem, nie wierzymy instytucjom, partiom, politykom, programowo nie wierzymy mediom – to znaczy tym, które głoszą poglądy odmienne od naszych. Ale wystarczy, że jakiś para-bank ogłosi, że jego klienci zarobią na lokacie krocie i jeszcze dostaną sztabkę złota – zaraz się przed jego oddziałami ustawią kolejki. Swoje oszczędności powierzą mu z ochotą nie tylko jacyś tam ciemni obywatele, ale także osoby wykształcone. Jesteśmy naiwni, żeby nie powiedzieć dosadnie.

– Może po prostu czujemy, że jakieś szczęście nam się „po sprawiedliwości” należy, więc w końcu nas spotka? – zacząłem się zastanawiać.

– Wie pan, jak wygląda róża stulistna? – nieoczekiwanie spytał profesor.

– Nie – przyznałem.

– Ja też nie wiem. Ale z reklam się dowiaduję, że wyciąg z tego czegoś leczy, podobnie jak ekstrakt z jakiegoś drzewa, które rośnie tylko w Patagonii albo olej z wątroby rekina. Czasem myślę sobie, że zamiast żyć w realu, wolimy egzystować w jakimś wymyślonym specjalnie dla nas kraju suplementów diety.

Dojechaliśmy. Może i podróże kształcą, ale zdarza się, że przygnębiają.

# ŚLĄSK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk” z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomych artystów z regionu śląskiego.



Fot. z arch. Si. Kluska

## Stanisław Kluska

STANISŁAW KLUSKA – profesor zwyczajny. Ur. 4.12.1940 roku. Absolwent Wydziału Grafiki w Katowicach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w 1964 roku w Pracowni Plakatu doc. Bogusława Góreckiego oraz w Pracowni Grafiki Warsztatowej prof. Aleksandra Raka.

Od 1969 do 2011 roku był związany z macierzystą uczelnią, w której kierował Pracownią Literacką i Typografią, autorską Pracownią Grafiki Książki, Katedrą Projektowania Graficznego I. Równolegle, w latach 1978-1979, prowadził Pracownię Plakatu w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1984 roku objął prowadzenie Pracowni Druku Wkłęskiego na katowickim Wydziale Grafiki. W latach 1986-1999 kierował Katedrą Grafiki Warsztatowej, prowadząc jednocześnie Pracownię Druku Wkłęskiego, a następnie Pracownię Druku Wypukłego, Pracownię Rysunku i Malarstwa. Od 2006 do 2011 roku prowadził Pracownię Interpretacji Literatury.

Od 1997 roku jest profesorem zwyczajnym.

W latach 2001-2002 pełnił funkcję Prorektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Juror konkursów w dziedzinie plakatu i grafiki.

Odniesiony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1998); Medalem Kapituły 40-lecia Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie; Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2015).

Prace w zbiorach: Muzeum Narodowego w Kielcach, Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biblioteki Główniej ASP w Krakowie.

Autor kilkunastu wystaw indywidualnych oraz uczestnik wielu wystaw zbiorowych w kraju i za granicą.



Stanisław Kluska, *Ikar*, 1991, akwaforta.

# Piękne i Bliskie. Katowice



*Wystawa sztuki z okazji*

*150-lecia Katowic,*

*Związek Polskich*

*Artystów Plastyków*

*Okręg w Katowicach*

*zaprasza*

*na wernisaż*

*4 listopada*

*2015 roku*

*Galeria*

*ArtNova2*

*ul. Dworcowa 13*

*Wystawa*

*współfinansowana*

*przez Urząd Miasta Katowice*

*Anita Baenisch-Juda*

*Trencusz Botor*

*Teresa Bryning-Kalinowska*

*Henryk Bzdok*

*Tomasz Chudzik*

*Adam Dutkiewicz*

*Kasha Gawrych-Olender*

*Monika Hartman*

*Waldemar Jama*

*Anna Kowalczyk-Klus*

*Katarzyna Kroczyk*

*Krzysztof Kula*

*Małgorzata Łazarek*

*Katarzyna Łata-Wrona*

*Arkadiusz Ławrywianiec*

*Mariusz Polka*

*Olga Polka-Ślaska*

*Damian Pietrek*

*Adam Pocięcha*

*Zbigniew Sawicz*

*Tadeusz Michał Siara*

*Weronika Słupka*

*Ferdynand Szypuła*

*Jakub Zdejszy*



**KATOWICE**  
dla odmiany

*GAWRYCH-OLENDER*